

*Napisała Janina Grzegorzek ku uciechu ludu pracującej stolicy.
Ksywa Kadafi, bądź co również Akira. I to, i to wali przez ryj.
Dzięki wielkie dla pierwszej czytelniczki tego tekstu, która
mi pomagała z korektą. Dzięki wielkie, he, ghe, he, he.*

„...i nastanie wieczne królestwo chaosu, mrau...”

Część pierwsza: nieustraszeni mordercy z państwa demonów

Noc jeszcze młoda
Szaleje swoboda
Wino nam podaj zbożna niewiasto
Nim cię czym ostrym
W gardło nie chlasną

- Moja żona miała fajnego kwiatka - powiedział demon Armal, kładąc się na torach obok Axantez, demona, który z nim podróżował. Był naprawdę ciepły dzień, i gadzia natura Axe kazała jej grzać się w słońcu. Armal wolał noc, ale to tylko dlatego, że Axe była wtedy słabsza. Zauważył jej słabość już po wyjeździe z Lemurii, tam, za czasów wielkiego miasta demonów, wszystkie demony były silne. Ich wola była siłą sprawczą, a tu, teraz, biedna, żalosna Axe¹ upijała się namiętnie piwem bezalkoholowym, a on żarł mięso kupowane w masarni, bo bał się wściekliczny, i innych paskudnych chorób, które mogły go znaleźć, tu - w prawdziwym świecie.

- Kwiatka? - Pytała sennie, do czoła przykładając sobie butelkę ogrzanego słońcem piwa.

- Tak. Jakby kaktus, albo agawa...

- Kiedy cię rzuciła? - Była gadzio piękna, czyli tu, w prawdziwym świecie nadawała się raczej do cyrku niż do pokazania się z nią na ulicy.

- Axe, to nie ma sensu. To było ze dwadzieścia lat temu.

- To czemu gadasz o kwiatkach od niej?

Z tego, i z wielu innych powodów próbował się jej pozbyć. Minęło już z dwa tygodnie, jak tu byli. W Polsce. Axe tylko przeszkadzała mu, była skazana na zagładę, choćby dlatego, że budziła wstręt wyglądem i musiała cały czas zakrywać się jakimiś ciuchami, żeby kto jej nie zobaczył. Inna sprawa, że była tak niezyciowa, jak tylko można.

Z oddali nadjeżdżał pociąg. Armal zszedł z torów, usadowił się na nasypie, i czekał, aż zrobi to Axe, ale ta wyciągnęła tylko kciuk.

- Axe, złaż, rozjedzie cię - powiedział. W sumie, nie miałby z nią już problemów, gdyby teraz zapadła w pijacki, spokojny sen. Ale nie. Axe kiedyś pożyczyła mu sporą sumę pieniędzy, nie chciała, żeby oddał i teraz jest jej coś tam winien. Uratowanie życia? Gdyby tak prosto miało być...

- Nie zleżę!

- Axe! - Wrzasnął - zleziesz ty niedorobiona...

- Już... - Spełzła po gadziemiu z torów, tak. Gad. Miała w sobie coś z jaszczurki, tę bezmyślność.

Tyle razy już uratował ją ze szponów śmierci!

- Wiesz - podjął po chwili - moja żona już chyba nie żyje, była brzydsza od ciebie.

¹ To jest tak zwany pełny efekt Axe. Żeby leżeć na torach i być narąbanym w cztery litery tak bardzo, żeby chcieć się opalać.

- Ja jestem brzydka? - Gdyby nie była taka pijana, starałaby się na niego rzucić, i wyrwać mu serce, ale tylko zaklęła po baszanku - wykurwiał stąd kurwo, bo jak ci kurwa przykurwie, to się kurwa wykurwisz, kurwa! - Z ostrym akcentem Południowego Miasta Zewnętrznego, gdzie wychowała się z innymi gadami, a potem po przeniesieniu się w wewnętrzne rewiry usiłowała mówić językiem literackim.

- Jakby cię kto zobaczył bez ciuchów, to byś wylądowała nie powiem gdzie... To się w dawnej Polsce nazywało pogrzeby upiorów.

- Uściślij - wybełkotała.

- Ucinali im głowy, w serce wbijano kołek osinowy, a głowę kładziono koło nóg.

- Regeneranci by przeżyli. I żywe trupy.

- Ale ty nie.

- Ty też nie. Masz paskudną mordę z tymi zębami, wiesz?

- Przynajmniej nie mam skóry jak wąż. Ludzie takich tępią.

- I co? - Warknęła - mam się powiesić?

- Idę po piwo - powiedział.

Wstał ze skarpy, żegnany gniewnymi - a idź w cholere, idź a nie wracaj.

I pomyślał - a pójde se w cholere.

Za torami była budka z piwem, gdzie zaopatrywali się w najtańsze piwa i wina. Dalej był wiejski sklepik, gdzie można było kupić mięso i coś tam jeszcze. Gdyby nie jego umiejętność hipnozy, już dawno by padli z głodu. Ale nie chciał teraz kupować tej gadzinie czegokolwiek. Niech sobie sama radzi. Zanim wytrzeźwieje ta wywłoka z piekła, to będzie już daleko, daleko...

Szedł właśnie główną ulicą we wsi, poboczem, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, gdy nagle usłyszał wściekle szczekanie Axe.

- I czego leziesz za mną? - Wrzasnął nie oglądając się za siebie. Szedł, stawiając szybko kroki, i mimowolnie obnażał kły. Nie, że denerwowała go ta manifestacja demoniczności. Po prostu mogło się to okazać niewygodne, gdyby ktoś się napatoczył.

Była to niedziela, i wszyscy w kościele, albo w domach. Para dziwaków wegetująca w okolicy nie dziwiła nikogo dzięki hipnozie Armala, ale to nie było życie.

Obejrzał się za siebie. Baszantka biegła na czworakach, pęd wiatru jeżył jej kolczasty kołnierz na plecach, taki jak to mają agamy, które gdzieś tam sobie żyły, ale Axe była tu - blisko. Coraz bliżej.

- Idź, a się utop! - Wrzasnął. Pazury wyskoczyły mu z pochewek mimowolnie, gdy ta pieklica go zaatakowała. Próbowwała trafić go w szyję swoimi niemytymi, cuchnącymi zębami, żeby wdać zakażenie, ale był szybszy. Szybszy - to określenie zawsze go podnosiło na duchu. Axe klękała na asfalcie i zwracała nadmiar piwa bezpośrednio pod nogi.

- Ja cię zabiję - wycharczała - chciałeś mnie zostawić!

- Szłem po piwo - powiedział spokojnie.

- Gówno, a nie piwo - to mówiąc wstała.

- Robisz cyrki, ludzie zobaczą - parsknął. Znow ta demoniczność. Ale trudno się mówi.

Wziął ją pod ramię i rozejrzał się. Nikt nie zwracał na nich uwagi - ludzie tak na szczęście mieli - jeśli coś wydawało im się zbyt nieprawdopodobne, by było prawdziwe, po prostu tego nie zauważali. Teraz też tak było, pomachał pani Gieni z mięsnego, i kilku innym osobom, wracającym z kościoła. Teraz miał poważniejsze zadanie przed sobą, wrócić z tą baszantką od siedmiu boleści do szopy, w której wegetowali w smrodzie i w głodzie, a potem zacząć się zastanawiać, jak się jej pozbyć.

W Lemurii, to trzeba przyznać, budziła lęk. Miała wielki jak na baszantki kołnierz kostny

na plecach i karku, zębów z tego co wiedział, nie myła, bo brud wzmagał działanie jadu. Śmierdziała jak mało która padlina, przy tym nosiła się elegancko - ciemne, aksamitne suknie obszyte srebrnym kordonkiem. Sam pożyczał od niej niejednokrotnie te wspaniałe suknie - to był w ogóle jeden z powodów, dla których rzuciła go żona. A niech ją... Czy nie mogła zrozumieć, że to nie wstyd, chcieć pięknie wyglądać? Uwodził najpierwszych baronów, gdy tylko zasłonił skromnie twarz tiulem przy kapeluszu.

Teraz cuchnęła gorzej niż zwykle, i zdaje się zaczynała jej to przeszkadzać. Była przy tym coraz chudsza, żebra sterczały jej spod skóry, i zdaje się za kilka dni mogła paść. Za dużo piła. W ogóle - o ile bezalkoholowe piwko można było nazwać alkoholem. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, z czego rodzaj baszantów czerpał energię. Może z alkoholu, albo z zabijania. Albo ze słońca. Ale Axe wyglądała teraz tak, jakby brakowało jej czegoś niezbędnego do życia.

Dlatego nie miał zamiaru oglądać jej trupa, w ogóle, nie lubił zwłok baszantów i innych demonów. Co innego ludzie - takie same zwierzęta jak psy czy konie, co innego anioły - nieszczęśnicy z psychiatryka na Atlantydzie. Ale demony - zwłoki ich zawsze go w jakiś sposób rozbrajały.

Zatem Axe spała spokojnym, zeropromilowym snem, i Armal zaczął ponownie rozpamiętywać całą Lemurię. Piękne miasto, wieczne miasto demonów i plugastwa.

Kły wysunęły mu się z dziąseł na samą myśl o tym, co by było, gdyby cała ta sytuacja nie zaistniała. Gdyby ich Pani, której nikt nigdy nie widział nie opuściła wieży. O, przepraszam, Wieży.

Podobno, choć najstarsi tego nie pamiętają, nim powstało miasto, zbudowano Wieżę, budowały ją podobno anioły, sprowadzone specjalnie z Rezerwatu² na Atlantydzie. Wielu z nich zachorowało, bo ręcznie nosili kamienie. I podobno Wieża była olśniewająco biała, ze złotą iglicą na szczycie. A potem wsadzono tam Królową, i zamurowano, pozostawiając tylko mały otwór, przez który wrzucano jedzenie. Mówiło się, że Królowa była wtedy małą dziewczynką, i nie wiedziała, że jest kimś tak ważnym - Królową Demonów. Ale demony to wiedziały, a tam gdzie ich Pani, tam i one. Armal urodził się już w Lemurii, wiecznym mieście. Wieża była wówczas zupełnie czarna, a powietrze nad nią też smoliście czarne.

Wieża szerniała ponoć po tysiącu lat, gdy Królowa oszalała od zamknięcia. Tak się mówi - tak mówili też nieśmiertelni strażnicy, którzy pilnowali tego miejsca. Dziwne, że oni nie powariowali od tego, ale nieważne. Jakies pół roku temu Armal obudził się ze świadomością, że nie ma już Królowej w mieście. I tak on, jak i wielu innych spakował manatki i wyjechał do prawdziwego świata. Nikt nie miał pojęcia, co się stało.

Królowa zniknęła. I tyle.

A żyć trzeba.

Ronald Mc. Godall, "Mity i historia świata pozazmysłowego. Historia w zarysie"

Miasto Śmierci było wymarłe. Myliłby się ten, kto zafascynowany anonimowym dziełem z szesnastego wieku przed erą Chrystusa chciałby szukać w nim rzeki krwi, która rozdzielała owo miasto na dwie równe części. Otóż autor tego poematu najprawdopodobniej nigdy Miasta Śmierci nie odwiedził, jedynie zainspirowały go opowieści o tymże miejscu. Abstrahując od tematu, pragniemy w tym miejscu zauważyć, iż niewielkie jest prawdopodobieństwo, by jakikolwiek poeta, szukając natchnienia literackiego odwiedził Miasto Śmierci. Do tego ponurego miejsca

² Jak by na to nie patrzeć, słowo SANCTUARY w języku angielskim może również oznaczać REZERWAT. Ciekawa sprawa, nie?

lękali się zapuszczać nawet najwięksi śmiałkowie, toteż ukrywali się w nim najwięksi tchórze. I przez Miasto Śmierci nie przepływała żadna rzeka.

By przybliżyć wygląd Miasta Śmierci, należy przypomnieć sobie pierwsze, czarno białe telewizory i fatalny obraz, który dawały. I faktycznie, wszystko w mieście jest tam szare. Szare są ulice, drzewa, supermarkety i latarnie. Szare jest też światło i ciemność. Szarzy też są mieszkańcy, i co najgorsze, z czasem stają się płascy jak gdyby przechodzili do poziomu dwóch wymiarów. Powiada się, że to przejście do wymiaru śmierci, choć nie jest to potwierdzona informacja - nikt bowiem nie jest w stanie udowodnić, co tak naprawdę znajduje się w wymiarze śmierci, gdyż nikt stamtąd nie powrócił - ba! Nie można określić, czy aby na pewno tam trafił. Jednakowoż istnienie wymiaru śmierci zostało potwierdzono naukowo, przez nominowanego do nagrody Nobla w kategorii fizyki molekularnej Franza Klaumera, niemieckiego uczonego. Dowiódł on istnienie światów równoległych do wymiaru zwanego przez laików rzeczywistością.

Istnienie Miasta Śmierci również zostało udowodnione - mieszkańcy tego miejsca niejednokrotnie kontaktowali się ze swoimi rodzinami - czy to w Lemurii, czy to na Atlantydzie, czy też w Warszawie, lub w Nowym Jorku. Dla przykładu zacytuję treść listu Davida Goldsteina, żydowskiego imigranta z Nowego Yorku, który to w końcu osiadł w Mieście Śmierci. :

" Drodzy Rodzice, Kochana Rebeko!

Dłuży mi się tu czas niesamowicie, bez Was. Nie przyjeżdżajcie jednak za mną, gdyż nie ma tu prawie rozrywek, które by Was mogły zainteresować. Mamy tylko dwa kina, i aż trzy duże sklepy. Pracuję w kancelarii prawniczej, na razie zarobki moje pozwalają mi żyć na odpowiednim poziomie. W przyszłym miesiącu zamierzam przysłać Wam trochę pieniędzy, jak obiecałem. Nie chcę, byście uznali to za jałmużnę, po prostu chcę Wam pomóc, Wy też pomagaliście mi ogromnie. Podobno za niedługo odbędzie się tu festyn, lecz wątpię, by było to interesujące. Fajerwerki na urodzinach burmistrza były szare, zupełnie bez polotu. Jak już mówiłem, mamy te dwa kina, ale filmy wyświetlają tylko czarno białe. Nie to co u Was. Pozdrówcie wszystkich i ucałujcie.

Czekam z niecierpliwością na odpowiedź!"

Nie jest to zatem miejsce przerażające, a jak nam nieoficjalnie wiadomo, autor tegoż listu ścigany był przez włoską mafię. Teraz adres jego pobytu nie jest znany, i rodzina jego żyje spokojnie.

Franz Klaumer, z zamiłowania wędkarz i filatelista, wyprowadził wzór matematyczny na przyspieszenie ciała, które umożliwia przemieszczenie się ciała w strefę, skąd można trafić do na przykład Miasta Śmierci. W praktyce oznacza to szybki bieg. Baaardzo szybki...

Salieri wyszedł na powitanie pozostałych strażników. Wszyscy już zaczęli szarzyć - zauważył z przykrością. To był efekt uboczny, ale mimo wszystko żyli, byli tu, w jednym kawałku, każdy zdrowy, cały i bezpieczny przed gniewem Królowej. To mu wystarczało do szczęścia.

Do bramki podszedł pierwszy Rafael, dawny anioł, teraz należało się nim opiekować. Stracił rozum biedak - kiedy naprawiał dach Wieży, wpadł przez dziurę do środka. Wrzeszczał nieludzkim, niedemonim i nieanielskim głosem, jakby umierał. Zanim zdążyli spuścić liny do środka, by go wyciągnąć, już postradał zmysły, a Hubertowi wtedy urwało rękę. Powiadał, że to sama ciemność, najczarniejsza i najgęstsza ze wszystkich urwała mu rękę, a potem uciekła z nią w zębach. Hubert potem nawet nie wrzucał do Wieży jedzenia. Wszystko więc pozostało na

barkach Salieriego.

- Dobry wieczór - zawołał - jak dobrze was znowu widzieć!
- Ech - zaczął Hubert - żebyś ty wiedział, u kogo przyszło mi pracować!
- Przecież masz na utrzymanie siebie i Rafcia...

- Tak - kontynuował, idąc od bramki do szarego domu - bo jak widzisz, z tego faceta został już praktycznie cień, śmiejemy się, że wkomponowany został w krajobraz, ale to naprawdę tak wygląda jakby kto go namalował szarą farbą. Podobno jeździ do domu, mieszkał kiedyś - popatrzył na robiącego herbatę Salieriego, i dodał - mnie z mlekiem, aha, mieszkał w Nowym Jorku, i jak tam jeździ, to rodzina ledwo go poznaje. Podobno, gadają u mnie w zakładzie, że z początku jak pojechał, to go matka chciała wywabić szmatą ze ściany, bo myślała, że grzyb siadł na tynku - zachichotał pod bujnym, zakreconym wąsem. Kikut lewej ręki zakryty był obszernym rękawem aksamitnego munduru strażnika. - Dopiero jak zaczął wrzeszczeć, że to on, Goldstein, a nikt inny, to stara zemdląca ze strachu. Ha, ha!

- Z nas też zostaną cienie ze światła na ścianie - mruknął Salieri - chyba wiesz, że potem ludzie są tak wyblakli, że jadą do wymiaru śmierci, bo tam jeszcze jako tako ich widać.

- E, po jakimś czasie, jak się uspokoi sprawa z Nią, zajmijmy się czymś w rzeczywistości. Wszyscy jakoś damy radę. Ona tu nie przyjdzie. Jest zbyt dumna. A ta płaskość i szarość mijają w rzeczywistości.

- A kto wie, co Jej do łba strzeli, oszalała przecież.

- Nie mówmy już - zawył cicho Rafael. Z ust kapąca mu ślina, którą Hubert zaraz starł szarą chusteczką. Dziwne, ślina też szara. - Ona tu przyjdzie i nas zje...

- Nie przyjdzie - szepnął wąsaty strażnik.

- Nie mówmy już, racja - uciął rozmowę Salieri.

- To o czym pomówimy?

Salieri popatrzył na Rafaela. Kiedyś był przystojnym, anielskim chłopcem. Teraz z jego bezpłciowej urody nic nie zostało. Był śliniącym się kretynem, który został dodatkowo okaleczony już na Atlantydzie. Nie miał płci jak wszystkie anioły. Potem, w ramach eksperymentów na więźniach zrobiono z niego dziewczynkę. Potem urodził dziecko. Nigdy nie widział tego dziecka, podobno umarło krótko po urodzeniu, a potem przerobiono go na chłopca. Rafael trafił w końcu do Lemurii jako mężczyzna, bez skrzydeł, zamknięty w sobie i z bliznami na plecach.

Nie, przepraszam - pomyślał ze złością Salieri, to nie więźniowie, to pensjonariusze. Tak, tak ich nazywano. Wysyłano ich do roboty przy budowie strasznych, legendarnych Wież, przeprowadzano na nich eksperymenty. Głodzono, bito, amputowano skrzydła, wszczepiano geny demonów.

A ta praca przy strzeżeniu i pielęgnowaniu Królowej - też niszczyła zdrowie. Ale w końcu byli nieśmiertelni, specjalnie na potrzeby swojej, tfu, misji. Kiedyś było o wiele więcej strażników, jeszcze za czasów buntów demonów, kiedy Królowa szalała. Potem zamilkła zupełnie, mentalnie, i werbalnie. Ale żyła. Też, psia krew, nieśmiertelna. I będzie ich sucza mać ścigać po wieki. Ale kiedyś było ich tak wielu, cała gwardia. Potem nie wytrzymali fizycznie. Odeszli do wymiaru śmierci na urlop. Wieczny, ech. Oni sami też by tak chcieli - wieczne wakacje.

To znaczy, wtedy marzyli o spokojnej starości wśród palm, pięknych kelnerek w krótkich spódniczkach z trawy, i z chłodnymi drinkami w rękę. Dostali potem listy od tamtych. Że jest szaro, szaro i płasko. I jeszcze bardziej cicho niż gdziekolwiek indziej. Chcieli wracać, ale odebrali im wizy, i zatrzymywali na granicy. Najgorsze było to, że nie było czegoś takiego jak

zielona granica.

- Co tak myślisz? - Zagaił ponuro Hubert.

- O pozostałych strażnikach. Może byśmy do nich dołączyli?

- Zwariował - trzasnął pięścią w stół. Był otyły i krewki. To dobrze, przynajmniej miał siłę do zajmowania się Rafciem.

- No, szaro, i jeszcze bardziej ponuro. A w rzeczywistości może być ciekawiej, nie?

- Tak - warknął, wstając z miejsca - dopóki nas nie chwyci za gardło...

witaj młoda noc taka młoda

weź zrób mi loda

młoda bachantko złota baszantko

o gadziej skórze i zgrabnej dupie³

Jechali samochodem. Armal prowadził. Na postoju przy lesie podszedł do kierowcy i całym swoim urokiem osobistym zaczarował kierowcę, mówiąc:

- Podwiezie nas pan? Bo ja tu z koleżanką...

Axe miała najwyraźniej już dosyć kaca, bo klęła na czym świat stoi w baszancki, wyrafinowany sposób.

- No właśnie, kurwa, bo ja... - Rzekła.

- Koleżanka chora? - Zapytał z uśmiechem kierowca, niezbyt sympatyczny pan w kaszkiecie i koszuli w prążki.

- Axe ma delirium, wiozę ją do szpitala, na esperal - warknął. Zęby same wysuwały mu się z dziąseł, taki był głodny. Już oczami wyobrażał sobie, jak musi smakować mięsko ze świeżo upolowanego człowieka, nie to co ta wieprzowina, czy wołowina... Albo drób.

- To może lepiej, żebym was nie podwoził, zapaskudzi mi auto - powiedział facet.

- Pan nie rozumie - chwycił go za ramię - *masz* bardzo *nas* prosimy *podwieźć*. Proszę pana, koleżanka *gdzie* jest *tylko* bardzo *chcemy* chora *bo* i *jak* potrzebuje *nie* specjalisty to *to* się *cię* nazywa *spalimy*, uzależnienie *a tak* i powinien *to* być *cię* pan *tylko* wyrozumiały *okradnę*. Słyszał pan?

Kierowcy zaszklili się oczy.

- Nie... - Wyszeptał.

- Coś ty mu nagadał? Nic nie zrozumiałam - zaczęła swoje Axe.

- Nie musisz wszystkiego rozumieć - odparł. Kierowca był prawie całkowicie urobiony. Siedział teraz na ziemi, nie zwracając uwagi na otoczenie. Wpatrywał się w oczy Armala.

- Ale co ty mu powiedziałaś? - Dopytywała się. Był wściekły. Nie dość, że w tym czarnym czymś, wyglądała jak muzulmanka w oryginalnym stroju ludowym i przez to zwracała na siebie uwagę, to ten facet był całkiem opętany, i trzeba było mu wszystko łopatologicznie tłumaczyć. Nie miał czasu na tłumaczenie łopatologiczne procesu wplatania w słowa innych słów, przy jednoczesnym wkładaniu ich do mózgu ofiary tylko po to, by wlażyły tam i przekonały resztę przebywających tam myśli i słów, że są właściwe.

Axe usadowiła się już na siedzeniu.

- Nie ściągaj tej czarnej szmaty z siebie - syknął - jeszcze go nie urobiłem do końca.

Dotknął ramienia mężczyzny. Tamten drżał.

- Wy... - Zaczął. Najprawdopodobniej chciał powiedzieć, że są bandytami, ale powiedział coś innego - Luśka z monopolowego mi mówiła.

³ Większość wierszyków pisane pod wpływem autobusów.

- Co mówiła? - Zapytał Armal. Jednocześnie zasugerował mu, że nie mają do niego nic osobistego. Potrzebują tylko auta. I kierowcy, bo jeszcze nie umiał prowadzić, a chciał się nauczyć, a tylko by zajrzał mu do głowy, jak się prowadzi.

- Mówiła, że wy jesteście demony. W Gwiazdy Mówią pisało, ona to czyta, mówię, że to szmatławiec, a wychodzi na to, że to prawdę piszą.

- Głupia - zachichotała Axe - a pan nie wiedział, że demony siedzą w ludziach? Opętują ich. I dlatego oni potem do kościoła muszą chodzić. Bo inaczej się nie da.

- Tak, a czy ja wyglądam na demona? - Zapytał Armal.

Armal był przystojnym nawet mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miał średnie, brązowe włosy opadające na czoło, i jakieś tam oczy. Też ładne. Aha - spojrzał uważniej kierowca - brązowo żółte. Z zieloną obwódką. Jak żył nie widział takich. Pewnie soczewki kontaktowe, ale skąd u bezdomnego z alkoholizką mużłmanką takie soczewki?

- A koleżanka? Ona zdaje się jest wyznania mużłmańskiego, nie?

- Tak. A dlaczego pan pyta? - Nie przerywał kontaktu wzrokowego z ofiarą. Jeszcze troszkę, jeszcze troszeńkę, i odpowiednie myśli znajdują się w odpowiednich szufladkach...

- Mużłmanie nie piją. I nie ma ich w Polsce.

Prawdę mówiąc, Armal poczuł się trochę zbity z tropu. O ile umysł ludzki nie przyjmował do wiadomości istnienia demonów ganiających po ulicach wsi, demonów razem z tymi wszystkimi ich przymiotami piekielnymi, to nie mógł zaaprobować pijanych mużłmanów. Czytał gdzieś o nich - że kobiety u ortodoksyjnych mużłmanów chodzą w takich czarnych szmatach, ale nic nie wiedział o jakimś rodzaju abstynencji u nich.

- Ale Axe tu jest. W Polsce, jakiś problem? Tu jest Polska, tu się pije⁴...

- Nie jest mużłmanką, ta pana koleżanka - upierał się facet, denerwował się bardziej niż gdyby właśnie go mordowali. Zapalił papierosa i kopał butem w ziemię.

Prawie przedostatnia myśl wskoczyła na swoje miejsce.

- No to co, że nie jest. Ale bardzo lubi Allacha.

- Kobiety nie lubią Arabów! Oni każą chodzić im w kwefach na głowie, pan by chciał chodzić w czarnym płaszczu w upały? A pan wie, jak tam jest gorąco? Luśka mi mówiła, że oni strasznie biją swoje kobiety. Axe, czy jak tam jest szanownej pana koleżance, nie wie chyba...

- Niech pan się nie wtrąca do moich przekonań! - Ucięła. - Podwiezie nas pan, czy nie? Źle się czuję.

- I kobiety od mużłmanów nie mówią nic same, tylko mąż za nich mówi - kontynuował. Był bardzo nakręcony. To dobrze. Nawet nie czuł, jak zachodzą w nim zmiany. Ale trzeba było tę rozmowę przedłużyć, choćby i w nieskończoność.

- Tak? Ale przecież nie mam męża.

- To powinna pani siedzieć w domu i na niego czekać, jak pani tak ich lubi. A w Fakcie pisało, że...

- Na pewno kłamią - zaczęła Axe, dobrze torując drogę Armalowi do głębszych warstw umysłu tego wieśniaka.

- Tu się nie zgodzę, W Super Ekspresie kłamią, w Fakcie piszą samą prawdę. I w zdrapce można wygrać. Mój syn pralkę wygrał!

- To gratuluje, ale czemu pan tak nie lubi mużłmanów?

- Bo Amerykie rozpirzają, ot, właśnie! - Wrzasnął. I wtedy rzucił peta na ziemię. Stał spokojnie. Za spokojnie.

- Już? - Spytała cicho.

⁴ Tonem pana Bogusława Lindy, bo to zła kobieta była.

- Tak, już. - Odsapnął. Ręce mu się trzęsły. Wyjął z kieszeni koszuli ofiary paczkę papierosów. Zapalił.

- Już miałam go rozerwać na strzępy - przyznała. Zdjęła kaptur. Przesunęła rozdwojonym językiem po wargach.

- I teraz tego też nie zrobisz.

- Dlaczego niby?

- Jest nam potrzebny. Miał nas podwieźć, a ja poduczę się co nieco z jego głowy, zanim go zjem.

- Ty go zjesz? Sam? A ja? - Wrzasnęła, stara terkotka - I co to niby za nauka? Że muzułmanie to coś tam?

- Przynajmniej dowiem się co myślą porządni ludzie. Potem upolujemy kogoś innego. Dla ciebie. Powiedz szczerze, wolisz wieśniaka czy inteligenta?

- Mięso.

- Ja mam większe prawo go zjeść, bo ja tu wszystko zrobiłem. A utrzymałem cię przy życiu do teraz, to mi się należy, wiesz ile mnie taka hipnoza kosztuje siły? A teraz nie gadaj, wsiadaj, spowrotem i się nie odzywaj, bo twoje przebranie diabli biorą.

- Diabli - zachichotała wsiadając. Podobno kiedyś miała męża, diabła z piekieł. Musiał to być ktoś na stanowisku, bo inaczej by nawet na niego nie spojrziała, a dopiero taki związek! Tak, czy siak, lubiła powiedzenia o diabłach, i zawsze to na nią działało. Szkoda, że nie działała na nią hipnoza.

- Gdzie państwa zawieźć? - Zapytał posłusznie kierowca.

- Czy w Krakowie można spokojnie mieszkać? - Pytanie Armala, spotkało się z potulnym uśmiechem faceta.

- Oczywiście, mają tam czakram wawelski, podobno dobrze działa na hemoroidy. Luśka, z Tarota wróży, ładowała go w czakramie, podobno tam jest kosmiczna energia.

Gadał wszystko co wiedział - zasmucił się Armal, szkoda że gadał zasłyszane bzdury. Tarok - przecież to gorąca linia Lemurii i piekieł. Ludzie za wróżbę płacili swoją duszą, i w ten sposób zawsze demony miały co jeść. Ale trudno, zapytał ponownie:

- Bo my z koleżanką chcemy zamieszkać gdzieś, gdzie można zabijać i jeść ludzi, i nie chcemy być rozpoznani zbyt szybko, rozumie pan?

Ten tylko się uśmiechnął tymi swoimi krzywymi zębami, i ufnie popatrzył na nich. Urobiony i ululany na całego.

- No piękne zabawy młodzieży - zachichotał. - a na wakacje to gdzie jedziecie?

- No, do Krakowa, więc chcemy się dowiedzieć, czy tam pan kiedyś był?

- Ja nie, ale Luśka była.

- Ja pierdołę - przesunęła dłonią po policzku Axe.

- Czyli nauczyciel nas pan prowadzić to auto i zaraz pan umiera, co?

- W porządku - zaśmiał się - ale nie będzie bolało, nie?

- Tylko na początku, tylko na początku.

Wiadomości z głowy tego idioty wybrał starannie, już w lesie. Zajął mu to sporo czasu, nie podejrzewał, że to może być tak wyczerpujące. Facet cały czas uśmiechał się jak idiota, i sprawiał wrażenie głępszego niż był w rzeczywistości.

na peronie minus jeden
łażą dzisiaj same cienie
rozdeptywać skureczybyków

bo udają nieboszczyków

W Krakowie. Tam nie zdążyli z początku dojechać, bo w samochodzie tamtego wieśniaka zabrakło benzyny. Po długich wozajach, udanym skoku na warzywniak i sklep z odzieżą skórzaną udali się do Chrzanowa, w międzyczasie terroryzując dwóch kierowców PKS i jednego rowerzystę, starego emeryta Kazimierza Kownackiego, który zmierzał właśnie do lasu na grzyby.

Kraków stanął przed nimi otworem, dopiero po obrabowaniu supermarketu Biedronka.

W prasie pisano o nich:

"Bezwzględni mordercy i kanibale, tych dwóch zwyrodnialców ukrywa się pod pseudonimami Siekierka i Zboczur, Siekierka nosi muzułmański strój ludowy, Zboczur to mężczyzna w krótkiej spódniczce, najczęściej skórzanej."

- Ty, obejrż! - Zawołał

Armal wymachując gazetą. - Piszą o nas! Jesteśmy sławni!

- O! - Wyrwała mu gazetę Axe i zaczęła pochłaniać wzrokiem tekst. - świetnie, boją się nas!

- To właśnie źle, że piszą... - Westchnął, siadając na kanapie. - Musimy zmienić kamuflaż.

Popatrzył na tą bezmyślną jaszczurkę. Sam w sumie czuł coś w rodzaju poczucia dobrze wykonanego obowiązku obywatelskiego, gdy tak o sobie nagle przeczytał, ale nie zmieniało to faktu że trzeba było się wynosić z Krakowa.

Axe, trzeba przyznać, bawiła się dobrze. Bywała z nim w barach, odżywiała się nawet regularnie... Najważniejsze było to, że doszedł do tego, co właściwie jest jego towarzysze. Doszli do tego sami. Nigdy dotąd nie przebywała w prawdziwym świecie i musiała zmienić sposób odżywiania - dodanie do dziennego jadłospisu gada warzyw i owoców podziało.

Za to Armal się nudził. Narzucił sobie gazetę na twarz i położył się na leżaku na balkonie. Ich mieszkanie było na tyle ubogo urządzone, że nie żałowałyby go, gdyby zaraz miałyby je opuścić.

- Ale ludzie nas lubią - powiedziała Axe.

- Co?

- Bo ludzie nas lubią. Ufają. Nie ma powodu do niepokoju.

- Axe... Po lecie przyjdzie jesień. Potem zima. Wiesz, co to jest zima?

- Austria, narty, skoki narciarskie, Adam Małysz... Wspaniała rozrywka na śniegu, snowboard...

- Tyś się chyba telewizji naoglądała. - Parsknął i wstał. - Tu, w październiku będzie zimno. Potem listopad, grudzień. ZIMA. Mróz, gady wtedy umierają. Albo zapadają w sen zimowy.

- No to zasnę.

- A jak będziemy musieli uciekać?

- Zauważ, że nie spotkaliśmy żadnych Lemuryjskich demonów. Tylko tutejsze ziomy. Wiesz, że oni nas niespecjalnie lubią.

- Królowa się znajdzie i będzie jak po dawnemu - wzruszyła ramionami. Wracając do mieszkania zrzuciła czarny strój i przeciągnęła się. Jej łuski na grzbiecie nastroszyły się, po chwili opadły. Włączyła telewizor.

Kanał z byłej Lemurii. Jakieś gadające głowy jak zwykle roztrząsały problem Królowej.

- Pani Turpińska - przedstawiał gościa jakiś wymoczek o twarzy codziennego onanisty - znana badaczka atmosfery ponad obszarem Wieży, przedstawi kolejną teorię na temat zaginięcia

Królowej...

- Dziękuję za zaproszenie - uśmiechnęła się stara, chuda kobieta po liftingu. Od razu było widać, że kurz ze starych bibliotek wlaź jej w pory skórne, a powietrze znad Wieży zaszkodziło płucom. Zakaszła i zaczęła, ku uciechu zafascynowanej Axe. - Na tych zdjęciach, które państwo widzą, można dostrzec dwa statki kosmiczne obcych, unoszące się nad kopułą Wieży.

- Sugeruje pani, że to kosmici?

- Otóż nie... Statek kosmiczny może i wygląda na tym zdjęciu jak statek i tak też się zachowuje, ale wcale nie musi nim być - kontynuowała. Zbliżenie na niewyraźny zarys czegoś, co może wyglądać jak powietrzny pojazd, po czym kolejne zbliżenie, tym razem na flagę USA na jednym z boków pojazdu.

- Świetne! - Zawołała Axe. Armał usiadł obok niej, i zapalił papierosa.

- Zamiast oglądać te bzdury, zastanów się, co zrobisz w zimie.

- No wiesz, Austria, narty, skoki narciarskie, Adam Małysz... Wspaniała rozrywka na śniegu, snowboard...

- Nie dociera to do ciebie, co się z tobą stanie, kiedy wyjdiesz przed dom w zimowy dzień?

- Nie...

- To se siedź! - Warknął i poszedł na balkon. Palił papierosa, patrząc obojętnie na ludzi przechodzących ulicą pod budynkiem.

taka ładna zmarnowana
jest ma panna zaraz z rana
jestem niedobry
Bolesław chrobry

Zima, zima. Dzieci bawiące się na śniegu, białe szaleństwo snowboardzistów na tatrzańskich stokach, Austria, narty, oscypki, Adam Małysz, z dnia na dzień Axantez przywlekle do mieszkania jakąś wielką drewnianą skrzynię, wysypała do środka pełno izolującego styropianu, i gdzieś pomiędzy jedną transmisją ze skoków narciarskich a drugą, weszła do niej, i mówiąc – dobranoc, do zobaczenia w marcu – zasnęła.

Armał, gdy upewnił się, że gadzina śpi już głębokim snem, wyniósł wszystkie meble z jej pokoju, kupił w sklepie stolarskim gwoździe i młotek, a następnie zabił gwoździami dokładnie wieko od skrzyni. Nie, nie zabije Axe. Obiecał sobie, że tego nie zrobi. Potem zamurował okno i zamurował drzwi.

Nie, nie zabije jej. Po prostu opuści mieszkanie, a na wiosnę gospodyni sama otworzy ścianę.

I Axe będzie miała co jeść. Chyba, że nie przyjdzie.

Zimowe szaleństwo – prychnął. Zatrudnił się w barze – polując na ludzi nauczył się z Axe wielu barmańskich sztuczek, i teraz zmieniawszy swój styl ubioru – wszak nauczył się tyle o ludziach – ze sporym powodzeniem udawał jednego z nich, w dodatku ekscentrycznego, z pięknymi, białymi zębami, i w dodatku takimi niespotykanymi oczami...

Dzień pracy zaczął się tego grudniowego dnia typowo. Nic nie zapowiadało interesującego ciągu dalszego. Armał założył biały fartuszek z logo baru – kurczakiem przebitym strzałą. Nie za bardzo rozumiał znaczenia tego logo, ale nie przeszkadzało mu to. Nim włączono dyskotekową muzykę – bar Chicken Beer słychać wręcz z jakości muzyki serwowanej tam

klientom. Przez całą noc można było się spodziewać maksymalnie dwunastu przebojów, puszcanych w kółko, tak, by nawet bardzo pijani ludzie wiedzieli w jaki sposób tańczyć. - Wracając więc – Armal nim puszczone muzykę, by sprawdzić nagłośnienie, założył sobie zatyczki do uszu. Zamiótł na mokro podłogę i wymył kufle.

Przez otwarciem okazało się, że system nagłośnienia dziwnie działa, jednak odpowiednia dawka hałasu i nikt się nie spostrzeże. Armalowi przeszkadzał hałas. Miał na tyle wrażliwy słuch, że zakładał zatyczki do uszu, by nie słyszeć większości decybeli. I tak potem bolała go głowa, ale znał ten bar – kiedyś tu polował, teraz też zdarzało mu się czasem zaszaleć, gdy wołowina drożała, albo drób był zbyt chudy. W każdym razie – żyć, nie umierać. O ile dobrze to przeliczył, pożyje tak do wiosny, a potem hopla do Niemiec.

- Armal – zapytała Zosia, druga barmanka, podając mu coś w rodzaju peruki, tyle że wykonanej z papieru toaletowego. - Możesz to założyć?

- A po cholere – odparł, trzymając dziwny przedmiot w rękach. Zosia, pulchna, pełna smakowitego tłuszczu studentka zaoczna kulturoznawstwa, miała to coś na głowie, i skubała kawałek papieru.

- Szeryfowa kazała.

- Ale pytam się, po cholere? To jest sraj taśma.

- Wiem. Ale Józef też to ma.

Józef, ich czterdziestoletni ochroniarz, krzepki i w sile wieku facet też TO miał na głowie. Stał przy głośnikach i palił z wyraźną złością papierosa.

- Szeryfowa kazała. Dziś są urodziny baru. Trzecie. Taka tradycja. Załóż to.

- EEE – zamrugał oczami. Podświadomie obnażył zęby. - a co się stanie, jeśli tego nie zrobię? Zosia. To jest koszmarnie. Co jej do głowy strzeliło?

- Są urodziny baru. Taka...

- Tyle to i ja wiem! - Warknął i założył papierowy koszmarek na łeb.

Zaczynał się normalny dzień pracy. Pierwsi klienci sączyli piwa przy stolikach, młodzi ludzie pytali go czy mógłby puścić Kazika, a on zapewniał ich, że oczywiście, jeśli znajdzie płytę. Potem klienci zapominali, o co im chodziło, i wciąż z głośników płynęła jak wodospad rąbanka taneczna.

Gdzieś pomiędzy dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią poczuł mrowienie na karku. Zignorował je – może to miejscowa strzyga – miała też tu swój teren łowiecki, złośliwa stara panna. Nie wchodzili sobie za bardzo w drogę, strzyga, Barthayeth (w każdym razie tak mu się przedstawiła, nie wierzył, że tak może nazywać się ta idiotka, zbyt twarde brzmienie) polowała ostatnio coraz rzadziej, a najciekawsze było to, że powoli ulegała ideologii wegetariańskiej.

Mrowienie na karku zjeżyło mu drobne włoski i wyostrzyło zmysły po chwili, gdy zdał sobie sprawę, że Barthayeth zapadła przecież w sen zimowy podobnie jak Axe! Byli tu tylko oni, we dwójkę, teren dwudziestu kilometrów kwadratowych był ICH, należał do NICH, wywalczyli sobie nawet dni polowań, a tu ktoś inny przybywa...

W tym momencie, gdy powoli zaczynał się denerwować, jakiś student rozlał piwo, wlał w kałużę i zaczął udawać łódź podwodną. Zmuszeni byli z ochroniarzem interweniować. To uśpiło na moment czujność.

I wtedy zamówiła piwo potwornie wysoka i chuda kobieta w obcisłej czarnej sukience. Dla innych była tylko chudą i wysoką kobietą, w wieku trzydziestu lat, ale Armal widział wystające kości, robaki sunące nerwowo pod skórą.

- Dobry wieczór – powiedział, uśmiechając się do niej, całym garniturem stu trzydziestu

zębów. Kościeja zagrzechotała czymś w pustej czaszce i podrapała się po peruce.

- Wreszcie jakaś odmiana – powiedziała – czułam coś takiego od ciebie. Przyjechałam dlatego – podała mu gazetę z zakreśloną kroniką policyjną.

- Co mi pani tu jakieś włamanie pokazuje? Jak pani bawi się w naszym przybytku? - Zapytał bezczelnie, kłaniając się w pół.

- Chłopcze – jedno oko kościei wypadło na stolik, szklane i nadtłuczone, a z oczodołu wypełzło kilka glist.

- Jeszcze ktoś zauważy – mruknął Armał, chowając je do kieszeni.

- Oddaj mi moje oko! - Wrzasnęła, a kilka osób rozejrzało się dookoła, pokiwało ze zrozumieniem głową i powróciło do tańca czy do picia.

- Proszę nie brudzić stolika – wytarł szmatką robaki. Była stara nawet jak na kościeję i bardzo zmęczona. Aż wstyd mu było tak traktować tę starowinkę, ale nie mógł zapominać, że to bardzo groźny przeciwnik.

- Nie przyszłam tu do walki. Umrę za niedługo – chrapliwie rzekła. - Wyjdź ze mną, a powiem ci co mnie tu sprowadza. Aż wstyd patrzeć na twój upadek... Oddaj mi oko...

Wyjął je i podał kościstej damie. No tak, mogła być wielką damą w Lemurii, a tu tylko jest rozpadającymi się zwłokami. Przełknął z trudem ślinę. Czyli przyszła tu tylko dla niego z niewiadomo skąd.

- Jestem w pracy, staruszko, i nie mogę tak nagle sobie wyjść, gdybyś mogła poczekać, to pójde z tobą nawet do łóżka, ale na razie...

Demonica roześmiała się tak że prawie szczęka wypadła jej z zawiasów, i zamruczała:

- Mógłbyś być moim wnukiem, a ty ze mną, ha ha, ghe, ghe – zakaszłała – robaki – wyjaśniła – ach te robaki, będę musiała kupić formalinę i nowe oczy... Zaraz – zmrużyła resztki powiek – czy ty chłopcze, jeśli mnie moje stare oczy nie mylą, to masz na głowie papier do podcierania!?

- Tak to niestety jest, staram się przeżyć na tym brutalnym świecie w sposób... powiedzmy, uczciwy.

- Ja też nie pierwszej młodości, używam już formaliny, i strun fortepianowych do utrzymania mięśni... Czujesz? Cała cuchnę naftaliną. I oczy już mam nie te...

- A czemuż to babciu? - Zapytał, zdejmując nieświadomie papier. Nie słyszał już w tej chwili wścieklej kierowniczkę, która właśnie go wyrzucała z pracy. Nie obchodziło go to specjalnie, wszak miał dosyć tego hałasu, i dziwnego wystroju.

- Młody demonie, zostałeś wyrzucony z pracy, ta kobieta ludzka to twoja szefowa? - Zapytała starowinka, podtrzymując oko w oczodole.

- W sumie niewiele mnie to obchodzi, gdzieś mnie babciu zabrać chciała? - Spytał, uśmiechając się najładniej jak umiał.

- Mój dom... Formalina skończyła się dwa dni temu - nie działała. Myślę, by zdezynfekować wszystko denaturatem... Ale nie o tym mowa. Chłopcze, pójdźmy do mnie, opowiem ci o pozostałych, co ich tu spotkałam... Aha. Tej strzygi z Huty nie obawiaj się już, ona nie już nikomu nie robi, ni nie weźmie łupu niczyjego. Gheh, gheh...

- Ale ona przechodziła na wegetarianizm. - Zająknął się, ale wychodzili już. On w tej swojej różowej kurtce, a staruszka – czy aby nie niebezpieczna? - W długim czarnym płaszczu, toczku na głowie z woalką, i z szalem barwy popiołu.

- Cóż widzisz chłopcze... łup mi zabrała, lecz widać pomyliłam się co do tego dziecka. Pociągnęła nosem.

Madame Bone's okazało się, nie aż taka bezbronna, jak to kościeja. Mieszkania nie

wynajmowała, jak on. Po prostu zajęła je, a z mieszkańców – dwóch mężczyzn w wieku Józefa ochroniarza – zrobiła ozdobę ścienną. Prezentowali się nawet ładnie, tylko zaczęli cuchnąć.

- Wybacz chłopcze, to takie przechodnie mieszkanie, zamierzam znaleźć coś godnego starej kościei... Wiesz chłopcze kim byłam w wielkiej Lemurii? – Zapytała - widać - lubiła wspomnienia. Tylko, czego ona od niego chce? Co mu chce pokazać? - Ja, wielka tancerka rewii Teatru... Byłeś, musiałeś choć raz do teatru być się wybrać...

- Tak – odburknął – lecz co chce mi babcia pokazać?

- Bone's, Madame Bone's – upomniała go – a twoja godność?

- Armal – uciął.

- W gazecie pisali, że masz tu jakąś współniczkę... Wygląd jej nie pozwalał na ukazanie skóry, czyżby jaszczurka, czy może skrunja...

- Jaszczurka. Zostawiłem ją, pokłóciliśmy się – wyjaśnił. Staruszka uśmiechnęła się i otworzyła flaszkę spirytusu.

- Odkazacz – powiedziała i zaczęła wlewać sobie zawartość butli do gardła, towarzyszył temu dźwięk podobny do spuszczenia wody w toalecie. - Ach, nie mam nic dobrego na robaki.

Wstała. Wręcz siała robakami. Za niedługo sąsiedzi mogą zacząć narzekać na smród i szczury. Ale i tak tu babcia długo siedzieć nie będzie, za małe mieszkanie... Podeszła do walizki leżącej na zakrwawionym łóżku. Z torebki wyciągnęła kulkę naftaliny i zaczęła ssać ją jak landrynkę, w końcu podała mu jakieś rzeczy.

Armal dokładnie je obejrzał, czyjs dowód osobisty, i tomik poezji Baudelaire'a.

- Ale co to ma znaczyć? - Zapytał.

- Zbyt ludzki się stałeś, chłopcze. Poeta mówi o mnie, kiedy tańczę... Wiesz... Ziemia, świat rzeczywisty nie ujrzy już nigdy pięknego tańca kościei... Próbowałam, lecz mi tylko SARS wyszedł. To nie to, co dżuma, czy cholera...

- Ale co to za dowód? Czyj? - Staruszcza faktycznie chora, ale żeby z powodu jakiejś zwichrowanej babci rzucać pracę?

- Ona mi to zrobiła... Ta dziewczyna, taka spokojna, szła cicho, tak, bym mogła ją zjeść, a ona mi... To... Zrobiła. - Załkała.

- Oczko babci poszło – mruknął. Tym razem Madame nawet nie starała się go wkładać na swoje miejsce. Robaki pod jej siedzeniem kotłowały się jak szalone. Ledwo mógł wytrzymać smród. Axe tak nie śmierdziała.

- Nocą lipcową ją widziałam. Kędy idziesz dziewczeczko spytałam, a ona, że babci chętnie pomoże. Oczy już nie te, ach te stare kości... - Zaczęła opowieść, Armal stwierdził, że można posłuchać, może coś się rozjaśni – a ona poprowadziła mnie przez ciemną drogę, gdzie cienie chyliły się w hołdzie kościei. Starej, wielkiej kostusze szaleństwo dopisywało, a dziewczeczka słaba przecie...

- I co babcia zrobiła?

- Ona mnie w pole wyprowadziła, pytając skąd taki dobry wzrok, gdy oczy szklane. Ja uśmiecham się, a ona pyta, skąd u mnie wszystkie zęby, gdy przecie ośmiuset letnia. Ja na to prawię, że wiedzieć tego nie powinna, a ona na to twarz podnosi, uśmiech stroi, a tysiąc sześćset zębów ciemności sama ma. A cóż to jest, pytam, a ona na to, że nie wie przecież, lecz głosem dziecięcym odzywa się, że teraz widzi milionem oczu...

- Możliwe... - Zaczął Armal, ale przerwała mu drżącym głosem

- Milion oczu, ale jak to, panienko, gdy dwoje masz, rzekę na te słowa, ona zaś mi prawi, że nie to, co widzą oczy staruchy, lecz to, co istnieje w rzeczywistości. I zrobiła mi to... Dała starość... Mimo, że dopiero ośmiuset letnia...

- Kto to mógł być? - Zapytał Armal, tępo wpatrując się w dowód osobisty. Na pewno nie ta kobieta ze zdjęcia.

- Królowa! - Zawyla Bone's. - i swe imię mi wyjawiała wszeteczna! Żem tyle lat pod jej władzą w Lemurii była, zła, zła Królowa! A kto zna jej imię, ten zarażon! Ten skażony po kości swe stare! - Armal potakiwał i czytał personalia. Stara baba. Może jakiś demon mimiczny... Ale przecież nie Królowa.

- Tak... Więc, jak brzmi to imię?

- Ghaaaaa!- Ryknęła wstając. Skóra obłaziła z niej z wszystkich stron, struny wpięte w miejsce ścięgien pękały, z oczodołów wypływała bura maź. Odsunął się, czując, że to koniec kościei i trzeba będzie się wynosić.

Zdychająca kościeja przyciągała wszystkie żywe trupy z okolicy, jeśli tak było, że ktoś za nią szedł tutaj, to za góra dwa tygodnie Wisła spłynie krwią. O ile rzecz jasna będzie ich mniej więcej tyle, co na każdym pogrzebie kościei w Lemurii. Tutaj może przyjadą ze trzy, czy cztery. Ale to i tak sporo, jak na jego możliwości. Dwa żywe trupy i dwa kostuchy. Nieprzyjemna wizja.

Stara ewidentnie miała otępienie starcze. Ta opowieść o demonie mimicznym była straszna, ale co to nie wymyśli staruch, żeby się nim zainteresowano. Pomyślał więc Armal, że zostanie przy staruszce aż skończy konać, potem zasadzi kilka jej kości na cmentarzu, żeby wyrosły małe kościeje. Zawsze to coś, a z tego co spostrzegł, to Lemuryjczycy mieli problem z przystosowaniem się do warunków tutejszych. Ot – cholera. Ta Axe. Mógł ją zostawić na tych torach, żeby ją pociąg rozjechał.

- Batezu, wielkie Batezu! - Powiedziała kostucha, siadając – chłopcze, już mi lepiej. Ty jesteś znudzony, prawda? Proszę cię tylko, byś mi towarzyszył, gdyby Ona... Czemu Ona mi to zrobiła? Czyż nie widziała, że jestem jedną z nich?

- Podać coś pani? - Zapytał.

- W kuchni stoi słoik z denaturatem, to będzie dziwna prośba... Podaj mi go... Aha, o czym to ja miała... Zasadź moje kości udowe na niepoświęconej ziemi.

- A nie na cmentarzu? - Zdziwił się.

- Tu święcą cmentarze, nic by nie wyrosło, chciałabym zostawić coś po sobie, kościeja i kościejkę... Moje dzieci... Nie myślałam nigdy, że doczekają świata prawdziwego. - Wzruszona płakała. - Ale znajdź też tę dziewczeczkę. To zagłada... Królowa to zagłada dla nas wszystkich... Czemu mnie Taki koniec spotyka?

- Jak się więc.... Nazywa? - Uniósł brwi, wychodząc do kuchni. Faktycznie, słoik. Stara nie mogła już unieść rąk, więc wlał zawartość jej do gardła, potem czekał. Leżała na tapczanie, lewa ręka leżała obok niej w nieładzie.

- Wyjawić ci to tajne Imię? Mnie, niegodnej taki ono koniec dało. To niebezpieczna rzecz, znać Imię Najwyższej. Wymawiać go nie wolno.

- Nie boję się – i w myśli dodał – bredzenia staruchy.

-Me – zaczęła. Mówienie przychodziło jej z trudem – strzeż się dziewczeczki co nocą na łów idzie... Ona ci zagładę da, nie odrodzenie. Lecz chcesz wiedzieć, to mówię. Oby to imię drugi raz powiedziane, dało mi słodką śmierć, i dwoje małych kostuszków... Lecz ty go nie gadaj nigdy... Me... MELITZARELLE...

- To wszystko? – Zapytał, przelękając ślinę.

Baxetam Hamamkili Orungamat, "Turystyka dla (t)opornych, tom 2"

W Mieście Światła wciąż żywy jest mit o tym, jakoby wszystko miało naturę podwójną. I

tak, przeciwwagą dla niego miałyby być Miasto Śmierci, w całości złożone z cienia. Z kolei wymiar śmierci wedle tej teorii byłby alternatywną wersją wymiaru życia, w którym obraca się większość istot znanych nauce. Głównym argumentem zwolenników tej teorii jest istnienie Lemurii, i jej przeciwwagi, Atlantydy, gdzie w czasach dawnych zamknięto anioły. Jednak warunki przetrzymywania aniołów okazały się dalekie od ideału. W księgach znaleziono dokumentację eksperymentu Frieda Arnholma, który nadawał płcie aniołom, de facto nieśmiertelnym, zatem nie potrzebującym płci do rozmnażania się. Bowiem co żyje wiecznie, nie potrzebuje swoich replik.

Fried Arnholm doprowadził do narodzin dziewczynki, której dalsze losy nie są znane. Ponoć odziedziczyła nieśmiertelność po matce. Jako ciekawostkę podamy, że zapłodnienie było partenogenetyczne, dla laików dodamy – bez udziału męskich komórek, zwanych potocznie plemnikami.

Mimo, iż anioł, przedmiot eksperymentów stał się teoretycznie śmiertelny, wciąż wykazywał nadzwyczajną odporność na głód, zimno i gorąco. Z tego wyciągnięto słuszny wniosek, że anioł ten nie stracił nic ze swojej nieśmiertelności. O losach dziewczynki wiadomo jedynie tyle, że po serii nieznanymi doświadczeń z których wysnuto teorię na temat nowej odmiany nieśmiertelności, zwanej potem teorią Arnholma i Svedeckiego, dziecko zostało oddane do adopcji, i przebywało na terenie ośrodka Atlantyda.

Eksperymentom na aniołach sprzeciwiały się środowiska humanitarne, broniące także praw człowieka, i zaprzestano ich po dwóch tysiącach lat.

Część druga: prosimy bez majonezu

my ludzie z cienia
nasz żywot nie do pozazdroszczenia
w dzień rozpacz w nocy płacz
jakże marny żywot nasz

Wysoka, chuda dziewczyna o szarej, ziemistej cerze powitała Salieriego na jego nowym miejscu pracy. Biuro mieściło się w szarym, małym budyneczku przy markecie, i obok kina. Przez okno widać było szary trawnik. Salieri chcąc nie chcąc przeniósł się do tej pracy, jako, że ubezpieczenie z biura Szeryfa jest lepsze.

- Praca biurowa? – Zapytał z widocznym rozczarowaniem. Usiadł przy komputerze. Kobieta – Miki Miyu, słodka Japoneczka w szarym żakiecie uśmiechnęła się znacząco i powiedziała:

- Wiem, że pan liczył na coś więcej, ale Miasto Śmierci należy do bardzo spokojnych. Na razie nic tu się nie dzieje...

- Lepiej bym tego sam nie ujął. Na razie – przerwał mu czyjś głos. Z gabinetu wyszedł Szeryf⁵. Nikt nie miał zielonego pojęcia, jak ma naprawdę na imię. Było biuro Szeryfa, gabinet Szeryfa, i sam Szeryf. Szeryf mimo długiego pobytu w mieście okrągłutki jak prosiak i różowawy

⁵ No cóż. Szeryf to postać niby fikcyjna, zerżnięta z filmów o USA, bo i całe to miasteczko tak sobie pomyślałam, ale z drugiej strony postać to dedykowana mojemu jednemu znajomemu, K. K istnieje naprawdę, i niestety zachowuje się w pewnych sytuacjach jak Szeryf. K – przeczytaj to, i weź sobie te kaptcie do serca. Tak się kobiet nie traktuje.

na twarzy jak szynka.

- Dzień dobry – powiedział Salieri, siląc się na uśmiech.

Facet nie wyglądał miło. Miał mundur szeryfa i gwiazdę szeryfa. Zaiste, klasyczny i oklepany motyw. Pewnie trafił do Miasta Śmierci po tym, jak gdzieś na rubieżach USA przyłapano go z własną córką w łóżku. Tutaj na szczęście był tylko małomiasteczkowym bufonem o twarzy prawdziwej świni.

Salieri raz jeszcze skrzywił się w uśmiechu i podał mu rękę. Facet miał wilgotne i tłuste łapska.

- Co oznacza „na razie”? – Zapytał.

- Ile tu mieszkasz, Salieri? – Spytał obcesowo Szeryf. Od kiedy to jesteśmy na ty? – Przemknęło po głowie strażnikowi.

- Z jakiś czas będzie. Z braćmi tu jestem, nie narzekam.

- I dobrze, było tu spokojnie, ale dobre czasy minęły – żuł głośno gumę i mlaskał. Pani Miki sprawiała wrażenie, jakby chciała wrócić do swojej papierkowej roboty i nie interesować się niczym. Dygnęła więc i wyszła do drugiego pokoju. – Miki jest niezła, nie? – Dodał Szeryf, oczka miał małe i głęboko osadzone.

- Co teraz się ma stać w mieście? Kiedyś pełniłem podobną służbę...

- Słuchaj mnie, kowboju – zaczął.

Salieri usiadł wygodniej, a na krześle naprzeciwko niego zasiadł ten cały Szeryf.

- Tak?

- A więc, Salieri. Miasto Śmierci jest zwykle spokojne, przez większość roku siedzimy tu na dupskach i pierdzimy w fotele, wypełniamy papierkową robotę, co najwyżej robimy pokazy sztucznego oddychania dla szkół. A tak, w ogóle...Miki cię kręci, co nie?

- Nie. Niech pan zmierza do sedna. – Przerwał spokojnie, zaplatając ręce na piersi. Szeryf uspokoił się nieco, przestał się wiercić tym swoim tłustym zadem po siedzeniu trzeszczącego krzesła i kontynuował:

- Raz w tygodniu ściągamy kota pani Tacu z drzewa, po prostu spokojnie jak na typowym...no, ale co to ja miałem – podrapał się po kroczu z nonszalancją – zbliżają się sztormy. Od pustyni zaczyna wiać. Wiesz, za miastem są pola tego czarnucha Lexa, nie lubię drania. Za polami – ponownie podrapał się – jest pustynia. Za nią zaczyna się Wymiar Śmierci, i to jest cały problem. Teraz mamy tu, w mieście wrzesień⁶. Idzie jesień, a zawsze na jesieni mamy kupę roboty z potworami ciszy.

Salieri wstrzymał oddech. Wyprostował się i wypowiedział na głos:

- Potwory ciszy!

- Tak, czas ruszyć dupsztala z biura i je zatrzymać. Zbierzemy grupę mężczyzn, i razem jak co roku odeślemy tych skurczysynów do piekła, tam gdzie ich miejsce! – Ostentacyjnie splunął zużytą gumą na podłogę. Salieri westchnął, patrząc na biały ochłap przyklejony do linoleum.

Pani Miki jak cień przesunęła się obok nich i zebrała gumę w chusteczkę higieniczną. Salieriemu zrobiło się jej żal. Potwornie żal.

Miki miała delikatną, szarą twarz, i duże okulary, w których jej oczy wydawały się wielkie i wystraszone.

⁶ Jak zapewne się domyślasz, hipotetyczny czytelniku, to, że tam jest wrzesień, nie wyklucza tego, że gdzie indziej nie mogłoby być kwietnia. To w końcu Miasto Śmierci, a przecież gwoli ścisłości, na Ziemi, na półkuli północnej jest mroźna zima – w końcu Axe śpi, a na przykład w Taedzie, innym wariantcie rzeczywistości – nie bój się, tam też się znajdziemy – w chwili, gdy to czytasz, to na półkuli północnej panuje środek lata.

- Co, strach cię obleciał? – Zaśmiał się gromko Szeryf, jego brzuch falował teraz jak powierzchnia galarety – może i stchórzyłeś i zasrałeś gacie raz czy dwa, ale tu chodzi o obronę miasta! Naszego miasta!

Salieri zmrużył oczy. Gdyby ten grubas wiedział, co było jego powodem przybycia tutaj, to by sam robił w swoje mundurowe portki, aż by mu je rozerwało na tłustym, szerokim świńskim zadzie...

- Nie boję się – odparł, poprawiając marynarkę – czego tu się bać? Może ty się ich boisz?

Szeryf wyszedł bez słowa do swojego biura. Salieri odetchnął z ulgą. Popatrzył na Miki, klepiącą coś przy komputerze.

- Ten typ tak ma, co nie? – Zagadał. Kobieta z początku udawał że nie słyszy, jednak po chwili wybuchnęła rozpaczliwym śmiechem.

- Faktycznie, panie Salieri. Faktycznie – przyznała.

- Proszę mi powiedzieć – spytał najuprzejmiej jak umiał – czy Szeryf zawsze jest taki niemiły?

- Czasem – zaczęła – jest miły. Jak chce, to potrafi. Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Salieri, to tylko tak na pokaz, chce pokazać, że umie utrzymać ład.

- Mam nadzieję, że to prawda. Pani Miki, może mi pani mówić po prostu Salieri...

- Ależ co pan...

Uśmiechnął się. Zrobił kawy sobie i pani Miki. Z widoczną przyjemnością wypić.

- Pan naprawdę się ich nie boi? Potworów ciszy – uściśliła.

Salieri poczuł, że wpada w zbędną pychę. Dziewczyna była naprawdę ładna, ale żeby tak od razu, pierwszego dnia w pracy podrywać? Nie...

- Miałem do czynienia z demonami, znam sposoby na nie-ludzi.

- Był pan w Wielkiej Lemurii? – Spytała, poprawiając okulary. Wydawała się podekscytowana.

- Pracowałem tam, w straży – rzekł. Brzmiało to lepiej niż oświadczenie, że był Strażnikiem Jej Królewskiej Mości, Królowej we własnej osobie. Dziewczyna słuchała dalej. Przypominała teraz małomiasteczkową gąskę, przyszłą kurę domową, której ktoś opowiada o stolicy kraju. – Miałem do czynienia z potworami ciszy, wiem, na czym polega to zjawisko. Nie chciałbym rozmawiać na ten temat z Szeryfem, jeśli pani może, mi wyjaśnić... jak zwalczaliście je do tej pory?

Odchrząknęła.

- A więc, ustawialiśmy naokoło Miasta Śmierci zapory dźwiękowe, garnki, dzwonki, głośniki z muzyką. Mężczyźni klaskali, strzelali do nich, wrzeszczeli. Kobietom nie wolno, bo to zbyt niebezpieczne. Potwory czasem porywają naszych. Panie...

- Salieri. Po prostu Salieri.

- No...dobrze. Ale proszę już iść. Mam sporo papierkowej roboty, i nie życzę sobie takich poufałości. – Ucięła ostro.

Wieczorem zanurzył się w gorącej kąpieli. Nienawidził tego miejsca. Zanurzył się w gorącej wodzie, i wstrzymywał oddech tak długo, dopóki nie zaczęły go boleć płuca. Nienawidził tego miejsca. Ludzie fałszywi, nieuprzejmi, Japonka gada z tym dziwnym akcentem i sprawia dobre wrażenie, by potem wylądować się na nim, przywalając go papierkową robotą, a potem jeszcze każe mu iść do sklepu po pączki dla Szeryfa.

Szeryf...

Wynurzył się, zaczerpnął powietrza, patrzył przez chwilę ze złością w szary, zagrzybiony

sufit. Nienawidził tego faceta, wyglądał jak postać żywcem wydarta z amerykańskiego koszmaru, całe to miasteczko przypominało mu czarno biały, amerykański film wyświetlany na wiejskim telewizorze, a poza tym metody walki miejscowych z tymi potworami przypominały mi stawianie strachów na wróble, żeby wykurzyć krety z ogródka.

W dodatku nadęty jak balon, zupełnie nie liczył się z nikim. Cały dzień nie zgodził się na wyjazd na pustynię, żeby sprawdzić teren. Twierdził z uporem godnym lepszej sprawy, że zabezpieczenia z zeszłego roku wytrzymają.

Salieri dłuższą chwilę walczył z myślą, by wziąć sprawy potworów ciszy w swoje ręce. Wyszedł z wanny, obtarł się ręcznikiem. Starał się nie dostrzegać blizn po długoletniej służbie, teraz nie znaczyły już nic. Teraz był tylko policjantem, psem pana Szeryfa. Prychnął z pogardą i założył szlafrok. Chciał tylko spać. Skłamał. Znał je.

Potwory ciszy. Znał je, walczył z nimi, gdy był jeszcze na treningach przed przyjęciem do służby przy Wieży. Razem z Hubertem wykonywali tą robotę przy Xandau, gdzie na Rubieżach szlajały się całe hordy tych płaszczaków.

Będzie musiał jutro odwiedzić Huberta – swoją drogą, męczył się bardzo z Rafaelem, może by tak zamieszkali mimo wszystko razem, jak kiedyś?

Hubert ucieszył się, że znów są w siodle – jak by to określił Szeryf.

Drugiego dnia większość czasu poświęcił na patrolowanie ulic z synem Szeryfa – też policjantem. Podobny bufon – końska szczeka, jasne jak u ojca włosy, tylko że synalek był znacznie chudszy, umięśniony i zdaje się, razem przybyli do tego miejsca po jakimś występie tego starego waśniaka.

Red Stone – tak kazał się nazywać. Nosił kapelusik rodem z filmów o dzikim zachodzie, dzinsowe spodnie, skórkowe buty z cholewami, i kurtkę z bydlęcej skóry.

- Salieri, ty podobno w policji pracowałeś, nie?

- No tak, w lemuryjskiej.

- Lemury – cmoknął z zadowoleniem – lemurki, koteczki, ha! Niezłe tam dziwki, co?

- Sporo prostytutek tam było – westchnął. Czego tu się spodziewać po małomiasteczkowym playboyu. Prawo Hellera - pierwszym mitem zarządzania jest to, że w ogóle istnieje. Uzupełnienie: nikt naprawdę nie wie co się dzieje na jakimkolwiek szczeblu organizacji. – Przypomniał sobie Salieri. – Ale gwoli ścisłości – wyjaśnił Stone'owi – lemury, larwy, upiory. Nie jestem pewien, czy chciałbyś się przespać z którąkolwiek z nich.

- O, chłopie, jak się popieści, to wszystko się zmieści! Parę piw, i będzie każda z mora jak ta lala! Dupa to dupa!

- Kiedy powołamy sztab kryzysowy wobec ataku potworów? - Zmienił temat.

- Chłopie, jak Szeryf każe, to się robi, nie? A na razie będzie piknik. Doroczny jesienny piknik. Wystąpimy z pokazem pierwszej pomocy.

- Kiedy potwory zaatakują, nie będzie czasu...

- Chłopie! – Klepnął Salieriego w ramię – trza wyskoczyć na jakie żarełko, może do Sally Goo? Omówimy, to i owo, i zobaczysz, że z Sally jest niezła dupa...

- Taa...nie za bardzo jestem głodny. Ale jedźmy. Stone, ile razy stawialiście opór potworom?

- Rok w rok, jak batem strzelił. Wypędzamy skurczybyków aż się za nimi kurzy. A ty, co wiesz o tych skórkowańcach?

Dokończyli już u Sally. Bar szybkiej obsługi prezentował się podobnie jak reszta miasta – przypominał bardziej scenerię do filmu, niż coś realnego. Z resztą, czego tu się spodziewać, po

takim miejscu?

Sama Sally, kelnerka i kucharka w jednej osobie, zajmowała się odgrzewaniem hamburgerów w mikrofalówce, i smażeniem sparciałych frytek.

Kobieta wyglądała gorzej niż by mógł przypuszczać. Tania trwała zrobiła z jej krótkich włosów buro szarą strzechę, a na twarzy malował się jej wyraz znudzenia i zmęczenia, wzmocniony mocnym makijażem. Co i rusz puszczała oko do Stone'a, i machała do niego, a dłonie miała oszpecone długimi ciemnoszarymi pazurami.

- To człowiek? – Spytał cicho Salieri.

- To wyjechana w kosmos dupencja! – Dodał cicho – nie mów tak o niej, patrz, wpadłem jej w oko, tylko nie wiem, co tata powie...wiesz, całe miasto ją już miało, ja też, hehe – zaśmiał się parszywie – ale chciałbym ją mieć...dla siebie.

Sally wyszła zza zaplecza i zapytała nosowo żując jednocześnie gumę i paląc papierosa, cienkiego i długiego:

- To co zamawiacie?

- Frytki duże, hot doga z musztardą, chociaż to nie na moje wrzody.

- To z czym? – Stukała paznokciami o szary blat. Makijaż wokół oczu rozmywał się w oparach tłuszczu i taniego jedzenia.

- Z keczupem i majonezem.

- Nie ma majonezu – zaciągnęła się.

- To co jest?

- Może być taki jak zwykle zamawiasz, tylko, że bez tego białego?

- Taa. I do tego dużą colę, a dla przyjaciela...

Salieri popatrzył w tablicę z listą dań.

- To ja bym...to samo co Stone. – i uśmiechnął się.

Kiedy już jedli, zadał mu to pytanie, które dręczyło go dobrą chwilę. Odkąd jadł frytki.

- Stone, dlaczego tak wybrzydzaleś? Tutaj i tak wszystko smakuje jak tektura.

- Wiem, ale – tu wskazał ociekającą z tłuszczu frytką na spory zad Sally, która właśnie po coś sięgała przy barze – lubię z nią gadać. A właśnie, jak załatwiałeś potwory? Miałeś powiedzieć.

- Tak – powiedział z ulgą – muszę zobaczyć zapory. Z tego co słyszałem, zbudowaliście zapory dźwiękowe.

- To je odstrasza.

- Taa, z jednej strony część wycofa się, ale reszta ma zawsze większą odporność. Słyszałem też, że porywają mieszkańców.

- Tak, tym razem rozniesiemy skórko...

- Nie, Stone. Tym razem je zabijemy. – Mówiąc to uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Trzeba je deptać, nie wolno się ich bać, może i mają tylko dwa wymiary, ale to istoty z krwi i kości, trzeba je umieć zranić!

Stone słuchał go z półotwartymi ustami.

- Aha, a co myślisz o Miki? Też dupa jak trza!

Salieri pił. Bar był pełen różnych cieni, dymu papierosowego, i rzewnej muzyki. Była w dodatku noc, i szósty kieliszek, a teraz barman podawał mu czwarte piwo.

- Do dna, przyjacielu, do dna – usłyszał za sobą. Obejrzał się za siebie, prawie spadając przy tym z krzesła. Stało za nim coś rozmytego i podwójnego.

- Czego? – Warknął. Miał nieodpartą ochotę zwymiotować albo przywalić temu komuś w

pysk, ale było ich dwóch.

- Trzeźwiej – powiedział jeden z nich. I pstryknął palcami.

- Co? – Zawył Salieri, ale po chwili zdał sobie sprawę, że jest już trzeźwy niczym poranek. – Magia? – Zapytał niepewnie.

Facet był delikatnej budowy, miał długie włosy nieokreślonego odcienia szarego, i wyraźnie czarne ubranie.

- Coś ty za jeden? – Powoli pytanie.

- Pobiłbyś mnie, gdybym cię nie zaczarował. Chodźmy już z tej chlejni – powiedział, patrząc sobie na palce – były wypielęgnowane jak u baby.

- Czemu mam niby z tobą iść? – Zapytał, patrząc spode łba na nieznanego.

- Pracowałeś w Lemurii, nie?

- A no pracowałem, co, plotki tak szybko tu idą?

- Nie, ależ skąd. U Sally Goo podsłuchałem.

- Tam nikogo nie było oprócz nas! – Zawołał, szczerze mówiąc, bał się tego faceta.

- Wyjdźmy, to ci powiem, gdzie siedziałem...

Salieri poczuł chłód wrześnie nocy. Padało lekko, nie było wiatru. Facet zapalił długiego, cienkiego papierosa.

- To cię chyba podniesie na duchu, co ci powiem. Ale nie wolno ci mnie zdradzić.

- Zaraz, zaraz – przerwał mu – nie wiem kim jesteś, nie wiem, czego ode mnie chcesz. Nie wyglądasz mi na samotnika, który chce się napić w barze...

- Ech – westchnął tamten. Przejechał dłonią po włosach. – Po prostu wiem, jak wkurza cię mówienie do ciebie per ty. Trochę cię zdenerwowałem, ale wszyscy się tu zachowują, jakby chcieli cię wyprowadzić z równowagi, nie?

Przypatrzył mu się uważniej. Jasne oczy i cera, ciemny strój. W kieszeń marynarki miał zatknięte ciemne okulary. Jakiś agent Atlantydy?

- Zapytałeś, czy Sally to człowiek, nie?

- Tak. Czyli tam byłeś.

- Ba, ja nawet wiem, co zamówiłeś, parciate frytki, hot doga bez majonezu i colę. Majonezu nie było.

- Ale skąd to wiesz?

- Jakoś wolę trzymać się na uboczu, wiesz? Ten dupek Stone przerznął dwa razy Sally na zapleczu, przy czym Sally powiedziała mu, że super z niego chłoptaś, i że takich lubi. Tego nie wiesz, nie?

- Mówił, że ją miał, ale nie widzę związku.

Szli ulicą Klonową, deszcz przestawał powoli kropić, chmury rozstępowały się, i zza drzew spoglądał na nich papierowy rąbek księżycy. Wyglądał jak rogal zawinięty w papierową torebkę.

- No cóż. Związek jest. Stone i jego ojciec rządzą tym miastem razem z burmistrzem, a Sally woli żyć z nimi w zgodzie, nawet, jeśli to by znaczyło, że podczas dorocznej popijawy w remizie będzie im dawać ile wlezie. Szeryf mawia – jasny gwint, niech mnie kule biją, jeśli to nie najbardziej rozjechana dupa w mieście! – Westchnął, i ciągnął dalej – Sally jest idealna. Jest brzydka jak noc, ale po kilku piwach pół miasta chce ją rznąć. – Zaśmiał się – tak cię to szokuje?

- Wiesz, ja w Lemurii widziałem sporo rzeczy, kult Nandii Nierządnicy, na każdym rogu inny burdel, ale Sally mnie...zadziwia.

- Sally ma zadziwiać – wyjaśnił – kobiety w mieście jej nienawidzą, ale przecież tu rządzą mężczyźni. Szeryfowa splota za każdym razem, gdy widzi Sally, ale Sally jest ubrana w krótką

spódniczkę, koszulkę z dekoltem, i ma bardzo duży biust. No i jej tyłek, to rusza facetów. Więc Szeryf, za każdym razem, gdy usłyszy od Sally, że jego żoneczka ją brzydko potraktowała, to potem leje tą kwokę całą noc.

- Niezbyt to przyjemne. – Przyznał Salieri – ale jaki to ma związek, z tobą, nieznajomy?

- Patrz uważnie – szepnął.

Facet zaczął się zmieniać. Najpierw nieznacznie zafalowało na nim ubranie, jakby targał nim jesienny wiatr. Potem zwinął się w pałąk, i w jego ciele nastąpiło coś w rodzaju implozji. Kiedy się wyprostował, miał na sobie ciemne, lakierowane getry, buty na szpilkach, i obcisły sweterek. I ciało Sally Goo.

- Mimikra – powiedział Salieri ze zdumieniem.

- Otóż to – odparła nosowo kobieta i położyła mu rękę na ramieniu. Była wyzywająca, wulgarna i wstrętna. – Mów do mnie kotku teraz Sally, bo przecież na tym nam zależy, co?

- Nie jesteś człowiekiem – odsunął się – rozumiem, ale czemu Sally Goo? I czemu mi to mówisz?

- To proste, złotko. Wszyscy mają Sally, a Sally ma wszystkich. Jestem Sally już od sześciu lat, i wszystko idzie jak po maśle. Majonezu nie było, bo tajemniczy nieznajomy ma zwyczaj spuszczać się do majonezu, kiedy żarełko zamawia Stone, Szeryf, albo któryś z tych facetów, z którymi sypia Sally. Teraz, kochaniutki, jak chcesz, to mnie przerznij, a jak nie chcesz, to zaraz przyjdzie tu tajemniczy nieznajomy i wyjawi ci jeden z największych sekretów pustyni – wyszeptła mu do ucha, najbardziej podniecającym głosem, oplatając mu uda nogami.

- To drugie – warknął odpychając ją od siebie.

- Słuszna decyzja – odparł już facet. – Bo powinieneś wiedzieć, że Sally od trzech miesięcy ma babską chorobę. Rzeżączkę. Leczy się już, ale ciągle się zaraża, bo jeden z jej partnerów ciągle ją na nowo zaraża. – Roześmiał się. – Samochód mam zaparkowany pod barem u Sally. Słuchaj dalej – Sally trochę się zmartwiła, gdy usłyszała, że ktoś stawia pod znakiem zapytania jej człowieczeństwo, ale od czego ma babskie wdzięki, postanowiła uwieść tego nowego policjanta, ale zauważyła, że mu się nie podoba.

- Sally szczerze mówiąc- wtrącił Salieri – przypomina mi kapłanki Nandii Nierządniczy.

- Masz rację, bystry jesteś. Sally dobrze jednak wie, że facetom tylko jedno w głowie, bo i tajemniczy nieznajomy to wie. Sam sobie lubię použíwać, niestety, do tej pory, to były tylko w większości babskie orgazmy. – Znów zapalił papierosa – kobiety to trudny gatunek. Pomyślałem więc, że uproszczę Sally do granic możliwości, to schematyczna kobieta. Uproszczony model, w sam raz na potrzeby miejscowych mężczyzn. Oto mój wóz – wskazał – nie masz się czego bać, w sumie, to ja powinienem bać się pracownika ochrony...jeśli nim w ogóle jesteś. Tutaj każdy chce zatuszować swoją przeszłość. Wiesz na przykład, że Szeryf i jego syn byli zamieszani w porwania? To dlatego tu są. Nie jest do końca udowodnione, ale zdaje się gwałcili ofiary gwałtów. To było w czasach, kiedy nie było jeszcze badań genetycznych, i nikt nie wierzył słowu kobiety...

Niepewnie wsiadł. Nieznajomy prowadził.

- Ale po co mi to mówisz? – Zapytał Salieri.

- Bo to ciekawe. Wszystko ma sens, i zaraz się rozjaśni ci w głowie. Chcesz pokonać potwory ciszy, nie?

Przytaknął.

- No więc – ciągnął mężczyzna – nie zawsze byłem Sally. Kiedy się tu sprowadziłem, zostałem Nadią Lewkowną, już nie pamiętam, kim ta baba była, ale harowała tu jak wół przy najgorszych pracach. Więc porwały ją potwory ciszy.

- Więc...

- Potem w mieście pojawił się młody i przystojny lekarz z Taedu. Uciekał z rejonu Zatoki Szkieletów, jakby mu się gacie paliły. Jednak męska część mieszkańców go nienawidziła. Prosta przyczyna – uwodził w gabinecie kobiety. Baby mają długi język, co przydaje się w seksie oralnym – zachichotał – ale sprawia sporo problemów w życiu osobistym i społecznym. To hermetyczna społeczność. Podczas obrony miasta porwały go potwory ciszy. Tragiczne – westchnął. Potem zjawiała się nauczycielka języków obcych, nie pamiętam jak się nazywała. Znała mowę chaosu, bharath, angielski, francuski, i atlantydzką odmianę mowy chaosu. Jednak dzieci ją denerwowały, i w ósmym roku jej bytności w mieście zdarzył się wypadek.

- Pewnie potwory?

- Gdzie tam, chciałem być oryginalny, więc popełniła samobójstwo. Zatrula się cyjankiem. Potem zaczęły się pojawiać różne kobiety, najciekawszym przypadkiem była Calia, dziewczyna z nikąd, niemowa. Czysta jak lilia, dziewica i cnotka jakich mało. Długo wytrzymała, ale niestety życie ją pokonało. Szeryf z synkiem zgwałcili ją na dorocznej popijawie w remizie⁷. To już nie było ładne z ich strony. Calia przecież udzielała się w parafii, pisała pieśni dla chóru kościelnego, cud dziewczyna. Porwały ją potwory ciszy. Kiedy wreszcie pojawiła się Sally⁸, użyta dziewczyna, jak widzisz. Potwory atakują miasto rok w rok od dwustu lat... - skończył.

- Jakim cudem przywołujesz potwory ciszy? – Zapytał Salieri z przestrachem i szacunkiem. Facet był niebezpieczny. To widać.

- O jejku – wzruszył ramionami – od razu, przywołuję...

Dojeżdżali na skraj pustyni. Była szara i usiana kamieniami. Nie wiał tam żaden wiatr. Aż dziwne, że istnieje. Po chwili przypomniał sobie, gdzie się znajduje i zrzucił istnienie tego miejsca na karb braku rzeczywistości. Zaporę stanowiły długie rzędy betonowych słupów połączonych ze sobą grubymi kablami. Na kablach wisały metalowe garnki, dzwonki, i metalowe rury.

- Możesz być kim chcesz – wzruszył ramionami Salieri.

- Słuszna uwaga. Ale to nie wszystko. Mam sporo lat, tak, że sporo osób uznać mnie może za nieśmiertelnego – popatrzył na Salieriego z błyskiem w oku – ale wszyscy wiemy, że na całutkim tym świecie nieśmiertelni są tylko Strażnicy Wieży, anioły i Królowa demonów. Cały Taed przemierzysz wszerek i wzdłuż, całutką Ziemię, wszystkie te miasta fantazji, Śmierci, Światła, i inne cholery, a każdy jednakowo krwawi, a pewnego dnia obraca się w proch. Chwalmy Pana! – Zawołał – Alleluja! Ale jak wiesz, większość tych miast państw, miejsc, nie istnieje naprawdę.

- Taa... - mruknął Salieri. – Czyli ciebie, nieznajomy też można zabić tylko w rzeczywistości?

- Na Boga! Nie! Mnie ot tak nawet pięścią nie trafisz! Chyba, że bardzo byś się starał, i gdybym ja tego chciał! Panie, pobłogosław kasyna!. A, chłoptasiu? – Zapytał głosem Sally – co taki nieśmiały się robisz, kiedy wspominam, o twojej poprzedniej robocie? Przecież i tak cię nie skrzywdzę...

- Skąd wiesz?! Ty wiesz?! – Wrzasnął, zrywając się na równe nogi.

- Chłopie...to banał – machnął ręką. – Może i wasze imiona były tajne, i wszyscy wiedzieli tylko o tym, że są jacyś trzej nieśmiertelni muszkietierowie, w pedalskich mundurkach, którzy siedzą przy Wieży, nikt do końca nie wie, po cholere właściwie, bo Królowa jest zamurowana na amen, i może sobie zdechła, bo jej żyć nie dawaliście... mogłeś sobie tu uciekać

⁷ Doroczna popijawa w remizie to określenie z South Parku, ale pozwólcie mi go użyć, jako, że nieco je zmodyfikowałam i nabiera tu pejoratywnego znaczenia.

⁸ To tak w ogóle tytuł jednej z piosenek country.

przed gniewem nieśmiertelnej, razem z innymi, ale wasze mordy są na banknotach dwusetkach z Lemurii! Aż taki idiota z ciebie? – Zawołał, wstał, przeciągnął się i wyjął z bagażnika dwa tanie wina. – Pij. – Polecił mu.

- Tak, ale nikt stąd w Lemurii nie był. – Syknął. – A poza tym to wolne miasto, i nikt nie ma prawa mnie tu narażać. Szczególnie ty.

- A skąd wiesz? Może siedzi tu jakaś przystojna wampirzyca o mglistej przeszłości? Albo inny strażnik, któremu demony chciałyby obciąć jaja? Różnie się zdarza – upił łyk, siadając na masce auta – jeden taki przyjechał tu, kiedy naszczał do basenu, ale się okazało, że w wodzie była taka śmieszna substancja, co barwiła mocz na fioletowo. I wyobraź sobie teraz – wstał – facet leje, a piękny to on nie jest, blady jak reformy damskie, dopiero co przyjechał do kurortu na urlop z pracy, i leje sobie, a tu nagle ludzie się od niego odsuwają. A ratownik drze się – przytknął dłonie do ust i zaczął wołać donośnie – hej, ty! Facet w czerwonych kąpielówkach! Tak, do pana mówię! Ma pan zakaz wchodzenia do basenu! Wszyscy z wody! Wszyscy z wody! A tego pana od tej pory nazywamy od dzisiaj Lejas!

- Ha ha, rzeczywiście śmieszne...

- Tragiczne! Żeby być takim młotem, żeby z takiej głupoty robić sobie wyrzuty i tu przyjeżdżać?! Salieri! Ty się bałeś nieśmiertelnej, nie? A tamten debil bał się głupiego ratownika!

Salieri popatrzył na tego wesołka spode łba. Znalazł sobie facet sposób na życie...jeszcze, żeby powiedział mu, o co chodzi w tym tricku z potworami...

- No, dalej, cienias – zawołał nagle nieznajomy, podbiegając do niego – pokażę ci potęgę kasyn w Lemurii!

- Co mam zrobić? – Zapytał nieśmiało.

- A co chcesz? Walnij mnie na przykład!⁹ – Przyjął pozycję, i wyraźnie się prosił. Salieri upił kolejny spory łyk – z całej siły!

Odłożył butelkę, i wstał.

- Cienias? – Zapytał, patrząc na podskakującego jak idiota nieznajomego.

- Facet z cienia, tchórz! Cienki bolekar!!! – Kontynuował – Cienias! Analogia do LEJAS!

Salieri zamachnął się z całej siły, celował w brzuch pięścią, ale nie trafił.

- Nic mi nie zrobisz! Jestem niezniszczalny! Chwalmy Pana!!!

Stał teraz z rękami wyciągniętymi ku bladnacemu niebu, a Salieri zaatakował go od tyłu. Cios powinien trafić w plecy, prosto w kręgosłup, ale znów chybił.

- Za dużo wypilem – usprawiedliwił się.

- Cienki jesteś jak piwo karmelkowe! Ale to wina twojego spasionego brzucha, nie twoja! – Zachichotał. Salieri postanowił milczeć.

- Co z potworami? Kiedy zaatakują?

- A, potwory – przyznał, uspokoił się nieco i odetchnął głęboko. – W tym roku zrobią ładny pokaz, zabezpieczenia – wskazał niedbale ręką na słupy – rzecz jasna wytrzymają, ale tym razem zrobią dużo hałasu. Sally Goo nie ucierpi, ale ucierpi na tym za to dom burmistrza. Musisz dać z siebie wszystko, razem z innymi mężczyznami, żeby nikomu nic się nie stało. Rozumiesz? – Biały, złośliwy uśmiech – bo będzie naprawdę gorąco!

- Grozisz mi?

- Nie, ja tylko ostrzegam.

⁹ To wydarzenie powinno się skojarzyć z filmem Fight Club. Uszanowanie dla Chucka Palahniuka, ale nie wierzę, by Bóg miał aż tyle dyplomów!

Jam aktem i ofiarą gniewem zbożnym i twym katem
niewiastą o spojrzeniu mrocznym
gdy cię zaraz ucałuję
już nic cię bucu nie uratuje

Salieri zapukał do mieszkania Huberta. Klatka schodowa była czysta, choć szara i ciemna. Kiedy dawali im mieszkania na początku, musiała tu zajść jakaś pomyłka – myślał, ilekroć tu przychodził. Tymczasem, ilekroć tu był ostatnimi czasy, Huberta i Rafaela nie było. Stał przez chwilę i pukał, a z mieszkania obok wyjrzała jakaś paskudna kobieta w papilotach na głowie i z jazgoczącym pieskiem na ręku.

- Nie ma ich – odpowiedziała szalonym głosem. – Nie ma!
- A gdzie oni teraz się znajdują? – Zapytał, przekrzykując pinczerka na ręku baby. Głaskała go szponiastymi rękami, jakby było to jej własne dziecko.
- Pan Hubert miał dość tego mieszkania, i zdaje się wynajął coś innego.
- Bez powiadomienia mnie? – Zapytał sam siebie.
- Nie wiem! – Odparła kobieta i zniknęła za drzwiami. Przez chwilę jeszcze towarzyszył mu stłumiony warkot pieska.

Nie miał pojęcia. Od zawsze...od początku robili wszystko razem – wszystko! Poza tym Salieri też był odpowiedzialny za Rafcia, a Hubertowi przecież ostatnio dokuczały bóle w kikucie...

Klatkę schodową wypełnił czyjś śpiew – zachrypnięty, i pijany. Sally – westchnął ze złością. Tylko jej tu brakowało. Czy może jego? Nieważne.

- Zabierz mnie tam...chcę być tam...- śpiewała, potykając się na wysokich szpilkach piętro wyżej – gdzie na zeszcłej gałęzi śpiewał niegdyś ptak...rzewnie śpiewał ptak...pożar zgasł...a na czarnej gałęzi ostał się jeno...kamienny ptak...złociutki – zduszony głos, pytający jakiegoś mieszkańca – chyba mnie odprowadzisz? Ja w tym stanie nie pójde...ej! Zakosiłeś mi majtki! Oddawaj!

Salieri zbiegł po chodach w dół. Na podwórzu bawiły się jakieś dzieci, grały zdaje się w piłkę. Usiadł na ławce, i poczekał na Sally. Może mimo wszystko ją odprowadzi? Teoretycznie nieznajomy znał zakłęcie trzeźwości, ale nie wiadomo, czy Sally wypadało popisywać się mocną głową.

- Lecz nie śpiewa już ptak – zawodził damski, chropowaty głos – lecz czemu nie śpiewa już ten ptak...odpowiem ci złotko...no, wreszcie, pomóż mi założyć...nie śpiewa...bo tak! Hahaha!

Salieri poszedł z rękami w kieszeniach przed siebie.

- Salieri! – Usłyszał za sobą pijackie wołanie – fagas mnie zostawił! Wrócił się i zamknął mieszkanie! Co za kawał gada! A tak nam było dobrze!

Była ubrana w obcisłą, jasno szarą sukienkę do połowy ud, a w rękę trzymała małą, babską torebkę. Machała do niego rozczapierzoną ręką uzbrojoną w te potworne paznokcie. Potykała się, na nienaturalnej wysokości obcasach, dzieciaki śmiały się z niej, a ona zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Jak ty wyglądasz! – Syknął w jej kierunku.
- Już trzeźwieję – mruknęła. Pstryknięcie palcami przyszło jej z trudem, jako, że nie umiała skoordynować ruchów. W końcu powiedziała – jestem trzeźwa, ale niech ci się nie wydaje, że zrobiłam to dla ciebie, chłoptasiu!

Axantez Batezam Axis śniła. Śniła swój wielki sen zimowy o Adamie Małysz. Zima. Wspaniała rodzinna rozrywka na śniegu, Austria, nieustające, bitwy na śnieżki, Mikołaj, renifery, Ślub Michała Wiśniewskiego w lodowej katedrze...

- Wstawaj, najwyższy czas! - Usłyszała Axe, i wiedziała, że to on, sam Adam Małysz do niej przemawia.

- Witaj, Adamie - powiedziała przecierając oczy. - Ja chyba śnię, to ty... Mogę prosić Cię o coś bardzo ważnego? - Spytała, drżąc na swym delikatnym ciałku z wrażenia.

- Ależ oczywiście, moja największa fanko.

- Podpisz mi się na czole... Nigdy go już nie umyję... Ach, dziękuję... Dziękuję...

- Czas na ciebie - rzekł poważnie, chwytając ją za rękę.

- Ależ dlaczego? Muszę już wstawać? Ten sen jest taki piękny!

- Axe... Musisz skakać, twoja kolej...

- Ale dlaczego na sankach?

Adam położył swą dłoń na jej czole i błogosławiącym gestem pozdrowił ją.

- Leć, Axe, Leć! Jak najdalej?! - Skandowały tłumy na trybunach.

- Lecz czemu na sankach? - Kołatało się nieśmiałe pytanie po jej gadzio małym mózdzku.

- Bo tak - odparł Adam Małysz.¹⁰

Śnieg i niesprzyjające warunki atmosferyczne, a także nieprzychylny wiatr w plecy nie przeszkodziły Axe w uzyskaniu najwyższych not i zakończenia skoku telemarkiem. Przez chwilę napawała się swym zwycięstwem, ciesząc się niemożliwym ponoć mistrzowskim wykonaniem telemarku na sankach. Mamucia była jej!

- Ach, jakbym chciała wystąpić na jakiejś olimpiadzie, ale nie żadnej specjalnej - westchnęła, a Adam rzekł:

- Niestety, niektóre marzenia nie mogą się spełnić. Droga Axantez Batezam Axis... Lecz idź przez życie tak, byś mogła żałować tylko tego, czego nie zrobiłaś...

- Jakże to piękne, Adamie, ale przecież... Przecież zima się skończy, i znikniesz! Ach, rozpacz moja!!! - Zawyła, stojąc na ośnieżonym szczycie korony Tatr.

- Cóż to za nagły atak depresji, piękna baszantko? - Zapytał troskliwie.

- Bo zimy, którą tak sobie ukochałam nie zobaczę nigdy na żywo, ponieważ jestem gadem, i jestem zmiennie ciepła!

- Nie smuć się, złota baszantko! - Przytulił ją do piersi swej - zrekompensujesz to sobie, ponieważ w lecie możesz zawsze oglądać skoki na igielicie...

- Ach, faktycznie!

- Lecz skup się teraz, bo wyjawię ci największy sekret wszechświata - rzekł, a Axe obtarła swe krokodyle łzy. Szli teraz gajem oliwnym, a gdzieś w krzakach dostrzegła Adolfa Hitlera zbierającego grzyby. Tymczasem po drzewach oliwnych skakały wiewiórki, śpiewając „skacz jak Adam Małysz”.

- Tak, skupiam się.

- Otóż, przeze mnie - w tle rozległy się werble - wyginęły dinozaury.

- NIEEEE - wrzasnęła Axe.

Obudziła się w swojej skrzyni, uderzając o wieko głową. Przez chwilę kleła, potem mimo wszystko odetchnęła kilka razy cuchnącym powietrzem. Czuła się paskudnie. Wszystkie jej mięśnie były zardzewiały, od długiego snu, a w ustach czuła coś w stylu zdechłej myszy. Kilka

¹⁰ Tekst pisany w koprodukcji z Arturem, inspiracja - sen panny Victorii, z innego utworu literackiego.

razy przeciągnęła się, i kopniakiem wybiła wieko.

W nocnym widzeniu, wszystko postrzegała według drobnych niuansów cieplnych. Tymczasem wyszła, i rozprostowała kości. Kilka razy nastroszyła kołnierz kostny, i ziewnęła.

Tak. Tego mogła się spodziewać, i prawdę mówiąc, przewidziała tą okoliczność – ba! Nawet się na nią odpowiednio przygotowała.

Dobrze wiedziała, że ta zdradliwa bestia w pedalskich ciuszkach ją zdradzi wcześniej czy później. Już wtedy, kiedy leżała na torach, chciał ją opuścić. Zazwyczaj zwracał się do niej per – ty debilko, idiotko, bezmyślna kretynko, że niby z nią to tylko do cyrku...

Teraz zamurował drzwi i okno.

Axe pogrzebała w styropianowych kuleczkach, które wyścielały jej leże. Co prawda było jej niewygodnie podczas snu i miała odleżyny, ale teraz nie żałowała, że włożyła tam ten młotek i kilka dłuć.

Była głodna i spragniona, ale miała wciąż tyle siły, by teraz wykuć otwór w ścianie nim się udusi czy zdechnie z głodu.

A potem znajdzie tą kreaturę Armala i urządzi mu pogrzeb upiora.

Jednym z mitów na temat dalszych losów anielskiego dziecka jest baśń o Wielkim Pędraku i Trzech Aniołach. W baśni tej trzej aniołowie zbiegli z Atlantydy włamują się do Wieży w Lemurii, i zostają schwytani, niezdolni do wszelkiej obrony, gdyż widok Królowej sprawia, że tracą zmysły. Według tego podania Królowa jest tłustym olbrzymem bez rąk i nóg, natomiast na plecach straszyły kikuty jej skrzydeł, ślady anielskiego pochodzenia. Królowa rzec miała – Jestem aniołem, bracia moi.

Rzecz jasna, baśń ta zmieniała się wraz z upływem czasu, zmieniała się liczba rycerskich aniołów, i wygląd Królowej, niemniej jednak, zawsze pozostaje wzmianka o tym, że jest ona pochodzenia anielskiego. W baśni tej żywe są obawy aniołów, co do zamierzeń naukowców, i efektów ich działań, jak i celowości wszystkich zamierzeń podejmowanych przeciwko aniołom i demonom.

Lecz dość już o Atlantydzie, przejdźmy na chwilę do jakże wdzięcznego tematu, jakim jest Lemuria. Jedną z oficjalnych metod kontroli urodzin tych jakże plennych stworzeń jakimi są demony było od zawsze dodawanie do wody pitnej środków antykoncepcyjnych, dzięki czemu, nie rozmnażały się na tyle, by zagroziła ich populacja reszcie świata. Demony przy tym okazały się na szczęście tak prymitywne, że bunty ich nie trwały dłużej, niż osiem lat. Potem zajęły się rozwojem miasta.

Demony uchodzą w wielu publikacjach za istoty o uproszczonym pojmowaniu świata – ich prymatem według Ludwiga Holgerstroma jest rozmnażanie się, zdobywanie pożywienia i rozrywka w ich plugawym tego słowa znaczeniu. Teoria Holgerstroma niestety okazała się słuszna – istoty złego ducha nie są w stanie do większych poświęceń, jak i do skomplikowanych procesów myślowych – ich myśli nieustannie zaprzątane są przez nieczne knowania przeciwko ludziom i aniołom, i co już zostało postanowione, utrzymać liczbę istot złego ducha winno się na poziomie miliona, nie więcej, czyli tyle, ile wynosi połowa populacji aniołów na Atlantydzie.

Salieri zupełnie nie rozumiał sposobu bycia Sally. Trudno tu w ogóle mówić o jakiegokolwiek Sally, jeśli miał do czynienia jednocześnie z jakimś tajemniczym nieznanym, który zdaje się miał na imię Tajemniczy, a na nazwisko Nieznajomy. Jako policjant chętnie by sprawdził mu dokumenty, i dopiero by się uśmieł, gdyby okazało się, że mieszka na ulicy Pośrodku Niczego, a jego matka ma na imię Bezimienna, a brat Jeszcze Bardziej Tajemniczy. O

ojcu wolał nie myśleć.

Może tu chodziło o coś w rodzaju rozdwojenia jaźni? Mogło o to faktycznie chodzić, chociaż z drugiej strony Sally czy nieznajomy, czy może Nieznajomy nie wyglądali na zagubionych czy nieszczęśliwych.

- Co tak myślisz? – Spytała Sally, robiąc mu kawę. – Nie przejmuj się, pewnie przenieśli się do lepszego lokalu, i tyle. Po prostu nigdy cię nie ma w domu, i nie mieli cię jak zawiadomić...

- Ale zawsze mieli czas...a to naprawdę poważna sprawa. Przecież mogli zamieszkać u mnie, nie?

- No tak, ale pomyśl – zapaliła papierosa, usiadła obok niego, stawiając przed nim kubek gorącej cejlońskiej. – Mieli prawo chcieć od ciebie odpocząć, nie? Może chcą pobycć sami?

- Jesteśmy zagrożeni. Musimy trzymać się razem, nie? – Potarł dłońmi twarz. – To nic, że nie nadaję się już do walki. Ale powinniśmy utrzymać się... Boże – oparł głowę o miękkie oparcie fotela. Z magnetofonu w kącie pokoju płynęła spokojna piosenka, ta, którą śpiewała Sally po pijanemu, tyle, że teraz widział całe piękno tego utworu. Aksamitny głos wokalistki w połączeniu z delikatną gitarą i pianinem sprawiały, że był coraz bardziej spokojny, choć zaczynał za czymś tęsknić.

Zabierz mnie tam
Gdzie na zeschłej gałęzi
Śpiewał niegdyś ptak
Kamienny wieczny ptak
Nie śpiewa już
Jak kiedyś
Bo pożar strawił las
Ostał się jeno suchy konar
I ten ptak
Nie pytaj mnie więc
Czemu chcę tam być
Chcę być tam
Bo kiedyś śpiewał tak pięknie ten ptak
Na zeschłej gałęzi
Pośród zielonych liści ptak

- Piękna piosenka – powiedział Salieri.

- Wiem, Gabriela Stamin pięknie śpiewa. Ma talent. Zamierzałam zaśpiewać kilka jej piosenek na Dorocznej Popijawie w Remizie, ale po dzisiejszym popisie chyba zrezygnuję. Myle słowa – ucieła.

- Mogę być szczery? – Zapytał unosząc brwi.

- Wiem, nie mam głosu i zniszczyłabym tą piosenkę – zaśmiała się cicho.

- Z czego się śmiejiesz?

- Pomyśl no chwilę. A jeśli Królowej w ogóle nie ma?

- Co ty pleciesz?

- Poczekaj. Przybyliście tutaj, bo uciekaliście przed jej gniewem, nie? Ale z drugiej strony, to o tym, że w ogóle wydostała się z Wieży, dowiedzieliście się od wyjeżdżających masowo demonów. Nie?

- No tak.
- Opowiedz dokładnie. Może coś razem ustalimy?
- Okazaliśmy tchórzostwo. Nie będę mówił...po prostu dotarło do nas to, że ona chodzi na wolności, i ...
- Zwialiście tutaj. A teraz ja ci powiem, jak ja to widzę. – Upiła łyk herbaty. – Bo widzisz. Wyobraź sobie, że jesteś na jej miejscu. Co byś czuł? Bo ja to bym chciała pozabijać tych, którzy przez cały czas nienawidziła. Czyli was, i tych z Xandau, którzy stworzyli to całe miasto. A ona nic. Hyc, i jej nie ma. I nikt nie wie, gdzie teraz siedzi. W całym obmurowaniu nie znaleziono nawet jednej wyrwy, nawet w barierach magicznych niczego. Nic! Może po prostu umarła. Nic nie jest wieczne, nawet nieśmiertelność. Kto w ogóle mówił, że jest nieśmiertelna, nie?
- Mylisz się. Ona jest nieśmiertelna.
- Popatrz na to z innej strony. Wampiry. Wampiry są nieśmiertelne, nie?
- No są.
- Ale to bardzo krucha nieśmiertelność. Z definicji nieśmiertelnym jest ten, kto nie może umrzeć, i porusza się, a jego iloraz inteligencji pozwala mu...a zresztą, do rzeczy. Wampiry w podręcznikach nazywane są nieśmiertelnymi tylko dlatego, że nie umierają. A one i tak nie żyją. To znaczy – poprawiła włosy, ciągnęła dalej, widać trafiła na ciekawy dla siebie temat - Ale można przecież zniszczyć wampira. No, jak?
- Zanurzyć całego w wodzie święconej, żeby się rozpuścił, chyba, że obleje się go tak, że...no, woda święcona działa na nie jak kwas na inne zwierzęta. I na ludzi, rzecz jasna. Albo spalić w poświęconym ogniu. Albo wystawić na silne słońce.
- No popatrz. Wszystko w przyrodzie ginie wcześniej czy później – wypuściła dym umalowanymi ustami do góry, niczym przez komin. – Myślę, że Królowa mogła po prostu umrzeć, albo zwariować dokumentnie, każdy by zwariował na jej miejscu...może nie wiedziała co robić z nudów i rozplynęła się? Jak myślisz, dlaczego tylko demony jej szukają, a nie na przykład oddziały strażników z Xandau? No?
- Bo ja wiem – przeciągnął dłonią po twarzy. – Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Może masz rację, Sally. Może zbyt szybko uciekliśmy, nie sprawdziliśmy nawet, czy w Wieży były jakieś zwłoki. Popelniliśmy błąd. Ot, co. Ale nie cofnie się czasu.
- *Kiedyś* można było cofać czas. Ale już się nie cofa. Ty jesteś z przyszłości, co była *kiedyś*, nie? Strasznie to głupio brzmi. – Zachichotała. – Ale tak to się mówi, chyba.
- Wiem. *Kiedyś*. – Prychnął. Wstał, i przeszedł się po zadymionym pomieszczeniu. U Sally było bardzo przytulnie, puchate narzuty na meble, ciemne tapety w secesyjne wzorki, obrazy na ścianach...dobry nastrój, poczucie bezpieczeństwa. Może na tych puchatych mebelkach uprawiała z kimś seks, a ten ktoś też uważał, że to takie bezpieczne miejsce?
- *Kiedyś* – powtórzył rozmarzony. – *Kiedyś*, to czasy, których się nie pamięta. Wiem, że byłem *kiedyś* w Xandau, że odbywałem tam trening... wiem, że w siedemnastym wieku ery Chrystusa dostałem ofertę pracy w czasach *dawno, dawno temu*. I że nie miałem większych obiekcji, chyba byłem głupi, że na to przystałem. – śmiał się teraz sam z siebie. Głowa nabita ideałami, tyle pamiętał. Chciał robić coś lepszego niż inni. - Potem żyłem, żyłem, i...sam nie pamiętam teraz co było *dawno, dawno temu*. Teraz większość tych wynalazków, które były *kiedyś* nie istnieje, bo zapomniano, jak je wytwarzać. Ale *teraz* ludzie odkrywają je na nowo. Jakby...zamykało się jakieś koło. Wiesz, co mam na myśli?
- To dlatego nieśmiertelność jest głupia. Zapomina się. – Przyznała. – Ale zmienmy temat, dobra? Przyjmijmy, że jutro dowiadywać się będziemy, gdzie są ci twoi bracia, i to gadanie o tym, czy można cię zabić, czy nie. Bo ja myślę – odchrząknęła – że ty masz jakiś limit, wiesz, granicę,

którą jak zepsujesz, to umrzesz, tylko, że jeszcze jej nie znasz. Chyba wiesz o co mi chodzi?

- Chyba wiem... wiesz...dziś w robocie Szeryf pieprzył Miki w swoim biurze. – Posłusznie zmienił temat. W końcu mieli miło spędzić czas, nie łapiąc żadnej choroby.

- No, to się nazywa nowina! – Klasnęła w dłonie – opowiadaj!

Odsapnął. Czyli to ciągle stara, znana wszystkim Sally.

- Przyszedłem sobie normalnie na ranną zmianę, nie? Stone był na nocce, i ja sobie siedzę w hollu, kawę piję, i coś mi się zaczęło wydawać, że ktoś jest w biurze Szeryfa. Jakieś stuki. Łup, łup! – Zaczął walić miarowo dłonią o stół.

- Odgłosy solidnego ciupciana, jak nic! – Zawyrokowała Sally.

- Ale daj mi skończyć. Zajrzałem przez szybę, on ma żaluzje, ale i tak widziałem, co miałem zobaczyć. Nie? A ten grubas, wiesz, wygląda jak mors, tłusty, cały brzuchol mu się trzęsie, a on tą małą Japoneczkę, czy Koreankę od tylca posuwa! Łup, łup! Głupio mi się najpierw zrobiło, ale tej małej nie cierpię. Potem, kiedy skończyli, ona wyszła taka potargana zaraz potem do toalety. Kiedy wyszła, uśmiechnęła się do mnie, a ja nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie zacząć śmiać. Bo wiesz, on nią strasznie w biurze pomiata...

- Zdradzić ci sekret? – ściszyła głos, pokiwał głową. Powoli go te erotyczne gierki zaczynały bawić. Czuł, że za niedługo to miasto będzie zwane Miastem Rozpusty, a nie Miastem Śmierci. – No więc, Szeryf jest dominujący. Nie pytaj, wiem. A ta cała Miki to uległa, podła suka. Tyle ci powiem.

- Że kawał z niej suki, to wiem. I co zrobiłem, nie uwierzysz. Zacząłem walić tak ręką, jak teraz, łup, łup. Ta czerwona na pysku, i leci do szefa. A Szeryf tam w biurze w śmiech!

- No, to się doigrała. Szybko się uczysz, jak tu przetrwać. Ale chyba nie chcesz się zniżyć do poziomu Szeryfa i jego synalka z wiecznie chorym narządem? To on mnie zawsze zaraża, nie leczy się, bo wstyd mu do lekarza...

- Sally. Zbyt wysoko mierzysz. Tu są sami tchórze.

- Wiem...dlatego za niedługo Sally Goo odejdzie stąd po horyzont razem z jakimś uroczym płaszczakiem...

- Przecież tajemniczy nieznajomy mówił, że nikt nie ucierpi! – Zawołał.

Zamknęła oczy. Zaciągnęła się dymem, dłuższą chwilę wypuszczała go przez nos. Z oczu ciekły jej łzy. Nie rozumiał tego. Odsunął się. Wyglądała teraz tak smutno, i zarazem zagadkowo. W końcu otworzyła oczy, a z jej oczu spływał na poryte grubą warstwą pudru tusz, tworząc upiorną maskę demona karnawałowego...

- Ale Sally jest niezdecydowana – mówiąc to, coraz bardziej zmieniała barwę głosu. W końcu zdania słyhać było tylko głos tego nieznajomego – Sally nie wie dokładnie czego chce. Nigdy nie wiedziała. Nie narodziła się tutaj, więc chce wrócić tam, gdzie już dawno nie była. *Dawno, dawno temu...* Sally uprawiała seks z najważniejszymi cwaniakami Atlantydy, próbowała nawracać anioły na heteroseksualizm, gdy te jeszcze żarły ścierva na sawannach ówczesnej Sahary. Sally żyła razem z dzikimi aniołami na występach skalnych w Andach, kiedy ewolucja nie miała w planach ciebie, ani twojej matki. – Siedział przed nim tajemniczy nieznajomy, pałac niedopałek Sally, mówił powoli, niewyraźnie – ale Bóg jest wielki, chwalmy Pana! Wtedy nie było Sally, ale myśląc Sally, masz na myśli mnie, więc chyba rozumiesz, co mam na myśli. Przecież nawet jeśli *teraz* tego nie rozumiesz, *kiedyś* zrozumiesz. Wszyscy rozumieją. Sally kiedyś żarła ścierva antylop na równi z aniołami, sępami, hienami i lwami. Wszyscy kiedyś tak żyli. Ach, bym zapomniał. Sępy, hieny, ludzie. Lwy, słonie, krokodyle...

- Sugerujesz, że Sally, czy to, *kim*, jesteś, może aż tak się zmieniać?

- To, *czym* jestem. – Zamknęła oczy. – Pomyśl teraz o różnych możliwościach, o tym, co

mogło się zdarzyć, a co nie zdarzyło się tylko dlatego, że to ludzie są szczęśliwi – odchrząknął i wstał.

Salieri siedział teraz trzymając się kurczowo fotela. Bał się. Miał jeden, zasadniczy powód – nawet, jeśli ten facet opowiadał bzdety, to był cholernie niebezpieczny, bo słabo się bronił, albo faktycznie był nietykalny. A co najgorsze, Salieri przecież był tchórzem.

- Tchórz cię obleciał, widzę – ciągnął nieznajomy.

- Wolę gadać z Sally – oznajmił Salieri.

Tak. Był tchórzem, wstrętnym, opasłym cykorem, z brzuszkiem i wąsikiem. Ale ten cały nieznajomy z definicji Miasta Śmierci też powinien być tchórzem. Niebezpiecznym, ale tchórzem.

Wariatem?

- Wybacz, ale pewne rzeczy lepiej mi się mówi, będąc w tej skórze. Zarażona tryprem wiejska dziwka nie brzmi najwiarygodniej gdy mówi o czasach przed nastaniem człowieka.

- Problem w tym, że ci nie wierzę. I tak. – Założył ręce na piersi. – Idę zresztą. Pogadam jutro z Sally w barze, jak pojedę po żarcie na posterunek, bo i tak nic innego nie robię...

- Jeszcze podglądasz Szeryfa...podało ci się, he? – Zapytał, podskakując do niego.

- Nie, wyobraź sobie, że nie.

- To czemu ze mną nie porozmawiasz, co? Mam ci dużo do opowiedzenia...

- Nie mam czasu na słuchanie twoich bzdur!

- No to z Panem Bogiem – uśmiechnął się i odprowadził go do drzwi.

Trzeba przyznać, że Armal całkiem nieźle urządził się w domku na bagnach. Idealna chatka psychopaty wieśniaka. Traktorem dojeżdżał do wiejskich zakładów mięsnych, skąd brał zapasy mięsa, nie potrzebował na ten cel zbyt wielkich sum pieniędzy, jako, że bezpośrednio u producenta jest zawsze taniej. Palił tanie papierosy bez filtra, i sadił w ogródku malwy.

A, domek. Z domku był szczególnie dumny. Parterowy, drewniany domek w staropolskim stylu, otynkowany wapnem, a przez Armala dodatkowo pomalowany na błękit paryski, w Lemurii zwany też barwą Wielkiej Nandii Nierządnicy. Armal cieszył się jak diabeł, kiedy udało mu się zakleić dach papą, i kiedy przyszli do niego na Wielkanoc – dość wcześnie tego roku byli – po kolędzie, to spokojnie zareagował na wodę święconą. I jeszcze płótek – postawił śliczny płótek z drewnianych kijków, jak to mieli ludzie we wsi.

A posadził w ogródku malwy, narcyze, nasturcje. Domek miał takie śliczne małe okienka z okiennicami z serduszkami, a studnia była z wodą powierzchniową. Utopił tam kilku gogusiów z miasta, którzy dali się nabrać na gospodarstwo agroturystyczne. Armal kochał te zwierzęta.

Ludzie byli tacy rozkoszni!

Agroturystyka była wspaniała!

A kości były martwe. Puste. Jałowe. Zniszczone przez Królową, zabite na amen w pacierzu katolickiego, popapranego księdza. A w dowodzie pisało na ostatniej stronie: APAGE XANDAU, AVE MILENIUM.

A Armal oszalał. Po prostu, po, tak jak czasem ludzie wariują, to i on oszalał. Postanowił żyć uczciwie, zgodnie i w miarę swoich skromnych możliwości. Dowód z obrazkiem spalił w piecu, kości zakopał na niepoświęconej ziemi, codziennie sprawdzał bezskutecznie, czy coś się aby z nich nie wykluje, ale były to ciągle płonne nadzieje.

Potem oddał się agroturystyce, sadzeniu kwiatów, i picciu odżywczych koktajli, jak to widział w programie Fear Factor – do blendera wrzucał świńskie uszy, świński mózdzek, do tego wbijał świeże wiejskie jajko z fermy, potem dolewał krwi, wrzucał pieprzu i soli do smaku, a potem

wszystko miksował. I pił drobnymi łykami, patrząc jak jego malwy ładnie znoszą polskie przedwiośnie.

I pewnego chłodnego, wiosennego dnia, gdy śnieg jeszcze leżał gdzieś, do drzwi jego chatki, stojącej tuż przy lesie, zapukał facet w niebieskich okularkach i koszuli niedbale wyłożonej na dżinsowe spodnie. W ręku miał walizeczkę, a za sobą samochód.

Armal właśnie żuł drugie śniadanie, gdy zauważył jakiegoś wymoczka o twarzy codziennego onanisty. Który stał sobie jakby nigdy przed drzwiami jego pięknego domu agroturystycznego i pił colę.

- Co, do kurwy Nandii – mruknął, otwierając. – Pan do kwaterunku? Gorąco zapraszamy.

- Ja nie w tej sprawie. – Odpowiedział tamten – pan jest demon Armal?

- A pan to jest z policji? – Zapytał Armal, wysuwając w pełni świadomie kły z dziąseł.

- Nie, nie jestem. W dupie mam policję. Mam inne problemy. – Wyznał najwidoczniej z głębi serca, westchnął głęboko i zapytał – to wpuści mnie pan, czy ćwiartuje pan zwłoki i wstyd na całą wieś?

- NNIE. *Odczep proszę się pana ode mnie zapraszam...*

- Hipnoza, gnioicie, to ci nie wychodzi. – Wygarnął bez ogródek – to wchodzę.

Rozejrzał się po idealnie wysprzątanym pokoju, rzucił okiem na czyściutki igielit na stole, i sztuczne kwiaty w plastikowym wazonie wykonanym z butelki po pepsi.

- Ładnie się bestia urządziła. – Przyznał, siadając na ludowym krzeselku.

- O co panu do kurwy Nandii chodzi?!

- Pan jest wampir Armal, czy jak? Wampir, miałem zanotować.

- Jaki znowu wampir, demon...

- A ten smród ze studzienki to kot wpadł? – Zmrużył oczy z politowaniem mężczyzna.

Armal wziął głęboki oddech, i zaczął:

- Dobra. Przyznaję. Babcia szła po wodę, była ślizgawka i potknęła się. Ja pod wpływem napojów wysokowych byłem, i przyznaję, nie zawiadomiłem policji, ale ona na miejscu kark tam skręciła, bo miała osteoporozę i nadciśnienie, wołałem, *babciu, babciu*, a ona nic, to się wystraszyłem, powiedziałem we wsi, że ona w sanatorium... a ja z jej renty żyłem, grzech straszny, ale jak tu z tym do księdza iść...

- Cicho, - warknął gość – wiem, że to wzruszająca opowieść. Pan jest wampir Armal? – Zapytał znowu, tym razem powoli i wyraźnie.

- Nie. Nie jestem. Nie jestem nawet demonem, bo one jak sama nazwa wskazuje nie istnieją. *Nie istnieją*. – Dodał hipnozą.

Był na tyle zdenerwowany, że zapomniał na śmierć o resztkach śniadania w miednicy na podłodze obok krzesła faceta. Facet rzecz jasna włożył tam nogę i powiedział z ironią:

- Konfiturki robimy, konfiturki, tak. Tak. Wiem. A ten facet w lesie to na własny nóż się nabił, jak jabłko obierał. A tą siekierą w głowie to pewnie się podpierał. Mówże mi pan, jest pan wampir Armal czy nie?

- A po co to panu wiedzieć?

- Spis. – Odparł lakonicznie, z obrzydzeniem czyszcząc but z resztek. – Może mi pan jakaś szmatę podać, czy jak?

- Już, już – wstał, podał mu brudny ręcznik, i przez chwilę patrzył, jak ten się wyciera. Armal postanowił już, że pójdzie w zaparte, a w razie konieczności gość dołączy do studni i do mieszkańców wsi którzy nie uwierzyli w jego hipnozę.

Tych drugich trzymał w specjalnym miejscu. Specjalnym...

- Więc albo jest pan David Copperfield, albo wariat, skoro pan twierdzi, że jest pan

człowiek.

- Jestem człowiekiem.

Armal w domu nie nosił rękawiczek, ani butów. Pazurów nie ścinał od miesiąca. Szczeciniastych włosów też nie ścinał od miesiąca, zatem bardziej teraz przypominały sierść dzikiej świni, niż ludzkie, nawet najmocniejsze włosy.

- Tak...dobrze. Bo ja tu prowadzę spis narodowy demonów, że tak się wyrażę. – Podłubał sobie przez chwilę w nosie, po czym to, co wydłubał, rozsmarował po obrusie, z dziwnym, pełnym zadowolenia z dobrze wykonanej roboty uśmiechem.

- A ja jestem normalnym obywatelem, nie moja wina, że nie mam pieniędzy.

Ankieter znów podłubał z namaszczeniem, solidną kłupę ugniótł między palcami, i zjadł. Zamrugał oczami podjął:

- A pan nic na to, że dom panu brudzę. Jest pan demonem. Standardowa procedura. Robię takie friko z gilami, a potem od razu wiem, kto jest normalny, a kto nie. To jest obrzydliwe.

- Zależy. Na Madagaskarze to narodowa potrawa. I co pan na to?

- Tu jest Polska.

- Nie jestem demonem. A pan jest z TVN?

- Nie. Nie jestem z telewizji. – Syknął, i pozbył się resztek kleistej substancji wycierając się w czysty koniuszek ręcznika. – Wyjaśnię. Sabat demonów w Warszawie, zaraz panu dam wizytówkę, mnie zatrudnił jako ankietera. Z możliwością przyłączenia się. Do sabatu oczywiście, a nie do mojej pracy. Wie pan, jeżdżę po kraju i sprawdzam, gdzie są seryjni mordercy, albo gdzie widziano UFO. Coś jak TVN „Nie do wiary”, ale z prawdziwymi...

- Chyba kronika policyjna...

- No, może. Zazwyczaj są mili, ankietują mi ładnie, baszant, lemur, czy jak. Ja mam w ewidencji, wampir, czy demon Armal Nazwisko Nieustalone, podejrzewany o morderstwa i kanibalizm przez policję Krakowa... Zboczur.

- To nie ja.

- A niech se pan będzie kim pan jest. – Machnął ręką. – Chce mieć pan problemy? Gadają już, że ludzie ze wsi jacyś dziwni, i że zaginięcia są. Policja węszy. Jak pan chce, to sabat załatwi panu nowy lokal, teraz jak na razie, to smród ze studni bije po nosie, a z Asmeatu, tej masarni, gadają też że pan chyba tataro tylko je.

- Serio? A to dziwni ludzie.

- Panie, jak na człowieka, to pan jesteś dziwny. Ktoś panu tą prawdę powiedzieć musi. To co? Piszemy zabójca?

- A jak ja panu łeb urwę? – Zapytał, patrząc na aktówkę gościa, dość już zrezygnowany.

- To będzie pan miał policję. Z tyloma se pan nie poradzi, a jak pan ich nawet wyróżnie, to fama pójdzie. Spokojnie to mordować się nie da. Demony niezrzeszone ten problem mają, zrzeszone też, ale w mniejszym stopniu. To, jak piszemy zabójca?

- A pan to jest kto? Legitymację można jakaś?

Podał mu plastikowy świstek. Armal obejrzał go dokładnie. Zdjęcie tego gogusia, imię i nazwisko, adres, nazwa sabatu – NOWA LEMURIA, i do tego hologram w mowie chaosu. Wyglądało porządnie. Z tyłu numer ewidencyjny, i nazwiska członków zarządu sabatu.

- A jak płacą panu za takie ankiety? – Zapytał podejrzliwie ankietowany.

- Różnie. Niebezpieczni jesteście jak cholera. Kto jak kto, ale baszanci najgorsi, mózg jak orzeszek, czacha twarda, bo kości grube, zanim taka pokraka pomyśli, to albo dzwoni na policję z domu pełnego kości, że ją nachodzą sprzedawcy garnków z Zeptera, albo lecą na ciebie z wywieszonym ozorem...

- To ja panu łeb urwę.

- A jak mi pan łeb urwie, to co to panu da? Panie, tu jest ankieta – pomachał mu przed oczami plikiem kartek – a ja widzę jak byk, że pan normalny nie jest. Prawdę ktoś panu powiedzieć musi. Pazury ma pan jak u psa, albo innej cholery, sierść jak u nie powiem czego, oczy jak u jeszcze innej cholery...te, no. Ptaki drapieżne. Orły. Albo kozy. Wie pan, żrenica, podłużna. Twarzoczaszka wysunięta do przodu, uśmiech na pół mordy, zęby jak rekin czy inne takie, by se pan dał spokój, bo czterdzieści kilometrów stąd powinna larwa jedna być, tak słyszałem od jej towarzyszy z Lemurii, co w dyrekcji mieszkają. Larwy, to panu powiem nic miłego dla mnie, bo z takim się dogadać, to jak dziad do obrazu.

- Ja jestem...- już miał wycharczeć grobowym głosem – człowiekiem – ale opamiętał się. – Normalnym obywatelem, i taka robota jak pańska to i owszem może być ciekawa, ale nie jestem żadnym demonem, jak pan to określił, błędnie zresztą. Nie moja wina, że sól tu niejedowana.

- A co ma sól do zahipnotyzowanych wieśniaków?!

- A to, że z braku jodu się apatyczni robią. A jak pan jest tajniak z policji, to proszę mi tu nie ściemniać...jakieś larwy, baszanci, lemury, wampiry, małpiatki, batezy...

- Ha! – Wrzasnął facet podskakując do góry – wypełniaj pan ankietę! Nie powiedziałem w rozmowie słowa batez! A pan wie o nich! Ha!

- O jejku, się mi wyrwało, zbieg okoliczności – podrapał się w czoło zmartwiony. – Ja panu łeb urwę, co pan na to?! – Pochylił się nad stołem. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak demonicznie wyglądał z tą wykrzywioną twarzą.

Ankieter wzruszył ramionami, i zapalił papierosa. Ponownie podłubał w nosie, tym razem owocem jego pracy był kawałek kleistej plwociny, którą po włożeniu do ust chwilę żuł.

Armał jeszcze chwilę szczyrzył zęby, aż w końcu opadł na krzesło głośno wypuszczając powietrze.

- To nie ma sensu. – Powiedział, sam zapalając – niech mi pan powie, jak najszybciej, na czyje zlecenie pracuje, kiedy będzie policja i wszystko...

Poprawił okulary i uśmiechnął się szeroko.

- Proszę, oto ankieta, mam nadzieję, że wypełni ją pan z przyjemnością.

- I tylko to? Tylko to ma pan mi do powiedzenia?! Łeb panu urwać, to za mało! – Ryknął Armał waląc pięścią w stół – jak pan tak wszystkich ankietuje, to dziwi mnie to, że pan jeszcze żyje! I nic nie będę wypełniał, dopóki nie dowiem się, co pan robi!

- Co ja robię? – Zastanowił się, dłużej tym razem w ucho – widzi pan, mam dar obserwacji. Przeprowadzam ankiety na zlecenie sabatu Nowa Lemuria, z siedzibą główną w Warszawie, rzecz jasna, jest to część stowarzyszenia New Community of Lemurian Demons z Waszyngtonu, a ja przeprowadzam...

- Wiem, przeprowadza pan ankiety, pieprzone, wkurwiające ankiety, nachodzi pan ludzi w domach...

Ankieter skończył dłuźbaninę, z iskierkami w oczach obserwował złocisty brud pod paznokciem, a potem wyskrobał go końcówką długopisu i zaczął rozsmarowywać po igielicie.

- Pan taki prywatnie? – Skrzywił się Armał, obserwując tego człowieka zjawisko.

- Lubię swoją pracę. Prywatnie jestem również bardzo spokojnym człowiekiem, mam dar obserwacji, i widzę, że nie jest z pana byle jaki demon. Wyjątkowy, bym dodał. Duża strata dla sabatu, bym rzekł. – Drugi palec w ucho, wysiłek widoczny na twarzy, w końcu raczył kontynuować, gdy już zajął się smarowaniem porcją woskowiny po krzesło – baszanci, to bezmózgi.

- Coś o tym wiem.

- No, widzi pan. A inni nie wiedzą. Ja bym takich do obozów pracy wsadził, to by z nich jakiś pożytek był. Albo takie larwy. No już mówiłem. Dziad do obrazu...podobno sprytnie, jak na razie to mi sprytnie udają debili. Przykro mi to mówić, ale nieżyciowi jesteście, ja wiem – chrząknął – wiem dobrze, że Lemuria była miastem fantazji, i sam bym sobie w takiej fantazji z radością pomieszkał, ale życie...to nie film. To jest wojna.

- Ma pan czas? – Spytał Armał niepewnie.

Cześć trzecia: Stary człowiek i może

- Z Panem Bogiem? – Zapytał Salieri, odwracając się nagle.

Tajemniczy nieznajomy stał spokojnie w drzwiach.

Salieri nie wiedział, co wtedy dokładnie poczuł, ale zdał sobie sprawę z czegoś bardzo ważnego. Połączył pewne fakty w bardzo istotną całość, i z tego powodu poczuł piekące łzy w oczach, i gdy zaczął tracić tę myśl, gdy zdał sobie moment później z tego, że zapomniał o czymś niezwykle istotnym, o czymś, co może dać mu logiczne odpowiedzi na wszystkie pytania, osunął się na kolana, i zacisnął pięści w bezsilnej rozpacz.

Bo zrozumiał, na jeden krótki moment znalazł odpowiedź na każde pytanie, które kiedykolwiek zostało zadane, i które będzie dopiero zadane. I że odpowiedź jest zawsze taka sama, tak samo prosta, a jednak tak trudna do pojęcia, do pogodzenia się z nią.

Upadł na kolana i zaczął płakać.

- Jesteś...- zapytał, patrząc na niego.

I wtedy Miasto Śmierci opanowała wielka radość, wszyscy poczuli, że piękno jest w nich, i wszystko stało się nagle takie kolorowe, trójwymiarowe, fajerwerki rozbłysły prawdziwymi kolorami, a Salieri płakał, płakał, i jeszcze raz płakał.

- Nie, nie jestem. Jak mógłbym? – Odpowiedział tajemniczy nieznajomy.

- Ale...

- Ale odpowiedź jest zawsze taka sama. I to najbardziej boli, stąd tyle legend o Bogu, tyle bezsensownych wojen, tyle nakazów i zakazów religijnych, tyle tragedii...

- Bo nikt nie chce uwierzyć...

- W to, co jest prawdziwe. Bo przecież Bóg nie pali papierosów. – Pocałował go, tak czysto i delikatnie, jak matka całuje wszystkie swoje dzieci, które niegdyś zaniedbała, i teraz znów je kocha, bo są przecież jej dziećmi.

Salieri wiedział, że za chwilę obudzi go promień światła, i wciąż będzie pamiętał to, czego się dowiedział. I wiedział, że kiedy otworzy oczy, zobaczy obok siebie śpiącą Sally Goo, która przeciągnie się rozkosznie, i powie – Miło było, przynajmniej tobie nie zależy tylko na moim tyłku. Ale jak wiesz, Sally ma wszystkich, bo wszyscy mają Sally.

A potem usiądzie na fotelu i zacznie się zastanawiać, dlaczego miał tak dziwny sen, i czemu właściwie pół nocy przeplakał.

A potem Sally odwiezie go na posterunek, gdzie sprawdzi miejsce pobytu swoich braci, i okaże się, że są nigdzie indziej, tylko w lepszym lokalu...

Salieri obudził się, gdy promień światła osiadł na jego nosie, potem przepelzł po skórze na oczy.

Ale obok nie było Sally. Ani Miasta Śmierci.

Pustynia była zielona, pnącza winne oplatały wszystkie budynki, a Salieri leżał w wannie, a przez dziurę w ścianie widział zgliszcza miasta, choć nikt nie zginął. Wszyscy byli szczęśliwi. Tańczyli i pili lemoniadę. Stał tak w tym swoistym oknie, i drżał. Jak to było możliwe? Przecież tu nie może być...

- Koniec świata? – Zapytał sam siebie.

Zszedł ostrożnie na podwórze, uczujący ludzie nie zwracali na niego uwagi. Wokół unosił się zapach pieczonej szarlotki, śpiew zespołu ludowego, działającego przy remizie... orkiestra dęta grała coś skoczno, a stoły suto zastawione ciastami, ponczem i chlebami pachniały wybornie.

- Witamy na Dorocznej Popijawie w Remizie! – Zawołał Szeryf.

- Co? – Zapytał zbity z tropu Salieri. Szeryf uściskał go serdecznie.

No tak... Sally mieszkała obok remizy...

- Ale co to ma znaczyć? Wszystko... zniszczone...

- Na tym polega Popijawa w Remizie, złotko! – Usłyszał tuż nad uchem znajomy, zachrypnięty głos.

Odwrócił się, szerokie ze zdziwienia oczy zasły mu mgłą. To nie mogła być prawda.

- Ale jak to możliwe? Przecież to nie jest... - wyszeptał, posiniałymi z przerażenia wargami.

- Kolory! O to chodzi! – Poklepał go po ramieniu Stone, z uwieszoną u jego pasa Miki. – Spróbuj ciasta mojej żony, mam nadzieję, że wygra tegoroczny konkurs na najlepszy wypiek – podał mu talerzyk. Salieri ugryzł kawałek. Nie miało smaku tektury, lecz wyborny, jabłkowo cynamonowy smak i zapach...

- Ale dlaczego?

- Bo nawet tchórze mają prawo do szczęścia. Do małych chwil – wyjaśnił kobiecy, chropowaty głos.

- Sally? – Spytał nieśmiało. Nic już nie rozumiał. To nie mogła być Sally. Była o wiele młodsza, miała brązowe, krótkie włosy, i niebieskie, wyraziste oczy. Była posturą podlotka, czerwona sukienka nie zaznaczała jej biustu, a duże botki pasowałyby raczej do małej dziewczynki, niż do Sally.

- To wyjątkowe święto. Raz do roku mamy wszystkie kolory tęczy, wiesz? – Zawołała Miki. Była już trochę podpita ponczem – co prawda potwory ciszy zabrały nam Sally, ale dały w zamian te wszystkie kolory!

- Ale...dlaczego... - potrząsnął dziewczynką – ty wiesz! Powiedz! To mi się nie śniło! Ja wiem!

- Bogowie nie palą papierosów, też się dałeś nabrać! – Zaśmiał się Szeryf, a brzuch trząsał mu się niczym galareta – ostatnio mój syn tak miał, przyleciał do mnie, że poznał prawdę absolutną, cha cha! Ale masz minę, coś taki blady?

- No właśnie, to tylko zabawa, taka gra!

- Uciszcie się! – Wrzasnął, odsuwając się. Z najbliższego stołu zabrał nóż, ubrudzony ciastem.

- Uspokój się... - zawołał Miki – to tylko taki żart! Nic się nie stało!

- Nie rozumiesz! Stało się!

Szeryf podchodził do niego z jednej strony, a Stone z drugiej. Chcieli go złapać, powalić na ziemię i zamknąć w areszcie – wiedział to.

Chwycił dziewczynkę, którą postanowił na jakiś czas posłużyć się jako żywą tarczą.

- Ma zakładnika! – Pисnęła Miki, reszta obecnych zamilkła. Tylko jakieś małe dziecko

plakało, a jego płacz stawał się coraz głośniejszy w tej ciszy. Nie miał pojęcia, co teraz.

- Zabiję ją, jeśli mi nie wyjaśnicie, co tu się dzieje! – Odezwał się.

- Tu nic się nie dzieje! Jesteś trochę zdenerwowany, ale masz prawo do wyjaśnień, tylko na Boga, wypuść to dziecko! – Błagał Szeryf – to szare miasto, zwykłe miasteczko... mamy prawo się raz za czas rozerwać, nie?

Przycisnął nóż do szyi dziewczynki. To była Sally. To musiała być ona. Jeśli to ona, nie będzie krwawić.

- No dalej! Zmieniaj się! Pokaż prawdziwą twarz! Pokaż! – Wrzeszczał, i przycisnął ostrze do szyi dziecka. Nie, to nie mogło być dziecko. Gdy zadraśnie je, gdy zrani je, będzie wiadomo.

Było cicho. Wszyscy na niego patrzyli, jak na wariata, jak na ofiarę, która nie zrozumiała dobrego dowcipu, i wszyscy czekają teraz, aż zacznie się śmiać.

- Tego chcecie?! – Zapytał.

Ręka sama mu chodziła.

Nóż nie był ostry, wbił go końcem w szyję dziecka.

I wtedy, przerażony zobaczył to, czego nie miało być. Krew.

Przed siebie. Tak jak wtedy, gdy uciekał z Wieży. Uciekał.

Ale cały czas słyszał głos Sally.

No tak. Bo ona ma wszystkich, bo oni wszyscy mieli ją.

Dzień dobry mieście Wrocławiu
Jak u was pięknie tu w maju
Dzień dobry mieście Warszawo
Jak u was tu smrodławo
Dziwki małe kurwiszonki
W akademikach grzeją czyjeś członki
Na imprezę karaoke
Tu w Krakowie zaproszone
By tańczyć przy rurze
Dla Tego co na górze

Fragmenty „Sala Kryształowa” w opracowaniu „Sanktuarium Xandau, duch Nowego Tysiąclecia, oby wiecznie Ojciec Święty nam żył”

Legendarna Sala Kryształowa była fikcją. Od wieków całych nie odbyła się tam żadna konferencja, bo i po co, skoro z Wieży nie dostawano żadnych niepokojących sygnałów. Wieża – lemuryjska Wieża była martwa, i to od kilkuset lat. Nawet teraz nieoficjalna wersja głosiła, że Królowa, mimo pozorów nieśmiertelności umarła śmiercią naturalną, ze starości. Tyle, że dopiero teraz to doszło do świadomości demonów. Były bardzo prymitywne, i w zasadzie jedynym zagrożeniem, które sprawiały, było to, że powszechną ich tradycją były mordy, dokonywane na ludziach. Owszem, ich sadystyczne tradycje, przekazywane z pokolenia na pokolenie znalazłyby zastosowanie w ośrodkach piekieł, lecz nie jest możliwe spędzenie ich do piekieł, tak, jakby to mogło być proste w przypadku aniołów. Nie ma potrzeby jednak interweniować przedwcześnie, demony jak się okazuje, nie tworzą organizacji zbrojnych, które zaszkodzić by miały gatunkowi homo sapiens, organizacja New Community of Lemurian Demons działa dopiero od niedawna, i prowadzi pomoc charytatywną dla demonów, które mają trudności adaptacyjne w rzeczywistości.

Prowadzi się kursy językowe dla baszantów, podpisywane są umowy z rzeźnikami o tanie dostawy mięsa i krwi, a same demony zdają się coraz lepiej funkcjonować w nowej rzeczywistości.

Nie wiadomo jedynie, czy opinia publiczna Ziemi będzie zadowolona, gdy wyjdzie na jaw prawdziwa tożsamość nowych obywateli.

Jednak nawet w tak istotnych sprawach, jak emigracja demonów do rzeczywistości, nie zorganizowano obrad w Sali Kryształowej. Powodem który podano burmistrzowi Miasta Światła był jak to określono zły stan zdrowia istotnych dla sprawy osób, i przeniesiono obrady w bliżej nie ustalone miejsce.

Rzecz dziewczka na to fuj
Lecz jest to tylko zwykły zwój
Śmiać się chcecie wulgarnie powiecie
A to tylko zwój
Cóż się panny spodziewacie
Za głuptasa dziś mnie macie
Chcecie to dostaniecie
Ten oto rym
Mam kutasa, tak! Do pasa

Frieda Caxlo, fragmenty przewodnika „śladami kultu Mauny na wyspie Mauna Lekikai”

Tropikalny klimat wyspy Mauna Lekikai znany jest wszystkim fanom dobrego wypoczynku na łonie natury i łowcom przygód, a także surferom. Surfing rozpowszechniony jest tam jak nigdzie indziej w tej części Taedu. Natomiast w centralnym miejscu wyspy, znajduje się dziwny twór – Sanktuarium wielkiej boginie Mauna, a także reaktor Wiecznego Słońca Mauna. W rzeczy samej – to unikalne połączenie wysokiej technologii z tradycją, a także wysoką technologią sprawia, że miliony spragnionych mocnych wrażeń i odpoczynku na łonie natury turystów nie waha się – Mauna Lekikai wita i zaprasza gorąco!

Svedeckie jechał na wózku po prostym, jasnym parkiecie korytarza. Nikogo nie było już tutaj, zatem mógł spokojnie pieprzyć pielęgniarkę, i nikt by potem nie wołał za nim „Hawking! Ty se daj na wstrzymanie”. Pielęgniarce nigdy nie odpowiadał taki układ, ale pieniądze, jakie z tego miała rekompensowały jej wszystkie trudności.

Samo pieprzenie pielęgniarek było w rzeczy samej sprawą trudną do właściwego wykonania. Svedeckie komunikował się z otoczeniem za pomocą podręcznego komputera, a od szyi w dół i tak był sparaliżowany. Jedynymi wyjątkami od ogólnego paraliżu były właśnie dwie kończyny – lewa ręka, i penis. Cóż to za straszne położenie...myślał często, ale pogodził się z tym. Jeszcze gorsze były choroby: osteoporoza, artretyzm, i to wszystko, czego już nie miał – płuca, jelito grube...mechaniczne części zastępcze tylko sprawiały kłopot. Bo jak tu pieprzyć tą pielęgniarkę, kiedy z brzucha wystaje mu worek z odchodami?

Svedeckie czuł się nadzwyczaj dobrze. Głowa zwisała mu na ramieniu, ale wszystko widział – gdyby nie implanty oczu, byłby ślepy jak kret. A gdyby kierownictwo bardziej interesowało się jego stanem zdrowia, na pewno dostałby implant kręgosłupa i lepszą rehabilitantkę, bo dzięki tej to na razie miał dobrze wytrenowanego fiuta, a nie ciało.

Czuł się dobrze praktycznie zawsze, co tak bardzo irytowało wszystkich wokół. Zawsze miał ten parszywy, obleśny wyraz twarzy, zawsze śmiał się, gdy inni dwoili się, i troili, by

dowiedzieć się, dlaczego demony opuściły Lemurię. A potem jak zaczęli się zwijać niczym mrówki w płonącym mrowisku...kiedy założono NCLD. Z siedzibą w Waszyngtonie...

Svedecki śmiał się. Kto się śmieje, ten się śmieje ostatni – wiedział o tym. Wiedział też, że będzie ostatni. I teraz nie bał się tego. Nie był nieśmiertelny. Po prostu długowieczny. Sprawiono, by mógł ciągle żyć. Byle jak, ale żyć. Ale gdyby nie daj Boże kierownictwo dowiedziało się, co jest faktyczną przyczyną jego dobrego samopoczucia, przestano by w ogóle o niego dbać, tak, by nieoczyszczane płuca przestały przyjmować tlen, a serce przestało bić.

Dlatego Svedecki często współżył z pielęgniarkami, by jeszcze nacieszyć się ostatnimi chwilami radosnego życia zniedołężniałego staruszka. Owszem wiedział, że to grozi wylewem i zawałem, ale mimo wszystko na razie wszystko dobrze działało.

Ten obleśny staruch po prostu naprawdę miał z czego się śmiać.

- Coś taki zadowolony – usłyszał za sobą. To był nikt inny jak Chinook, szef wydziału do spraw kontroli Reaktora.

Svedecki obrócił się na wózku i stukając w klawiaturę odpowiedział:

- Miła ta Inn, nowa pielęgniarka.

- A co, mógł się na starość lasuje? Dokąd jedziesz tym krążownikiem szos?

- Bardzo miła...a i uwierz, że to, co mam mi wystarcza.

Chinook był pełnosprawny. I trochę sadystyczny. Nie aż tak jak stara Lucy z wydziału kontroli, ale na szczęście ta już od dawna tu nie pracuje.

- Co ty tu klepiesz na tym pisadle? – Zabrał mu spod ręki klawiaturę. – że dobrze ci ciągnie? Stary, usatkuj się, bo jeszcze nam tu padniesz na zawał. Spieszę się, wiesz? – Pochylił się nad łysiną starca, i oddał mu klawiaturę. - Już długo tak nie pociągniesz. A tak w ogóle. Co to ja miałem... chcesz się dowiedzieć czegoś strasznego?

- Mów, mój dobry przyjacielu.

- Ty sobie tu używasz, a my pracujemy.

- Coś tacy zabiegani jesteście, faktycznie. Z jakiej to przyczyny?

- Królowa...

- Nie żyje. Sami to ogłosiliście.

- Mamy inne dane! A tak w ogóle, to żeś się zesrał ze strachu, widzę – zaśmiał się. Faktycznie. Pojemnik z kałem wystawał mu spod koszuli. Svedecki wiedział, co zaraz się stanie, ale prawdę mówiąc, zbytnio go to nie obchodziło.

Jeśli ten sadysta Chinook ma czas, by przecinać mu worek z kałem tak, by całość zalała mu spodnie i kaptcie, to znaczyło, że nie doceniali rangi problemu, który teraz wyszedł na światło dzienne. Z pozoru małe niedopatrzenie, jakich wiele. Ale niestety, ludzie z Xandau nie byłiby w stanie tego wykryć.

A powinni chociaż raz pomyśleć miło o dwóch obleśnych staruchach, jeżdżących na wózkach inwalidzkich na gąsienicach. Pomyśleć, i zapewnić im złotą jesień życia. A nie tylko sadystycznych opiekunów i pielęgniarki...nie. Pielęgniarki mogą zostać.

- I z czego się tak cieszysz, Hawking? Staje ci jak czujesz swój smród? Nie wiedziałem, żeś taki...

- Powiedz mi...

- Streszczaj się – założył ręce na piersi Chinook, jak zawsze perwersyjnie kochający znęcać się nad starcami. Może gerontofil?

- Nad czym tak się głowicie?

- Zesrać się już nie masz czym, może dla odmiany się zeszczasz? To się bój. Wała! Nic ci

nie powiem!

Strącił klawiaturę na parkiet i odszedł pośpiesznie. Piękny z niego aniołek, pomyślał Svedeck. Wezwał pielęgniarkę przez naciśnięcie alarmu. Minie jakiś czas, zanim go znajdzie.

Ale śmiał się. Tamci nawet nie rozumieli, co się stało.

Widok dla Hubble'a był faktycznie makabryczny. Ciała techników i ludzi z kierownictwa Xandau były porozrzucane w dziwnym łądzie, jakby osoba, która dokonała zabójstwa miała w tym jakiś cel.

- O Boże, to była tylko maszyna! To był tylko Reaktor, nigdy nie zawiódł – powiedział ktoś obok niego. Tak. Jeden z tych sześciu, którzy przeżyli. Teraz przyjdzie im umierać i tak, choroba popromienna. Teren odkażono od razu, ale ten tutaj... dla niego raczej ratunku nie będzie.

- Ale co się tu właściwie stało? – Zapytał Hubble.

- Zabiła. Zabiła ich wszystkich. Podczas uroczystości...wie pan...dziesięć tysięcy lat udokumentowanego istnienia Reaktora, i teraz... - głos technikowi łamał się, zakaszał, kontynuował – otworzyła oczy! Tego nie będzie na kamerach...widziałem jej spojrzenie, żółte, złe oczy. Potem... rozsadziła komorę, i wyszła. Ci idioci podeszli do niej... a ona... rozprostowała skrzydła, i... wtedy umarli. Byli porozrywani – wskazał na ślady krwi na podłodze, i ciało najbliższej ofiary. Tłusty facet w białym garniturze Cobany, teraz pozbawiony połowy czaszki. - Był oficerem Xandau, imię zatajone. Ale ona...potem zmniejszyła promieniowanie, ale...ja już – tu zaczął płakać.

Co za straszny los – pomyślał Hubble i popatrzył na pozostałe ofiary. Oni przynajmniej mieli to – cokolwiek tutaj się stało – już za sobą.

- To była mała awaria zasilania, było ich ostatnio trochę, potem pokażę wydruki, zanim mnie wezmą do szpitala...nie przejmowaliśmy się tym. To była, jak to się mówi, maszyna starego typu. Xandau. Bóg jeden wie, co tam produkowano kiedyś...maszyna nazywana była Mauna Lekka. To pan wie, nie? Ale taka mała awaria... to była zapowiedź tego...teraz wiemy... że ona wyszła, pozabijała ich, poszła. Za długo. Zbyt długo.

Tak. Zbyt długo wierzono w to, że jest boginką, i najwyraźniej w to uwierzyła...

Wyszedł na papierosa. Palił zdenerwowany, było mu niedobrze. Odór krwi ofiar przesiąknął mu całe ubranie – odór ciał ofiar, i smród moczu tych, którzy przeżyli. Ofiary szacowano w setkach. Dwadzieścia osób z kierownictwa – prawie cały zarząd Xandau, o ile dobrze pamiętał, został tylko ten idiota Chinook, figurant z inteligencja baszanta.

I ci inni...ludzie z Systemu Kontroli...uratowano ich tylu, ilu można było, ale i tak czeka ich śmierć od napromieniowania. Cały System Kontroli został zniszczony. I co teraz?

Podróżowali po Taedzie, bo tam wygląd Rafaela nie wzbudzał kontrowersji. Wystarczyło, że powiedział – kolega jest chory, i to w zasadzie załatwiało sprawę.

Miasteczko Tulcupac było wprost idealne, ludność w większości kreolska, wysokie góry od zachodu, i ponoć największa populacja lewiantów w całym Huxcalbain. Biedny to kraj, ale jak najbardziej odpowiedni do ukrywania się.

- My się nie ukrywamy – powiedział Rafael, siadając na łóżku – ty może się ukrywasz, ale ja nie.

- Rafciu, nie mów tak. Nie mogłeś tam wytrzymać, dobrze. Nienawidziłeś Salieriego, dobrze. Wyjechaliśmy, ale pamiętaj, że Ona może przyjść...

- Ty chyba nie wiesz, co mówisz – zaśmiał się Rafael.

Rafael w wyniku nie znanych Hubertowi wydarzeń stał się...inny.

Hubert kochał go jak brata, i nie chciałby, żeby TO się wydało, cokolwiek to mogło być. TO musiało pozostać ich małą słodką tajemnicą, chociaż Salieri też przecież był strażnikiem, ale TO zobaczył jak do tej pory tylko on, Hubert. A inni widzieli tylko człowieka w sporym płaszczu z kapturem. Tym bardziej, że nie mieli pojęcia, czego mogą się spodziewać. Na przykład TEGO.

- Uspokój się Rafałku, wszystko będzie dobrze. Złóż skrzydełka...

Rafael miał olbrzymie, czerwone skrzydła. I umiał latać. Dzięki wielkiej kości na mostku i silnym ramionom. Rafael nie wyglądał już jak Rafałek.

Rafael z jakiegoś powodu zmienił się w potwora. Miał wielkie szczęki, ostre zęby, wysuniętą do przodu twarz, i przenikliwe oczy ptaka mięsożercy. I do tego włosy, które przekształciły się częściowo w puch.

- Nie drap dywanu, bardzo cię proszę, będziemy mieli problemy przy opuszczaniu pokoju.

- Kto jak kto, skurwysynu – powiedział anioł. Wielkie szpony na rękach i nogach były czarne i niedomyte. –Ale ja jestem głodny. Patrz. Nie umyłem sobie palców po poprzednim żarciu. Przyprowadź mi tu jaką babę.

- Nie wolno, Rafałku – szepnął Hubert, i zatkał uszy od niezmiernego krzyku, który wydał z siebie Rafael. – Nie wolno...co oni ci zrobili?

Rozpostarł skrzydła, strącił lampę.

- Gdybyś wiedział – zaskrzeczał – to byś inaczej gadał. – i znowu krzyk. Szyby wypadły z okien, a Hubert zaczął płakać, trzęsąc się.

- Nie mów tak, Rafałku! Nie mów tak! To ci z Atlantydy tak ci zrobili! Oni! Albo Ona! Nie mów takich strasznych rzeczy...Rafałku! To przez Salieriego...

- Gdybyś wiedział – mlasnął Rafael, uśmiechając się – gdybyś wiedział.

- Ale co, Rafałku? Ty wiesz, kto ci to zrobił?

- Ależ oczywiście! I to, i tamto!

- Ale jakie tamto...chodzi o te tortury *dawno, dawno temu*? Powiedz...to przez nich tak zachorowałeś?

Rafael wstał, nakrył się płaszczem, popatrzył jarzącymi się na czerwono oczyma. Dyszał jak zwierzę, z ust...z wydłużonego pyska kapłała mu ślina.

Hubert płakał. Salieri. Atlantyda. Miasto Śmierci i ta jego niezdrowa atmosfera. To wszystko było winne temu stanowi rzeczy, ale...ale Rafael cierpiał. Musiał chyba teraz bardzo cierpieć. Inaczej przecież nie wyglądałoby tak źle, jak zwierzę, potwór, demon...

Płakał. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, przerażony i bezsilny.

- Bracie... - wyszeptał, obejmując Rafaela. Czuć było go pierzem skrzydeł i kurzem.

- Nie jesteś moim bratem, wiesz? Ile to lat lżyłeś mnie tym słowem? Jeszcze tego brakowało – złapał go za szyję i uniósł w górę – żebyś teraz mnie tak nazywał!

- Braciszku – ledwie słyszalny szepł z zaciśniętego gardła. Oczy jednorękiego mężczyzny, coraz słabsza obrona, ręka próbuje dosięgnąć gardła, by wpuścić nieco tlenu do płuc, kikut zabawnie podrygujący w powietrze.

- Nie jesteśmy braćmi – odpowiedź.

- Braciszku...

Rzut ciałem na podłogę. Potworny anioł podchodzi bliżej do leżącego ciała.

- Gdybyś miał obydwie ręce... Zabiłbym. – Mówi i odchodzi.

Tulcupac mimo środka sezonu świeciło pustkami. Wiadomo, gdy lewiatany nie przypląną do zatoki, nie będzie turystów.

Tego roku przyplłynął tylko jeden, przez trzy dni krzyczał na mewy, łowił ryby, wyglądał imponująco, jego fioletowa, lśniąca szyja i łeb zakończony grzebieniem kostnym sprawiała imponujące wrażenie. Ale potem odpłynął na pełne morze, i sezon nie wypalił. Takie uzależnienie przemysłu od warunków zewnętrznych spowodowało już nie raz klęski głodowe w rejonach przybrzeżnych.

Armal próbował bezskutecznie rozgryźć tego faceta. Odporny na hipnozę. Mózg zablokowany na wpływy, jakby facet był jakimś magiem, lub, co też się zdarza – osobą ciężko upośledzoną. Ale trudno. Co by nie było, niech już ma, częstochowska jego mać...

- Dobrze. Wypełnię ankietę, tylko niech się pan najpierw rozgości, bo mnie takie oficjalne... zachowanie denerwuje.

Facet z radością zaczął się rozgaszczać. Armal zaczął mieć już jakieś podejrzenia co do przynależności gatunkowej tego czegoś. Facet najpierw zdjął buty, potem skarpetki, następnie dobrze je obwąchał, aż w końcu zaczął wyjadać brud spomiędzy palców u nóg.

- No nie! To już się robi niesmaczne... panie - jęknął.

- O, czyli może pan faktycznie nie być demonem – zauważył ankieter z przekąsem.

- Jaki demon, jaki demon... to pan nie jest normalny... dłubie pan sobie wszędzie, nie da się pana hipnotyzować...

- Są ludzie oporni na tego rodzaju działania. A dłubać w nosie – podjął z pietyzmem – odkąd pamiętam, zawsze lubiłem dłubać w nosie. A w tej pracy mogę się spełnić.

- Dobra – jęknął Armal z zupełną rezygnacją – zaczynaj pan.

- Pierwsze pytanie, to pańskie personalia.

- Armal.

- A nazwisko? Jeśli jest pan przestępcą, nie będzie to ujawnione.

- Nie mam – wymamrotał. – Nieustalone, pisz pan. – nie lubił tego tematu. Zawsze miał z tym problemy, ale, żeby aż tu ciągnęły się za nim te trudności?

- Nie ustalili mi. Matka moja... zajmowała się mną ciotka, ale wyrzuciła mnie szybko na ulicę, tak, że nawet nie pamiętam, czy miałem jakoś na nazwisko. Ciągłe tylko słyszałem – Armal zrób to, Armal posprzątaj...

- Tak, przykra historia – odparł beznamytnie ankieter i przeszedł płynnie do kolejnego pytania, zupełnie nie interesując się tym, że Armalowi oczy lekko zwilgotniały. Pieprzona ankietka. Przez tego faceta będzie się godzinami bił ze wspomnieniami.

- A więc... przynależność gatunkowa? – Kolejne pytanie.

- Nie ustalone.

- Ale przecież to widać jakoś, nie? A matka? Kim była? Ciocia panu nie powiedziała?

- Nie. Pisz pan co chcesz. – Zawarczał. Kolejna zadra.

- W przypadku nazwiska, jeśli chodzi o baszantów mogę wpisywać nie ustalone, bo czasem nie udzielają odpowiedzi, tylko próbują mi odgryźć głowę, ale wtedy wszystko wykreślam i piszę baszant, ale w pańskim przypadku taka strategia nie opłaca się, bo...

- Pisz pan co chcesz.

- Bo na baszanta pan zdecydowanie nie wygląda.

- A na kogo według pana wyglądam? Bo na moje oko to kundel ze mnie nandyjski! – Odparł, zniecierpliwiony już i zdenerwowany.

- Nandyjski, czyli kurewski? Pana matka była więc kapłanką, jakże mi miło...

- Nie wiem, kim była moja matka, a ciotkę zabiłem kiedy miałem dwadzieścia lat, bo nie chciała mi tego powiedzieć. Więc nie pierdol pan i dawaj kolejne pytanie.

- Ale przecież ciocia pana wyrzuciła...
- A co to panu do tego kiedy wykończyłem własną ciotkę?!
- Dobrze...ile ma pan lat?
- Około setki.
- W rubryce gatunek wpisałem mieszaniec. Nie obrazi się pan?
- Już bardziej obrażony być nie mogę chyba, więc przeżyję. Dalej.
- Dalej to będzie...może herbatki pan zrobi? Trochę dużo kartek...

Jakieś dwie flaszki potem Armał płakał w mankiet koszuli.

- I zostawiła mnie...powiedziała, że ze mnie pederasta... a ja chciałem tak jak inni aktorzy. Bo w Teatrze, to wie pan...albo jest pan pedał, albo nie. Jak nie, to pan idzie na premierę. Takie hocki klocki dla wampirów. Tym skurwy...yk! Się podoba, jak na scenie zabija się jakieś panienki czy młodzieniaszków. Biorę takich z ulicy i proponuje lepsze życie. Z Ziemi, albo z Piekieł, albo z ...yk! ...O czym to ja miałem...

- Byliśmy przy yk! Pytaniu o zawód.

Armał popatrzył przez pryzmat trzeciej flaszki na ankietę.

- To było tak, że żona moja, ta dominująca suka¹¹ zrobiła sobie trwałą. Była larwą. Skubana...piękna! A jaka zła! Zła kobieta, mówię panu, w życiu pan nie bierz sobie za żonę larwy. Bo ona miała w sobie to całe robactwo. Zabrała dzieci i poszła. Nie moje. To nie były moje bachory, to wiem, bo mieszaniec taki jak ja nie będzie miał dzieci, nie? Dlatego chciałem te małe kości wychować...yk! Ale skubana je zabiła! Mówiłem już panu. Że starowinka na moich oczach zesza z tego świata. Poroniony wyśniony świat...nic, tylko tragedie, tragedie...

- Życie to nie film...

- To jest wojna! – Wychylił siódmą butelkę. – To co pan wpisał?

- Według pana odpowiedzi, to w zawodzie wpisałem tak...arcykapłan Nandii Nierządnicy, astronauta radziecki, aktor i organista w Teatrze, pies łajka, budowlaniec...to pan tam stracił skrzydła? Tak? Będzie panu przyznany zasiłek dla inwalidów. Stracić skrzydła na budowie, jest to liczone jako kombatanctwo, bo teoretycznie Lemuria była rodzajem obozu. Tak to jest w papierach. Dalej w zawodzie wpisałem stypendysta filharmonii...ale to będzie raczej...

- Miałem piękne skrzydła! Ale to przez to mnie rzuciła! Suka! Podła suka!

- Tak, to strata.

- A tego zasiłku to ile będzie?

- Zależy jaką grupę inwalidzką panu przyznają. Parę groszy będzie. Na rachunki, spokojne życie.

Armał powątpiewał, czy na tego faceta alkohol w ogóle działał. Ale dobrze. Niech pije dalej. Póki co zatrzymał się na pewnym stopniu upojenia alkoholowego, tak, by w razie czego uciekać, ale nie widział potrzeby. Co najwyżej zje go, a okulary zatrzyma sobie na pamiątkę.

- To wystarczy na razie tych zawodów. Przechodzimy do rubryki orientacja seksualna.

- No jasne że homo, nie?

- Na pana miejscu bym się tak otwarcie nie przyznawał. To Polska, konserwatywny kraj.

- A kto mi co zrobi? Zjem takiego homo...yk!... foba, i będzie miał...

Armała obudził jakiś potworny dyskomfort i równie potworny ból głowy. Z początku starał się ignorować sygnały organizmu, ale coś mu nie dawało spokoju. Pamiętał tak gdzieś do ósmej flaszki. Miał dobrą, mocną jak beton głowę, i to go chyba uratowało...albo wpędziło w

¹¹ Swoją drogą fajne przekleństwo:)

jakieś potworne kłopoty. Otworzył z trudem nabiegłe krwią ślepie. I ujrzał coś na kształt kokonu z firanki, w co zdaje się był cały zawinięty. Szarpnął się. Ból głowy uniemożliwił mu jakiegokolwiek logiczne działanie.

- Ratunku! Gwałcą! Pożar! – Wrzasnął.

- Już cię odcinam – usłyszał.

- Ankieter? – Spytał. Po chwili uderzył w coś głową. Czyli spadł na podłogę. Kuchenny nóż rozciął kokon. – Co ze mną? Co mi jest? – Zapytał.

- Teraz to chyba nie jesteś sputnikiem, nie jesteś, prawda?

Troskliwość i niepokój w zadawanym pytaniu sprawiły, że zaczął się zastanawiać, czy zdarzyło się coś godnego uwagi po tym, gdy wypił duszkiem tą ósmą butelkę wódki z zapasów trzymany w piwniczce na „wszelki wypadek, gdy czas będzie umierać”.

- Nie jestem... a byłem? – Wstał i zaczął oswobadzać się z kokonu – motylem też byłem?

- Motylem też. Chciałeś się wykluć, żeby mieć skrzydełka.

Ankieter siedział na sofie w kącie i popijał herbatkę. Armał wzrokiem obiegnął pomieszczenie. Znajdowali się w izbie za kuchnią. I fakt – piasnął o coś miękko dłonią.

- FUJ! – Wrzasnął.

- To nie to, co myślisz. Oblepiłeś się tym czymś cały, żeby zawinąć się w kokon. Praktyka larw – dodał.

- W dupie mam larwy. Co to ma być? – Rozglądał się wciąż. To było jak koszmar. – Ja się tym oblepiłem?

- Mnie też pan chciał oblepić, bo twierdził pan, że można okleić cały świat...

- Dość – uciał. – Co z ankieta? I kiedy my właściwie zaczęliśmy pić? Co mi pan zrobił?

- Więc tak. W zawodzie – zaczął z nieukrywaną radością – dyktował pan, to pisałem: arcykapłan Nandii Nierządniczy, astronauta radziecki, aktor i organista w Teatrze, pies łajka, budowlaniec, ale potem kazał pan to wszystko skreślić, i wpisać sputnik, co też zrobiłem. Zawód, krótko mówiąc – sputnik. W rubryce płęć, to pan po tym, jak pan rozwalił telewizor o ścianę kazał pan napisać nie ustalone.

- Ale ja jestem facetem...- podnosił się ze szczątków firanki. Sytuacja nie malowała się różowo. Miał na sobie wszak różową sukienkę jednej z ofiar gospodarstwa agroturystycznego, ale to wszystko było takie...

- Dalej...- przewrócił kartkę. – z ciekawszych pana zeznań wynika, że zabił pan rodzoną ciotkę, chyba że była to ciotka przyszywana. Nie wiem dokładnie, czy to jakieś przestępstwo u was, ale u nas raczej tak, i to spore.

- U nas też. Bez adwokata nie będę...rzygał! – Ryknął i uciekł do kuchni, gdzie znajdowała się miednica.

- Spokojnie, mogę to wykreślić, z racji tego, że wykreśliłem tamte rzeczy z rubryki zawód.

- Byłbym wdzięczny – burknął, wytarł się ręcznikiem. O dziwo, było mu lepiej.

- W rubryce...

- Dość, sam to przejrzę, i przepiszemy na czysto. Pańska kartka się klei.

- No tak. – Odłożył ją kulturalnie na brudny stolik, a tak przy okazji Armał stwierdził, że facet nie jest w żadnym stopniu ufajdany w tym kleju, a tak w ogóle, to jak wyprodukował tyle tego butaprenu? Toż to jakaś paranoja. Był niezwykle urodziwym młodzieńcem, ale żeby aż tak?

Tu, w kuchni umiał się jakoś skupić, tak, jakby to zaklejone białą mazią pomieszczenie, z telewizorem wbitym w ścianę, wersalką całą tylko z tego powodu, że była w połowie tym czymś zafajdana, a także dywanem przyklejonym do sufitu, jakby to wszystko działo się daleko, daleko stąd...

- Jak ja tak mogłem nabrudzić? – Zapytał.

- To proste. Z otworu gębowego i nie tylko wypłynęło panu pełno tej mazi. Strzelał pan tym bardzo umiejętnie. Na szczęście miałem garnitur w aucie, więc się przebrałem. Panu radzę to samo zrobić.

- A tak...sukienka. Nie wiem skąd to mi się wzięło. Czasem się przebieram, żona mnie rzuciła...

- Słyszałem już.

- Ten motyw z pederastą też?

- Też.

Brzezienna w skutki noc jak nic. Byle tylko się nie okazało, że robił coś z tym debilem...

- Może pan to już przepisać i zmiatać mi z domu?

- Ależ oczywiście. Standardowa procedura. Tylko...że to może pana zainteresować. To ulotka dla baszantów, bo chwilowo innych nie mam, ale może panu pomóc. Mówił pan o tej staruszce, i o tym, co jej się stało...

Popatrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem. Czyli się wygadał. A jeśli powiedział...

IMIĘ. W TEJ CHWILI POWIEDZ TO IMIĘ.

- Co panu? – Pytanie gdzieś z boku.

Facet stoi jakby nigdy nic, a Armal słyszy głos donośny jak tysiąc dzwonów, gdzieś tam pośrodku głowy. A wszystko zaczyna znów być tak beznadziejne, że nic, tylko się schlać. Jakaś morderczyni o telepatycznych zdolnościach go ściga, tak, innego wyjścia nie ma...

Zrobił krok w przód. Potem zatoczył się i potknął o falbankę przy sukni.

- Nic. Mi. Nie. Jest. – Wycedził przez zęby. – Dawaj pan ta ulotkę i zabieraj się pan z mojego domu...

Drodzy baszanci i baszantki!

Z wielką radością chcielibyśmy państwa zaprosić na odczyt wspaniałej Milenium. Milenium to Królowa. Powróciła między braci i siostry zła, by siać plugastwo i zaprowadzić na Ziemi Wieczne Królestwo Chaosu.

Bła, bła, bła. Miejsce spotkania, jakiś budynek w Warszawie, do tego mapka ze strzałkami i lista autobusów, zalecane stroje muzulmańskie – czyli mieli z Axe dobry pomysł, żeby tak ją przebrać – i tak dalej, itede... co jeszcze. Milenium głosi prawdę, chaos i zło...

Milenium. Czyli to mu nie da spokoju. Zobaczy co to za jedna, i czemu podszywa się pod Królową, a potem ją zje. I żadnego imienia nie powie.

- Co to za bzdury? – Zapytał, z udawaną drwiną. W rzeczywistości bał się. Że może się okazać, że to ONA...

Ale Armal. Czego się boisz? Wszyscy tego chcieli. Wolności, tego Wiecznego Królestwa Kurestwa, a tu nagle zjawia się taki Armal, kundel jakich mało, i śmie twierdzić, że wyzwolicielka narodu to zwykła morderczyni. Sam jesteś mordercą, Armal. – Uśmiechnął się do siebie – zabijałeś i zjadałeś, żeby przejąć ich siłę. Po pijaku najprawdopodobniej to wygadałeś. Ale nic ci nie odbierze siły tych wszystkich...wzrok wampira, szybkość bateza, szczęki larwy, zęby baszanta, wieczność kościeci...- miał nadzieję, że nie zacznie psuć się po dwustu latach, oj, miał taką nadzieję.

Mam to wszystko, i nawet więcej. Kogo bym nie zjadł, ten ktoś daje mi siłę.

Armal nie umiał tego wytłumaczyć. Zresztą – po co. Na przykład taka grawitacja. Wszyscy jakoś muszą w niej żyć. Działa niezależnie od tego, czy się wytłumaczy jej działanie,

czy nie. I Armal ma dużo siły, której z tego co pamiętał, nie zabierał od nikogo. Ale to było przecież nieważne – może po prostu coś było w wodzie, albo w żarciu. A odkąd zjadał ludzi, czuł się taki, trochę...ludzki?

- Skończone – usłyszał – nie szczerz się pan jak demon, bo to i tak nie jest ładne – ankieter podał mu kartkę.

- To zmywa się pan, nie?

- Tak – podrapał się w głowę – miałem szczęście, zem nie pił dużo. Wyspać się też się nie wyspałem. Ale trudno. Zmarnowałem czas.

- Co?

- Nie jest pan demonem.

- Panie, wychowałem się w Mieście Zewnętrznym Lemurii! Mogę panu powiedzieć o każdym kącie tego zasnętego miasta! – Nie wytrzymał. Tego było już za dużo.

- Nie jest pan demonem. Nie wiem, co za grę pan prowadzi...

- JESTEM! – Stał tak, i zastanawiał się, jaką sztuczkę mu pokazać. Pogryźć czajnik? Wysmarować go tym klejem, czy Nandia wie czym? A może odgryźć mu łeb jednym kłapnięciem i narobić mu do szyi?!

- Przykro mi. Nie umiem powiedzieć, na dziś dzień, czym pan jest, bo normalny pan też nie jest, ale tak w ogóle... - podał mu rękę – miło było z panem rozmawiać...ale nie mieści się pan w skali. – Uśmiech kwaśny jak cytryna – proszę się zgłosić do sabatu Nowa Lemuria, zostawiam panu adresy – tu położył na stole zgłupiałemu Armalowi mały zeszytek – może i pan jest demonem, ale to...nie leży w mojej kompetencji, żeby teraz pana tu wpisywać...tu trzeba specjalisty. Jakies dokumenty?

- Byłem przecież przez ostatnie lata pariasem! Nie mam dokumentów! Sprzedaliśmy je z... - Axe, ta durna Axe. Pomyślał o niej, i aż chęć mordy w nim odżyła.

- No i widzi pan. Nie ma pan nic na potwierdzenie pańskiej tożsamości. Przykra sytuacja, ale w takiej sytuacji nie należy się panu zasiłek kombatancki...nie myślał pan o tym, że może pan być kosmitą?

- WYNOŚ SIĘ PAN Z MOJEGO DOMU!

Część czwarta: filety smaczne i zdrowe, a panienki z Mauna Lekikai są zabawowe

Hej dziewczyno

Nie mów nic

Czas na śmierć

Z ręki noża

Stań przede mną

Pozwól pociąć się

Co za wieczór co za noc

Nożem będę na twojej skórze

Kreślił znaki

Aż do śmierci

Pod moim nożem

Twoja skóra jest w kawałkach

Smak twojej skóry

Tak zniewala mnie¹²

¹² Drogi zespole Myslovitz. Jesteście inspiracją. Kocham was za to, i nie chcę żadnych procesów, oki?

W świetlistej Oranżerii wszystkie drzewka pomarańczowe były obwieszane szklanymi dzwoneczkami, które przy najmniejszym podmuchu wiatru wydawały z siebie cichy, krystalicznie czysty dźwięk.

Jednak to właśnie w kompletną ciszę wjechał Svedeki, na swoim wózku inwalidzkim na gąsienicach. Chwytakiem potrząsnął zieloną, świeżą gałązką. Rozległ się jego ukochany dźwięk – delikatny jak szept kochanki o północy, słodki jak czterdzieści ton cukru rozsypanego na torach kolejowych.

- Mistrel – wystukał na klawiaturze, podniósł skalę głosu, i upuścił ten niedoskonały dźwięk w przestrzeń.

Oddychał lekko w balsamicznym powietrzu ciepłego gaju pomarańczowego rosnącego pod Kopułą.

Wszyscy wiedzieli, kto mieszka pod Kopułą, ale nikt nie wiedział, kim ONA może być naprawdę. A Svedeki wiedział, i dlatego tak często się uśmiechał.

- Mistrel – powtórzył.

Szła ku niemu. Delikatne, małe stópki w szklanych bucikach zastukały po kryształowej posadzce. Cztery pary skrzydeł stworzonych z samego światła z siłą rozcinały powietrze. Lądowała.

- Witaj, mój drogi przyjacielu – powiedziała, a jej głos był jak echo tysiąca słońc.

- Witaj, droga przyjaciółko – powiedział. – Cóż za czasy.

- Tak. Cóż to za czasy, gdy nie słyszy się głosu starych ludzi.

- Nie wiń ich, to moja wina. Nie powiedziałem im tego. Nie czas, nie pora na to. To zbyt skomplikowane, by mogli zrozumieć. Wiem też, że kiedyś zrozumieją, ale póki co, ty zrozum starca... który sam nie rozumie.

- Svedeki, ach. Ty najlepiej z nich wszystkich wiesz... a poza tym...

- Nie...

Gdyby miał zainstalowane kanaliki łzowe, płakałby rzewnie, wyjeżdżając spod Kopuły.

A jednak nie miał tego. Wszystko przez to dusił w sobie, i wiedział, że cała ta legenda o Królowej, aniołach, miasto demonów... a nawet Milenium nie są tym, za co wszyscy ich uważają. To takie smutne, że to ziarno prawdy, które tkwi w legendach w istocie jest tak prozaiczne. I że niektóre rzeczy trzeba zrobić lepiej, niż było robione dotąd. Inne trzeba po prostu zrobić. Jeszcze innych nie można robić wcale. Svedeki uczył się je rozróżniać od siebie, a miał już tyle lat, że sądził, że robi to doskonale.

- Syn Plugastwa? – Zapytał retorycznie Chinook. W takim razie, skoro wiemy, gdzie przebywa... to znajdę go i osobiście zabiję. Nie może być kimś więcej niż demonem.

Założył koszulę, jedwabny krawat od Armaniego, i jasny garnitur z wełny skrunji z samej Prerii Taedzkiej. Kochał luksus. Z tyłu, jedna z jego kochanek, Inn, trzymała inny krawat, Gucciego.

- Ależ panie Chinook, to niebezpieczne. A Reaktor? Bez niego jesteśmy... - szczebiotała po babsku.

- Reaktor, moja złota baszantko, znajdę zaraz po nim. I sprowadzę spowrotem. Zniszczył nadajnik. Stąd te problemy. Kto wie, co się właściwie dzieje? Ale mimo wszystko...

- Dlatego, proszę, zostań, generale!

Dlaczego nazywała go generałem? Faktycznie – dowodził wszystkim tutaj, bo mieli mało ludzi. Przez te wszystkie wieki było coraz mniej pracowników, ochrona słaba... i tak oto został on

– Chinook, Regedit Exe – jego zastępczyni, Ruby Stein, Inn, i trochę ludzi z oddziału technicznego. I Arnholm ze Svedeckim.

Znał doskonale przyczynę.

Zapiął krawat. Nie, nie podobał mu się. Wolał ten w prążki.

- Inn, podaj mi ten drugi – powiedział do posłusznej dzierlatki w sukience w hawajskie wzory. O, przepraszam. Mauńskie. Styl Mauny. O ile na Ziemi wzorzyste, kwieciste tkaniny nazywano hawajskimi, to tutaj, w Xandau hołdowano raczej taedzkim tradycjom, i tego typu pstrokate, zwiewne sukieneczki w czerwone i żółte kwiaty przypominały o zwyczajach rajszych wysp Mauna.

Mauna Lekikai – pomyślał. Czyli Reaktor.

I te wszystkie maszyny starego typu, które teraz zaczynały uruchamiać nie znane wcześniej dane. A wiedział o tym wszystkim może tylko Svedeck i Arnholm, choć oboje byli tak starzy, że nie mogli o tym nawet już pamiętać.

Odkąd Mauna Lekikai opuściła Wieżę Energetyczną, przeszli na zasilanie awaryjne. Nikt, rzecz jasna nie mógł jej zatrzymać. Mauna Lekikai została tak nazwana, bo mieszkańcy wysp Mauna czcili boginię pioruna...do diaska! Przecież oni właśnie czcili Maunę, Reaktor Xandau!

Pieprzone maszyny starego typu! Tak nowoczesne, albo tak zacofane, że nikt ich już nie umiał obsługiwać!

- Inn, krawat, mówię! – Ponaglił dziewczuchę – załatwiłaś już sprawy Svedeckiego?

- Tak, proszę pana.

- Dobrze...

Ale jaki to wszystko miało cel?

- Gdzie w tej chwili jest ten dziad na wózku?

- W oczyszczalni płuc. Zabiegowy numer 3.

Delikatnie uśmiechnięta jak zwykle, podle piękna niczym prostytutka z wysp, Inn. Ta opalona na złoty brąz, gibka pielęgniarka, która pracowała tu od dwunastu lat...ciagle młoda. Te operacje plastyczne czynią cuda.

- Legendy, o Maunie, wierzysz w nie? – Zapytał nagle soczyście piękną dziewczynę.

- Ależ skąd. To tylko Reaktor...

- Aż. Może AŻ Reaktor? Może to prawda, w tej legendzie?

- Ależ co szef mówi...

- Zleć Regedit Exe, żeby do niej poszła.

Tropikalny klimat źle działał na Regedit. Tkwiła tu, pod Wieżą Mauna, rzeźbioną we wzory lokalne, jakichś bożków, w tym przedstawiających samą Maunę Lekikai, boginię pioruna, i boga wody.

- Mauna Lekikai! – Zawołała donośnie. – Mam broń i nie zawaham się jej użyć!

Odpowiadał jej szum wiatru w liściach palmowców i jazgotliwy śpiew stada kapur na Wieży. Kapury – barwne jak papugi, wrzaskliwe jak one, jedynie mięsożerne i drapieżne. Mała różnica.

- Mauna Lekikai! – Ponowiła odezwę. Gdzieś powinna tu być, sucza córka. Od ostatniego widzenia z „boginią” nie zmieniło się tu nic. W promieniu dwunastu kilometrów wierni w kolejkach, a tu spokój i cisza. I te kapury – starła pecynę odchodów z kłapy munduru.

- Mauna Lekikai! – Wrzasnęła – wyłaź!

- Bez gniewu, to bogini – usłyszała za sobą głos jednej z nowych kapłanek jej kultu. Jakaś wieśniaczka z aspiracjami i ślepą wiarą. I porządną strzelbą na ramieniu.

- Spokojnie, jestem z Xandau. Chcę porozmawiać z ta waszą boginką. – Powiedziała ostro. Nie lubiła takiego traktowania. Ta dziewczyna będzie gotowa strzelić, jeśli wyczuje zagrożenie. A wtedy Regedit będzie musiała się bronić i wywiąże się spory konflikt na tle religijnym...

- Ja nie mówić – zmieniła ton kapłanka – trzeba przyznać, ubrana elegancko, w barwy narodowe Lekikai i kapelusz kultowy, taki z szerokim rondem i przewiązany czerwoną taśmą z cekinami.

- Ja też słabo mówię po lekkajańsku – westchnęła od upału i nerwów Regedit – dogadajmy się. Muszę widzieć się z boginią. Mauna Lekikai...jestem z Xandau, Regedit Exe, stopień majora...

- Pani major – powiedziała z niechęcią kobieta – i ośrodek wojskowo naukowy Xandau. Nie przyjmie pani na widzenie. Ale zapytać mogę. Ale wtedy ona mnie porazi piorunem.

- Ile chcesz, dwie stowy wystarczą?

- Ona mnie zabije, gdy się dowie, że proponowała pani łapówkę – uśmiech biały jak lodowe pola koła podbiegunowego.

- Cztery stowy?

- Dobra. – Wyciągnęła rękę. Regedit podała jej plik lekkajskich dolców. – Ale nie takich pieniędzy chcę – usłyszała w odpowiedzi, gdy babsztyl już schował pieniądze.

- To ile?

- Cztery stowy ale złotych obligacji Xandali.

- Tyle ze sobą nie mam. Chyba pani rozumie...

- Dość! – Przerwał im donośny głos.

Kapłanka nagle uciekła zwinnie jak małpa razem z pieniędzmi, kapury nadal darły się na drzewach, ale coś się zmieniło.

Weszła na polanę z godnością i wyższością luksusowej dziwki wchodzącej do małomiasteczkowego burdelu. Sama bogini Mauna Lekikai. Z pleców wyrastały jej stalowo jasne ostrza skrzydeł, proste i nieubłagane skuteczne ponoć jak sama śmierć. Włosy – krwawo rude opadały na smukłą bladą twarz.

- Wreszcie mogę się z tobą zobaczyć – powiedziała Exe.

Mauna uśmiechała się. Miała ładne ostre zęby. Nie dziwota, że czczono ją też pod aspektem bogini śmierci.

- Muszę... - zaczęła.

- Nic nie musisz. To raczej ja muszę. – Powiedziała, i usiadła z gracją na kamieniu. Jej ubranie stanowił obcisły kombinezon z maszynowni, czarny i seksowny, kto wie, może zyska nowy aspekt – bogini płodności?

- Regedit Exe, major Xandau...

- Wiem. Już niedługo tu zabawię, więc słuchaj. Bo wiem, że pewnie tych informacji potrzebujesz. Notuj w pamięci, albo nagrywaj. Zależy, jaką maszyną jesteś.

- Jestem człowiekiem – wyjaśniła zbita mocno z tropu Exe. Nie tego się spodziewała. Prawdę mówiąc, spodziewała się wielkiej walki z boginią, długich pertraktacji...

- No więc mogę zacząć moją opowieść. Bo chyba nikt wam tego prócz mnie nie powie...

Miała małe, chytne oczka, nie wiadomo, czy jej wierzyć – dywagowała Exe, ale cóż jej innego zostało? Z boginią, co prawda małą, lokalną fałszywą boginką, ale jednak – boginią, za którą stoi cała wyspa się nie klóci.

- Nie jest dużo takich maszyn jak ja. Praktycznie jestem tylko ja, Mistrel i Milenium. I plugawiec. Nie znacie go, pewnie. Wiecie tylko to, że istnieją maszyny starego typu, dające wiele

energii, które stworzyło dawne stowarzyszenie Xandau, które istniało *dawno, dawno temu*. Czyż nie?

- No tak – powiedziała pod naporem tego żółtego, złego spojrzenia. Jeszcze chwila i mnie zaatakuję. Rozpłata tymi skrzydłami na miążgę...dlaczego ja, dlaczego... - myślała.

- O plugawcu nic nie wiecie, prawda? Bo nie jest maszyną. Plugawiec to ważna persona, kontroluje stan Milenium. Zawsze się takie coś rodzi. Na przykład ciełą z dwiema głowami. Bliźnięta syjamskie. Albo robak z aspiracjami do władania światem.

Wyjęła skądś papierosa i zapaliła.

- Bogowie nie palą, tak przy okazji, więc lękaj się gniewu bogini. Darowałam sobie ten cały patos, bo mam niewiele czasu. Muszę znaleźć plugawca. Plugawiec to jakby znak firmowy populacji. Gdy następuje chów wsobny, tworzą się anomalie. Wiesz o tym, nie? Więc w Lemurii nastąpił chów wsobny. Wtedy uruchomiła się Milenium, i plugawiec jest jedynym, który może albo ją zatrzymać, albo zrobić cokolwiek chce z nią. Zrozumiałaś? Chów wsobny demonów. Zła polityka z czasów, kiedy hieny rywalizowały z aniołami o pokarm...

- Ale dlaczego? O co chodzi? Przyjechałam, żeby się dowiedzieć...

- Czy tylko – powiedziała cicho – czy tylko ludzie mają prawo do szczęścia? O to toczy się ta walka. I tylko to. Jak uważasz? Prywatnie?

- Ludzie, tak. Inni też.

- Jacy inni?

Regedit zdawała sobie sprawę z rangi pytania, ale nie rozumiała do końca jego sensu. Jak większość ludzkości, a przynajmniej tak jak pan Chinook, który właśnie wyleciał samolotem do Mauna Lekikai z Xandau. Niestety, to właśnie Regedit Exe odpowie na to pytanie.

- A anioły i ludzie?

- Demony też? – Zjadliwy uśmiech.

Drżenie w kącikach ust Exe.

- Tak. Zostały wychowane tak jak zostały, tradycje nierządu, ich priorytety przemocy i masturbacji...ale to tylko wychowanie. Anioły...

- Czyli pochwalasz ludzkie priorytety – ojczyzny, prawa, szacunku dla życia? – Jeszcze bardziej żółte oczy, jeszcze bliżej twarzy Exe. Exe naprawdę nie wiedziała, czy rozmawia z boginią, czy prastarą maszyną wybudowaną dawno, dawno temu w pewnym celu, jedynym i wyraźnym? I że ten cel właśnie jest osiągany, i rozpoczął samo spełnianie, gdy padło pytanie, czy Exe jest człowiekiem. Maszyny, których główną metodą walki jest rozmowa. To dopiero broń. Ale ludzie tego nie rozumieją.

- Tak mnie wychowano...

Kłapnięcie zębami. Exe odskoczyła. Zęby, lśniące zęby były ze stali. Albo z materiału metalicznego, wyglądającego jak stal.

- Kwestia wychowania – powiedziała Mauna w przestrzeń – to uwarunkowuje poczynania ludzi i demonów. Aniołów nie, bo nimi nie zajmuję się. Ich kwestią zajmuje się najsilniejsza, Mistrel. Ale ja wiem, że plugawiec jest ofiarą wychowania. Wszyscy w pewnym stopniu są tacy, jakie jest ich wychowanie. Tako rzecze Mauna. Teraz znaleźć plugawca. I zapytać go.

- Ale o co? – Zapytała cicho Regedit. Dygotała. Nie wiedziała czemu, ale drżała, jakby był właśnie trzaskający mróz, i jednocześnie pocila się niemiłosiernie.

Mauna przeszła się z gracją po ziemi. Kapury wzbiły się czerwono niebieską chmarą w powietrze, i z wrzaskiem odleciały.

Maszyna chodziła w tę i we w tę, powoli, a nożyce jej skrzydeł cięły niebezpiecznie powietrze.

- Wybacz moje kłapanie szczękami – rzekła – ale gdy myślę, przestaję przejmować się... węglowce, tak?

- Co proszę? – Zamrugła oczami major.

- Węglowe organizmy. Sądzę, po zachowaniu ich wszystkich, tu, w okolicy, że macie podobne problemy.

Zarówno jak skrzydła, tak i zęby i paznokcie miała wykonane z metalu. Byłaby prawdopodobnie nie do pokonania w tej chwili dla Regedit, gdyby nagle postanowiła ją zabić.

- Uważam – zaczęła Regedit nieśmiało – że wszyscy mają prawo do szczęścia. Bez wyjątku.

To co powiedziała – stwierdziła z radością, było bardzo politycznie poprawne. Jeśli Mauna zbiera w jakimś celu te wszystkie informacje, to dobrze, że usłyszysz same dobre rzeczy.

- A jeśli demon został wychowany w ten sposób, że wierzy w prostytutkę, i marzy o tym, by być najlepszą dziwką na świecie? Czy dziwki są dobre, czy prostytutka jest dobra? Przecież w wielu krajach się z nią walczy.

Odpowiedź Mauny zbiła ją z tropu.

- Z punktu widzenia gazeli, lew jest zły, i powoduje u niej śmierć, ale z punktu widzenia lwa, powoduje szczęście... - kontynuowała maszyna. – Co wtedy zrobić?

- Hodować w farmach, tak jak się to robi sztuczne mięso...

- To powoduje zbyt wielkie koszty. Nie wyżywisz świata zwierząt w ten sposób, a gazy, nie zabijane przez lwy zjedzą całą trawę z sawanny, pochorują się od tego i umrą. Porządek w naturze jest dobry taki jaki jest.

- Do czego zmierzasz? – Zapytała z nadzieją, że wreszcie powie coś właściwego na te dziwne słowa Mauny.

- Do tego, że kiedyś ktoś zdecydował, że ludzie mają prawo do szczęścia. Ale czy zdają sobie sprawę z tego, i czy rzeczywiście na dziś dzień mają nadal do tego prawo. Ja, Mauna Lekka jestem po to właśnie, by to ustalić. Przez wieki całe używana byłam w celu zapewnienia energii dla Xandau, ale w rzeczywistości jestem zbudowana w tym właśnie celu, który ci przed chwilą powiedziałam.

- Tylko po to?

- Może aż po to? Okaże się.

Uśmiech. Regedit zaczyna się coraz bardziej pocić. Zda sprawozdanie generałowi Chinookowi. Powie mu, że maszyna, jedna z wielu, które używano przez całą wieczność, odmówiła posłuszeństwa, ponieważ została zbudowana w zupełnie innym celu niż sądzono. I że ten porządek, który znają, z jakichś powodów zaczyna się walić, na łeb na szyję i nie wiadomo co będzie. I nie im sążone jest zrobić cokolwiek.

Usiadła na ziemi. Objęła głowę rękoma. Płakała.

- I co ja zaprotokołuję? Co ja powiem?

- To co zwykle. Pozostaje też samobójstwo. – Promienny uśmiech zębów Mauny.

„Tradycje nowożytnych demonów. Dialog starożytności z rzeczywistością” – fragmenty rozprawy Alfreda Chingalla.

Doroczną uroczystością w Lemurii obchodzoną dwunastego lipca jest dzień, w którym przykładane są dłonie do Czarnego Kamienia na placu Wielkiej Nandii Nierządniczy, tradycja ta przeniesiona została na grunt europejski, by zakorzenić się na stałe w Islamie.

Tradycja nakazuje, by każdy, młody, czy stary raz do roku przyłożył obie dłonie do

czarnego kamienia pośrodku placu wszystkich prostytutek i wymówił życzenie, tradycja głosi, że tak wypowiedziane życzenie ma wielkie szanse na spełnienie.

„Protokół 54”

Program Milenium

Var

Begin

Podczas dotknięcia kamienia na placu Nandii Nierządniczy do Wieży przekazywane są informacje o jego kodzie genetycznym, tak, by wyłoniony został ewentualny syn plugastwa, i by mógł prawidłowo uruchomić się program Milenium.

End.

Hubert z drżeniem wstał. Gardło bolało go i z trudem oddychał. Rafcio, jego ukochany Rafcio odleciał. Na pewno wróci, i znów będzie go bił. Kalekę. Gdyby miał obie ręce, może by jakoś wytłumaczył mu, chwycił go, potrząsnął nim, i Rafcio wyzdrowiałby...

To na pewno choroba. Wtedy, gdy wpadł do Wieży, musiał zachorować, i teraz tak się działo. Działo się tyle złych rzeczy, zmienił się cały Rafael, na gorsze, tak, jakby nigdy już nie miało być dobrze.

Hubert nie miał zielonego pojęcia, ile tam przesiedział, płacząc i rozpamiętując stare sprawy. Szkoda, że nie było z nim Salieriego. On by na pewno coś wymyślił, ale tak bezsensownie opuścili Miasto Śmierci, gdy Rafaelowi wyrosły skrzydła. Bali się. To znaczy – on się bał, bał się reakcji ludzi na skrzydlatą, dumną i arogancką istotę, w którą zmienił się nagle Rafcio. A Rafael powiedział mu wtedy coś w stylu – *tchórze, wynosimy się stąd do prawdziwego świata*. I wynieśli się do Taedu. Teraz Rafael zachowywał się tak, jakby bardziej zależało mu na Ziemi, ale tu jego wygląd wydawał się bardziej akceptowalny. Tu różne rzeczy się zdarzały. Tu wiadomo było tylko tyle, że elfy, smoki i słonie¹³ nie istnieją. A tak poza tym wszystko inne mieściło się w granicach pojmowania ludzkiego.

Jednak ta podróż okazała się wielką klapą. Rafaelowi wyrosła ta wielka kość na mostku, mięśnie, włosy na głowie wymieszały mu się z pierzem. Koszmar. I to upodobanie...szczególne upodobanie, które do tej pory spotkał jedynie u demonów. Rafael, przecież anioł – zaczął jeść mięso, zabijać ludzi. I zjadać.

Zwierzęta też zjadał. Z początku pożarł kotka pani Tacu, potem psa pana Regłowa. A tutaj już tak jakby puściły mu hamulce. Zaczął robić rzeczy, które nawet demonów do tej pory nie dotyczyły.

Hubert nie widział, kiedy zrobiło się już ciemno, po prostu w pewnym momencie Rafael był z powrotem, siedział obok niego i palił.

- Będziemy mieli jutro gościa – oznajmił anioł, jakby od niechcienia. – Kontaktujesz? Idioto – mówiąc ostatnie słowo, uderzył go po głowie.

- Nie bij mnie – poprosił Hubert – Rafciu, kogo zaprosiłeś? Chyba go nie zjesz?

- Nie zjem, on już ze mną dzisiaj sprawę załatwił, jutro z tobą.

¹³ Całkiem możliwe, że dla Ziemiaków istnienie potwora z Loch Ness stałoby się zupełnie zwykłe, gdyby w morzach pływały podobne zwierzęta, tak jak na przykład lewiatany w Taedzie. Jednak dla mieszkańców Taedu największą bzdurą oprócz elfów i smoków są słonie. Czemu w sumie nie? Słonie wyglądają dla nich paranoicznie – masowo więc odwiedzają Kenię, by na własne oczy zobaczyć te wybryki natury.

Rano Hubert obudził się znowu sam, zapłacił za pokój, i za szkody...kończyły mu się pieniądze. Nie chciał, brzydził się portfelami kilku ofiar Rafaela, ale musiał przyjąć ten jego dar. Tym razem zapłacił pieniędzmi należącymi do mieszkańca Telcebor, też z Huxcalbain. Dlaczegoż to jego właśnie spotkało, myślał, odchodząc od portierni, gdy za jego plecami rozległo się głośne pierdzenie. Odwrócił się, i zobaczył dziwnego jegomościa.

Facet był w średnim wieku, nosił niebieskie okulary i granatowy garnitur z mauńską koszulą. Równie dobrze ten wzór mógł uchodzić za hawajski, ale na tutejsze warunki wolał przyjąć do wiadomości, że to wzory z Mauna Lekka. Głośna sprawa z tą boginią, tak w ogóle.

- Dzień dobry. Pan jest strażnik Hubert? – Zapytał facet – ten w każdym razie ten bez ręki? Widzę że tak – dodał po chwili bez cienia delikatności.

- Tak, a co? – Zdziwił się Hubert.

- Bo ja jestem Mieczysław Piżgał – kontynuował po angielsku – i przeprowadzam ankiety na zlecenie New Community of Lemurian Demons z siedzibą w Waszyngtonie. Znalazłem pana dzięki wahadełku – tu pokazał mu monetę na sznurku – i mam zlecenie zawiadomić Strażników Jej Królewskiej Mości, żeby strzegli jej nadal.

Kaleka zamrugał oczami.

- To z panem mam się spotkać?

- To kolega panu na szczęście powiedział...z nim to jest jak z larwą, gadał dziad do obrazu, a obraz mu ani razu. Fajny ten Taed tak w ogóle, turystykę się uprawia, nie? – Tu podał mu rękę, po czym z uśmiechem powiedział – a tak, pan nie ma ręki. Wypadek na budowie?

- Pan z nim się dogadał? – Zapytał z niedowierzaniem – przejdźmy może do stołówki...

- Oczywiście. Czemu miałbym się z nim nie dogadać? Najgorsze to są larwy i baszanci, jak już panu mówiłem.

Usiedli w prawie pustej o tej porze sali. Ludzie zwykli jadać w mieście, miejscowe specjały, a nie stołówkowe, wodniste frytki z tutejszej odmiany ziemniaka.

- Ale kim pan jest?

- Mieczysław Piżgał – pierdnięcie – ach, ta fasolka. Z Ziemi jak widzę poprzywozili pełno warzyw, fasolka – zajrzał w menu, ułożone w formie zdjęć – ziemniaczki. Zjadłbym sobie ziemniaczka. Po raz pierwszy jestem w Taedzie, wie pan? – Uśmiechnął się. – Nie wiedziałem, że istnieje alternatywna rzeczywistość, a tu proszę. Co dzień się człowiek nowych rzeczy uczy.

- Ale kim pan do cholery jest? – Nie wytrzymał Hubert. Bał się. Jeśli Królowa faktycznie się znalazła, to są w wielkim niebezpieczeństwie, on, Rafael i Salieri, gdziekolwiek by teraz nie był...

- Na co dzień przeprowadzam ankiety, spis narodowy demonów, ale jako, że jestem dobry w tym co robię, wie pan, taka żyłka detektywistyczna, to mnie skierowali, żebym znalazł takich trzech śmiesznych gości z pieniędzy. Na banknotach, nie? No to jestem, miło, że pana znalazłem.

- Ale w jakim celu?

- Celu znalezienia was i poinformowania. Zresztą, to co pan zje? Bo mi tam wszystko jedno.

- Pieczoną kapurę myślę – westchnął Hubert. Wahał się aktualnie między faktycznym głodem, a chęcią ucieczki. Postanowił w końcu zjeść, a potem zacząć się martwić innymi sprawami. Mężczyzna, który przeprowadzał ankiety dla demonów, może być cennym źródłem informacji o faktycznej sytuacji na świecie.

Do tej pory słyszał tylko, że na Ziemi uciekinierzy z Lemurii połączyli swoje siły, ale nic z tego nie wynika.

- Ja bym kapury nie jadł, wolałbym filet z lewiatana, bym zresztą lewiatana zobaczył, bo

na Ziemi to lewiatany są, ale tylko sklepy.

- Co, proszę?

- Nic, nieważne. Ale z tego co wiem, to lewiatany w tym roku do zatoczki nie przyplnęły, a szkoda, podobno ładne. Coś jak walenie i inne ssaki. Co to ja miałem – podłubał w nosie, ku obrzydzeniu Huberta – czy aby na pewno roztropnie dobrał sobie rozmówcę? – Filety z lewiatanów są podobno dobre, tylko bardzo drogie. A co, płaci za wszystko sabat Nowa Lemuria, to i dobrze, nie? Ale tutaj nie ma filetów...- znów to potworne dłubanie w nosie, tym razem kłupę włożył między zęby. Hubertowi zrobiło się gorzej, niż wtedy, gdy na Marszu Prostytutek w Lemurii kilkadziesiąt kościei tańczyło kankana, przy czym żadna z nich nie miała bielizny.

- To może pójdźmy gdzieś, gdzie podają lewiatany? – Zapytał cały blady.

- No może, a zna pan jakieś miejsce?

- Tak...

Restauracja Lewia była może i zbyt kosztowna jak na Huberta, ale ankieter zobowiązał się zapłacić. O ile rzecz jasna wytrzymam posiłek – dodał w myśli patrząc na kolejny atak dłubania. W końcu ankieter dał sobie spokój, i wysiąkał nos przy akompaniamencie solidnych trąbniących.

- Jak tu miło – powiedział w końcu. Do kelnerki, ubranej w skąpy letni strój służbowy z wielkim lewiatanem na piersi powiedział – poproszę filet z lewiatana z grilla.

- Ja nie mówię English – odparła z głupawym uśmiechem.

- Ona nie zna angielskiego – wyjaśnił Hubert. – Ja zamówię. Co pan chce?

- To – wskazał na menu obrazkowe. – A dla siebie co chcesz zamówić. Ja płacę.

- A więc – zwrócił się Hubert do kelnerki – swoją drogą, całkiem ładnej, szkoda, gdyby coś się stało z jej zdrowiem z powodu Rafaela... odrzucił szybko od siebie tą myśl i postanowił zamówić – dla pana filet z lewiatana z grilla, a z dodatków...- tu postawił na swoją inwencję i wyczuł dobrego smaku – sałatka morska. Dla mnie sałatka morska i smażony lewiatan w oliwkach...

- Przykro mi, ale nie mamy chwilowo oliwek. Proponuję zupę mistrza kuchni...

- To dla mnie to samo, lewiatan z grilla i sałatka morska.

- Coś do picia? – Notowała w kajeciku.

- Dla mnie czarną kawę, tą tutejszą. – i po angielsku do ankietera – czego się napijesz?

- Niech pan mi coś tutejszego wybierze, nigdy nie byłem w innej rzeczywistości.

- Co pani by proponowała dla niego? – Zapytał – nigdy tu jeszcze nie był.

- Proponuję Zupę Kapitana, skoro nigdy nie był w Tulcupac. – Uśmiechnęła się, ale po chwili, jakby dotarło do niej, że to cudzoziemiec kompletny dodała – to zupę, a do picia kompot z tutejszych owoców. Smakuje jak kompot ze śliwek, ale pan wyjaśni...

- Dobrze.

Kobieta oddalała się. Otaczała ich urządzona w morski, egzotyczny sposób sala.

- Jak panu udało się porozmawiać z moim bratem? To znaczy z drugim strażnikiem... Rafaelem? – Zapytał.

- Bardzo prosto. On dalekie ma loty, ten pana brat. Chyba przyrodni, albo adoptowany, jeśli mogę wiedzieć...

Hubert zastanawiał się, czy ten człowiek ma w sobie jakieś moce paranormalne, bo jeśli w ten sposób rozmawiał z Rafaelem i przeżył...

- Dalekie loty? I co jeszcze? Wiem, że rano wylatuje w niebo, nie wiem, jak wysoko, ale wieczorem wraca najedzony i przynosi mi czyjeś portfele, domyślam się tylko...

- No to pan się dobrze domyśla. Wspaniały to kraj, ten Huxcalbain. Byłem już w oceanarium, mają tam takie fajne tutejsze orki, turystycznie się tu wspaniale rozwija. Czy pan był

już w oceanarium?

- Nie – odparł kaleka. – My tu nie w sprawie turystyki – ściszył głos. – Ukrywamy się. Uciekamy. Przed Królową.

- A Milenium to chyba coś w stylu tej waszej Królowej, nie? Ona zorganizowała to wszystko, za jej pieniądze sobie żyję.

- Nie znam żadnej Milenium. Nasza Królowa – tak! Odważył się wypowiedzieć to słowo! – Nie miała imienia. Było utajnione.

- Wie pan – uśmiech i błysk w niebieskich okularkach – z tą Milenium też podobnie. Spotkałem się z takimi, co ją znają, i faktycznie jak chce powiedzieć, jak się nazywa, to wychodzi takie coś jak cenzura. Podobno jej imię jest gdzieś w eterze, że tak to uproszczę, i ktoś je zna. Raz puściła je w eter, i ludzie, demony, zwierzęta będą je powtarzać, dopóki nie trafi do odpowiedniego demona. Fajnie to musi brzmieć, jak mówi – nazywam się ***.

- Naprawdę? – Zapytał z szeroko otwartymi oczami Hubert.

- Bo ja wiem, tak gadają. O, niosą już jedzenie.

Popatrzył na filec leżący przed nim na talerzu – solidny, spory filec białego mięsa lewiantów. Była to co prawda porcja z mrożonki – co wiedział Hubert, ale nie chciał rozczarowywać turysty. Zresztą, to, co mówił, było frapujące.

- I co będzie, gdy trafi ono do odpowiedniego demona?

- Bo ja wiem – mlasnął Mieczysław Piżgał – tak gadają. Się Milenium spytacie, co wam szkodzi, tyle lat jej pilnowaliście, to jeszcze trochę możecie wytrzymać. Swoją drogą, jedno mnie ciekawi – wycelował widelcem z nabitym kawałkiem mięsa w strażnika – kiedy wy na emeryturę odchodzicie?

- Nie wiem. Chyba nieśmiertelni, tacy jak ja, czy Salieri, i Rafael, to nigdy – głos miał ponury. – Trochę to męcząca świadomość.

- Wiem. Ja planuję koło sześćdziesiątki się ustatkować, bo szaleję, szaleję...

Podano jedzenie dla Huberta. W tym momencie ankieter zaczął dłubać sobie w uchu i na domiar złego z lubością na twarzy puścił wyraźnego bąka, o cichej tonacji, acz porządnym poziomie smrodu.

- Szaleję...a właśnie, smaczny ten lewiant, tylko że moim zdaniem smakuje jak wołowina. Białe mięso, ale smak jak kotlet. Spróbuję sałatki...a co to za napój? Śliwki!

Hubert twardo jadł. Postanowił nie przejmować się. Poza tym co mu innego pozostało?

- A ma pan obowiązek sprowadzenia nas do Milenium? – Spytał w końcu.

- Gdzie tam. Ja tylko informuję, zostawiam też panom plik ulotek, broszurki, i telefon kontaktowy do Milenium. Jest bardzo chętna was znowu przyjąć. Nie wiem tylko, gdzie ten trzeci – tu wyciągnął banknoty – ten, z wąsikiem, z brzuszkiem. Wyście byli w tym szarym, amerykańskim miasteczku, ale nie jechałem do was, bo to miasto podobno źle działa na ludzi. O, pan ręki nie ma i taki szary. Braciszek już bardziej kolorowy, tyle, że szary, skrzydełka mu tylko kolorków dodają. A ta plaskatość mija z czasem?

- Pan jest strasznie nieuprzejmy – nie wytrzymał.

- Wiem, wszyscy mi to mówią. To ulotki, gdzieś tam mam telefon do Milenium – zaczął grzebać sobie w aktówce – na wypadek, jakby pan nie chciał mnie już znać...

- Przepraszam... - stęknął. – Chce pan może wiedzieć, co jest w sałatce?

- Oczywiście!

- Pomidor, tutejsza odmiana, dlatego taki niebieski, marynowana śliwka, oliwki, kraken, małże i – przyjrzał się lepiej – mi to wygląda na ośmiornicę, ale głowy bym nie dał. Aha, to będzie – posmakował – płetwa z rekina. I mozzarella.

- Ale egzotyka! Chyba tu rodzinę zabiorę! – Ankieter wydawał się zachwycony.
- To pan ma rodzinę? – Tym razem nieuprzejmy okazał się Hubert, ale niestety ankieter był zbyt gruboskórny, by zrozumieć aluzję.

- Królowa, czy Milenium, wystąpi teraz z odczytem w Warszawie. – Kontynuował – to na Ziemi, w Polsce. Taki kraj. Okazało się, że w USA i w Polsce jest całkiem sporo demonów. Rzecz jasna, te z Polski emigrują, sam jestem stamtąd, i poważnie zastanawiam się nad emigracją. NCLD prowadzi takie przesiedlenia, nie? W Polsce teraz trudno wytrzymać, szczególnie baszantom, bo tam mają aktualnie chłodniejszy klimat.

- I co w związku z tym?

- A no to, że może by się pan wybrał? Ja bym zafundował przejazd, bo Milenium zabawi w tym kraju na dłużej. Podobno – tu ściszył głos – znalazła tam Imię.

- Tak? – Zbladł. Nie wiedział, co to do cholery może oznaczać, ale brzmiało poważnie. A fakt, że ten beczelny typ mówił to z powagą, oznacza coś poważnego.

- Tak mówi. I żąda, by nosiciel się ujawnił. Ja nic takiego nie zauważyłem, żeby któryś z demonów zachowywał się podejrzanie... - zamyślił się, i napił się kompotu. – Chociaż, był taki jeden typ, Armal było mu na imię, ale to nie był demon. Zna pan może takiego?

Z aktówki wyłożył na stół pokreśloną bardzo i klejącą się teczkę.

- To jego ankieta. Czytam sobie, żeby się pośmiać. Wie pan, że w rubryce zawód kazał wpisać pies łajka? A potem sputnik? A jako płeć nieustalone? Ha, ha!

Hubert wziął do ręki teczkę. Zaczął przeglądać, z czystej potrzeby spokoju choćby przez chwilę, i może nawet relaksu. Znał demony jak nikt przecież, i wiedział, do czego są zdolne. A więc...demon Armal, przynależność gatunkowa nieustalona, prawdopodobnie mieszaniec, do tego nazwisko nie ustalone, wiek również. Pewnie jakiś parias, bez dokumentów, wałęsający się po ulicach, z całą pewnością sutener czwartej kategorii.

- Ale najlepsze jest to, że się potem okazało, że nie jest demonem.

Hubert nieco zdziwiony podniósł oczy znad tekstu.

- Jak to, wszystkie rubryki wyglądają w porządku.

- Nie mieścił mi się w skali mieszaniec. Mieszaniec to będzie z dwóch, maksymalnie trzech...nie? Pół baszant pół wampir, może być, tak mi powiedzieli.

- No tak. Wampiry krzyżują się ze wszystkimi, ale dzieci takich nie mogą się rozmnażać, jak i wszystkie mieszańce. Lemuria to było straszne ZOO – zaśmiał się. Jak dawno już się nie śmiał?

- Podejrzewam. Strasznie dobre te kawałki krakena, tak w ogóle!

- Baszanci to gady. Nie mają rozumu, rozmnażanie u nich może dokonywać się tylko w obrębie gatunku, chyba, że któryś z nich zostaje zarażony wampiryzmem – pochwalił się swoją wiedzą Hubert – bo wampiryzm jest czymś w rodzaju choroby. Larwy mogą się kojarzyć z lemurami, ale ich potomstwo będzie bezpłodne. Mieszaniec trzech gatunków może co najwyżej wyglądać tak: larwo - lemur z wampiryzmem. Batezu z reguły nie łączyły się z innymi gatunkami, pogardzały...to dumne stworzenia, legendy głoszą, że to pierwszy gatunek demonów, jaki powstał. Wywodzą się ponoć z samego piekła. Ale jak pan wie, piekło to jedna z tych krain, które w rzeczywistości nie istnieje...jak to szare miasteczko, gdzie mieszkałem jakiś czas.

- Dziękuję za informacje, w każdym razie ten demon wykazał cechy wszystkich demonów poznanych mi na kursie. Po pijanemu wykazał...o ile pan wie, co mam na myśli.

- Myślę, że wiem. Ile flaszek wypił?

- Z dwanaście. Nie liczyłem.

Facet w sumie miły, może po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, jak arogancki i

obrzydliwy jest dla innych...pomyślał ciepło Hubert. Chciał ze wszystkich sił uwierzyć w dobro.

- W każdym razie facet ten, demon, czy nie demon miał cechy wszystkich demonów. Jego matka, jak to pisze w ankiecie, była prostytutką, jak to zresztą w statucie miasta stoi, że Lemuria nierządem stoi...ale mi się rymnęło...z tego co pan powiedział, to musiała być zarażona wampiryzmem, jak to bywa, że córki Koryntu mają trypra, a była sama mieszkańcem, ale to nie może być, żeby urodziła!

- A widzi pan, w Lemurii takie cuda się zdarzają! Może i sam Syn Plugawy się narodził – zażartowali, ale po chwili siedzieli w ciszy i było im obojgu bardzo nieswojo, co prawda ankieter nerwowo dłubał lewą ręką w nosie, a prawą wygrzebywał resztki jedzenia pomiędzy zębów, ale mimo wszystko...

Samochód stał na poboczu drogi. Słońce zachodziło, a Salieri za bardzo nie wiedział, dlaczego znalazł się na Ziemi. Kiedy uciekał z Miasta Śmierci czuł, że znajdzie się w Ameryce, i właśnie się tu znalazł. Wiedział, że Sally Goo już nie ma. Została w Mieście Śmierci. Zabił ją. Jednak, jakimś cudem krwawiła. I miał nadzieję, że się wykrwawi na śmierć.

Zasiadł za kierownicą swojego – teraz swojego – przed kilkoma godzinami ukradł to auto – samochodu i ruszył przed siebie. Nie chciał tego zrobić. Nie chciał kraść, ale życie go zmusiło. Potem odda je właścicielowi, tak jak odda tę pieniądze z napadu.

Okradł jeden głupi sklep w Mieście Śmierci, ot, tyle. Może i uciekał, ale z rozumem.

Cóż to za tchórz z niego – powoli dochodziło do jego świadomości – żeby najpierw uciec do miasta tchórzy, a potem z tchórzostwa, czy może z bzdurnej odwagi lub czystej głupoty uciekać dodatkowo...

Tchórz i tyle.

Tyle, że największy z możliwych.

Jechał, za przednią szybą zachodzące słońce, a na poboczu...

SALLY GOO.

Przyspieszył. Nie. To niemożliwe. To jest amerykańska pustynia. Tu co najwyżej spotka kojota, albo przydrożny barek z motocyklistami. Albo ciężarówkę. Ale nie, SALLY GOO znów stała na poboczu.

Przyspieszył. Bał się, że gdy zatrzyma się, ona będzie stać obok samochodu. Kim ona do cholery jest?

Zaczął się pocić. Jakiś kilometr dalej stała wyzywająco ubrana autostopowiczka ze zniszczonymi trwałą włosami. Jakaś taka zszarzała. A niech to. Zatrzyma się i sprawdzi. Zobacz, że to bardzo podobna do niej osoba, ale nie Sally.

I podwiezie ją kawałek.

Ale istnieje też inna możliwość. Że to sama Sally, tyle, że pod inną postacią.

Albo po prostu, drogi Salieri – wariujesz od tego wszystkiego – tłumaczył sobie. Podjedź, zwolnij...zobacz.

Zwolnił. Podjechał.

Rozmazany malowniczo makijaż i uśmiech mającej na wysłuchanie zmęczonej i zaskoczony kobiety.

- Cześć – mówi Sally Goo – przepraszam za to... chciałam przeprosić...

Salieri z wraskiem odjechał.

A jednak. Najgorsza możliwość.

Teraz to już wiedział, że nie wariuje, tylko ta wariatka go ściga. Ale dlaczego? Czego chciała? Zahamował. Wyszedł, trzaskając drzwiczkami. I wrzasnął:

- Czego ode mnie chcesz?!
 - Przeprasić – wyszeptała. Wyglądała tak biednie. – Pewnie się gniewasz za to wszystko... mam ci kilka rzeczy do powiedzenia, które powinieneś usłyszeć...
 - Mów i raz na zawsze wynoś się z mojego życia!
- Sally podeszła do niego na kilka kroków.
- Nie zbliżaj się!
 - Ale ja tylko...nie chcę tak na odległość...
 - Dobra...

W nielicznych kępach trawy na poboczu grały świerszcze. Zapadała powoli noc. Niebo wyglądało jakby zalała je krew. A Sally Goo miała na sobie czerwoną sukienkę i botki. Księżyc, nieśmiało wychodzący zza pagórków, i wycie wiatru wśród kamieni.

- Przepraszam...nie chciałam, nie wiedziałam, że tak zareagujesz.
- Co mi właściwie pokazałaś?
- Ja...tak czasem...żeby inni wiedzieli. Sama już tak do końca nie jestem pewna, czy to dobrze...ja...- drżenie podbródka, Salieri obejmujący skurczoną kobietę – chciałam, żeby i w tym mieście mieli dla siebie trochę radości...cały rok mają tak szaro, i w dodatku sami tchórze... wszyscy są dla siebie mili w ten jeden dzień, kiedy im pokazuję...
- Ale właściwie co?
- Sama nie wiem...chyba przeszłość. To wszystko było już tak dawno temu, że nikt nie pamięta, a ja bym chciała, żeby inni też się czasem cieszyli...
- Ale o czym ty mówisz?

Potrząsnął nią. Chodziło mu o tą ulotną chwilę, w której poczuł ciepło, gorąco i żar samego tysiąca słońc naraz. To bezwarunkowe ciepło i dobro...

- Ja...- drżący coraz bardziej podbródek.
- Ty jesteś...czy ty jesteś...muszę wiedzieć!
- Ale przecież bogowie nie palą papierosów – odparł tajemniczy nieznajomy z zimnym spokojem nauczyciela, który zaraz walnie tego krnąbrnego ucznia, który nie wie, ile jest osiem do drugiej potęgi, nie wytrzyma, po prostu nie wytrzyma. Walnie go w ten zakuty łeb!

Mauna Lekka rozłożyła skrzydła, noże, imitujące pióra zachrzęściły młócąc powietrze.

- Mogę latać. Mam wielką siłę. Jak myślisz, droga Regedit Exe...dlaczego?
- Nie zabijesz mnie! – Wrzasnęła celując z broni.
- Strzelaj sobie, strzelaj. – Machnęła dłonią uzbrojoną w pięć srebrnych noży paznokci. – Jeśli strzelisz, za niedługo doczekam się aspektu śmierci. Myślisz, że nie mogę cię, ot, tak, zabić? Ale przecież tego nie robisz. Chcesz zaprotokołować coś logicznego, prawda?

- Znów ten srebrzysty uśmiech.
- Chcę...muszę!
 - Więc, droga służbistko, usiądź spokojnie, i notuj, lub nagrywaj. Potem pokażę ci film, który kończy, jakby wieńczy dzieło. Nie zostanie nagrany, ale opowiesz o nim swoim przełożonym...protokół 54. Mało znany, bo akta z tych czasów, jak wy to nazywacie potocznie, *dawno, dawno temu* przepadły. Może nie do końca, może żyje jeszcze ktoś z tych czasów.
 - Żyje ich dwóch i jedna maszyna, aktywna...
 - A więc to ułatwia sprawę. – Oblizwała się i podeszła do Regedit. – W protokole wyjaśniona jest funkcja Czarnej Kamienia z placu Wielkiej Nandii Nierządnicy. „Tradycje nowożytnych demonów. Dialog starożytności z rzeczywistością” – fragmenty rozprawy Alfreda Chingalla. To też można przejrzeć, jako błędną interpretację faktów. Protokół mówi, że przez

dotknięcie przekazywane są dane o kodzie genetycznym demona tak, by wyłoniony mógł zostać syn plugastwa, ofiara chowu wsobnego zwierząt z rodziny demonowatych. Demonowate to mała rodzina, i liczba mutacji na terenie populacji lemuryjskiej nie jest zbyt duża. Chodzi tu jednak o wystąpienie odpowiedniej, niezwykle rzadkiej mutacji. Mutacji, która oznacza, że gatunek powiększy się o kolejny gatunek. Czy raczej potwora? Zawsze nowy gatunek, o ile występuje w liczbie sztuk jeden nazywany jest potworem, mutacją.

- I ty wyłoniłaś ten egzemplarz? - Spokojnie już zapytała Exe.

- Nie. Ten egzemplarz wyłoniła Milenium. Komputer pełniący do tej pory funkcję Królowej. Ja jestem po to, by ochraniać i zapytać syna plugastwa.

- Ale o co?

- Zaraz się dowiesz. Jesteś tu po to, by dostać ode mnie wszystkie informacje, i ci udzielię tego, czego chcesz się dowiedzieć.

Exe w tym momencie na powrót przestała czuć się komfortowo. Podświadomie czuła, że nie chce wiedzieć. I o co chodziło jej z tym wychowaniem...i to pytanie, czy ludzie mają prawo do szczęścia...

- Czy ludzie mają prawo do szczęścia? – Pytanie jak zgrzyt trybików wielkiej maszyny podtrzymującej świat.

- A jak ty myślisz, o bogini? – Odparła pytanie jakby chciała się go pozbyć.

- Zawsze pozostaje samobójstwo.

I dotknęła jej ramienia.

A ciepły pasat uniósł w powietrze szare skrzydła ptaka, wielkiego, potężnego anioła. W kominie powietrznym doszedł do niego oszałamiająco silny zapach padliny.

Regedit Exe, zmniejszona do małego świadomego cienia podróżowała z nim autostradami ponad sawanną, autostradami powietrza, gdzie prócz nieśmiertelnych, wiecznych aniołów polowały też sępy i orły.

Praprzodek hieny, lwa, i słonia. I praprzodek sępa towarzyszyły jej do zwłok dwóch praprzodków słoni. Wielkie, szare cielsko wspaniale gniło w suchym klimacie Afryki, na zielonej sawannie Sahary.

Gdy więcej zapachu uderzało w nozdrza anioła, ten wiedział, że posiłek, wymarzony posiłek, jedyny cel jego życia jest bliżej...coraz bliżej...i nagle ten strzał, przesywający jego skrzydło. Ludzie. Rozumni ludzie – dziwne, rozumne zwierzęta, które trzymają siatki i metalowe narzędzia plujące ogniem, zwierzęta, które podobne są do małych dwunożnych rywalizujących z nim o padlinę, ale polujące od kilku miesięcy na anioły.

A w Xandau było zupełnie inaczej, niż *kiedyś*. A czasy *kiedyś* - *dawno, dawno temu* to w sumie złe określenie na wielkiego węża czasu, który sprowadza w umysł ludzki porównanie do beznogiego gada, połykającego własny ogon w nielogicznym zaspokajaniu głodu. W Xandau tymczasem trwają wielkie przygotowania do rozpoczęcia hodowli nowych zwierząt. Naukowcy zebrani przy pomocy wielkiej maszyny, przenoszącej materię w czasie zapłodnili pomyślnie Batezu, przy pomocy komórek zwierzęcych, między innymi ludzkich. A klatkach kotłują się dwie baszantki... i ta jedna kobieta naukowiec obsługująca maszynę czasu. Ta kobieta o imieniu Sarino Mat, kobieta...która sprowadziła maszynę czasu na Ziemię...

Dalsze wizje, obrazy, których są setki – kobieta, ta kobieta z wizytówką – Sarino Mat, stwarza gatunek nowych małych. Stwarza go od podstaw...nie, chociaż nie. Każę pobrać swoje

komórki jajowe i plemniki Svedeckiego...odpowiednio modyfikuje...a przecież zabrała go z czasów przyszłości. On dopiero będzie żył...*kiedyś!*

Już nie jest ważne, to, że wąż nie istnieje, że legenda węża czasu pożerającego własny ogon wali się w gruzy, że teorie dotyczące powstania ludzkiego gatunku walą się w gruzy, nie mówiąc o teoriach na temat demonów i aniołów...

Ważne staje się to, kto jest prawdziwym ojcem i matką. Teoria afrykańskiej Ewy upada. Teoria Holgerstroma na temat baszantów upada...razem z tym upada coraz głębiej i niżej sama Regedit Exe, i dostrzega to, co naprawdę oznacza alegoria węża. I to, jak bardzo się myliła.

Dostrzega węża, nie...jaszczurkę? Nie, to raczej coś innego. Jest tu tak ciemno. I duszno. TO, co siedzi w ciemności porusza się. Słyszy trzask. Zapala się zapałka. I widzi twarz...

I nim udaje się Regedit zamknąć oczy i zacząć wrzeszczeć, wtedy światło oblewa ją płomieniem tak jasnym jak miliardy słońc naraz wybuchających w akompaniamencie huku powstających...

- Czy teraz rozumiesz?

Natłok myśli i obrazów – widziała i rozumiała znacznie więcej niż pojąć mogła sprawił, że ślina bezwładnie spływała jej po brodzie. W szklanych oczach odbijały się bezmyślnie palmy i kapury. Ręka, w której trzymała broń, wymierzyła lufę w głowę.

- Samobójstwo – wyszeptała prawie niesłyszalnie.

- Co mówisz?

- Ten naukowiec – przykładą palec do spustu – ta kobieta naukowiec, przecież ona...

Kiwa się w przód i w tył. Jest gotowa popełnić samobójstwo.

- Wystarczy, już. Wystarczy – mówi Mauna – masz broń. Pamiętasz o tym? I to, czy wszyscy mają prawo do szczęścia?

Spojrzenie rybio obojętnych oczu na Maunę.

- Mauna Lek kai – mówi – Ona nie mogła sprowadzić maszyny czasu z przyszłości bo wtedy...

- Myśl. Zrozumiesz. Wszyscy rozumieją. *Kiedyś* na pewno.

Regedit patrzy na swoją rękę.

- A więc...

- To jest twoja ręka. Nie przymuszam cię do niczego. Możesz przecież przełożyć broń do niej i skrócić to, skoro to cię boli.

- Ta kobieta naukowiec – szklane oczy drżą. – Ona jest...

- *Kiedyś* zrozumiesz. Wszyscy rozumieją.

Generał Chinook patrzył z przerażeniem na Regedit Exe. Siedziała i kiwała się w rytm choroby umysłowej, która nagle zstąpiła na nią, i trzymała ją pod kloszem broni przystawionej do skroni.

- Regedit! – Wrzasnął.

- Zaraz...wypali – poruszała ustami i wydawała z siebie dźwięki układające się w słowa.

- Regedit! Nie rób tego!

- Svedeckie...wie wszystko. Zaraz wypali. I ta kobieta...ona...jest...

- Rege...

Stado kapur z wrzaskiem wzbilo się w powietrze, a Regedit pociągnęła za spust. Nie wiedział, czy chwilę przedtem zacisnęła powieki, czy zrobiła to w momencie, gdy pocisk wystrzelił, ale umarła z zamkniętymi kurczowo powiekami, a jej mózg rozprysnął się czerwono na liściach skrzypów.

Kapury zleciały się, i dopiero drugi strzał, tym razem w powietrze odgonił je.

Chinook bał się. Svedecki. Co takiego może wiedzieć Svedecki, co może wiedzieć, że Regedit zwariowała? I co to do cholery za kobieta? Że Mauna Lekka jest bogiem? On też to wiedział. Fałszywym, ale jak widać realistycznym.

- Do diabła, Regedit! Dlaczego?! – Wrzasnął z bezsilną złością, ciskając kamieniem w odlatujące ptaki.

Po trzech godzinach trudnego lotu samolotem był już w Xandau, i z wściekłością szedł do Svedeckiego.

Mauna zmaterializowała się na skraju wsi. Rozłożyła skrzydła, i zamachała nimi kilka razy. Zostały one zbudowane na wzór anielskich skrzydeł, a siłą napędową ich była czysta energia. Jak by to ci ciemni ludzie określili – wola boża, perpetuum mobile?

Wzbiła się na trzy metry.

- E! Ale rzeźniczka! Obejrz no! – Usłyszała za sobą. – Kosynier! Terminator!

Było to kilku miejscowych młodzieńców. Nie obowiązywał jej tu, na Ziemi, mit bogini, toteż spaliła ich na proch płomieniem tysiąca słońc. Ale jednak faktycznie – nie mogła zachowywać się jak bogini. Jednak gdyby okazało się, że Syn Plugawy nie toleruje tego typu zachowań, to byłaby w kiepskiej sytuacji, toteż zredukowała chwilowo skrzydła do postaci dwóch prostych szabel wyrastających z pleców.

Strój również zmieniła. Z połyskliwego, czarnego kombinezonu na nagą skórę. Po chwili utworzyła mauńską, czarną spódnicę i taedzką, modną bluzeczkę. Do tego kurtka na wzór munduru Regedit. Szkoda. Wybrała widać samobójstwo.

Zaczepiła człowieka idącego drogą. Był pod działaniem silnej hipnozy, na pytanie, kto mu to zrobił odparł – przyjaciel narodu i ukochany członek rodziny.

Syn Plugawy jak nic.

Byle dotrzeć do niego, nim zrobią to inni i zacząć go chronić – czyli w najbliższym miesiącu. Bo tyle czasu zajmie tym idiotom – tak kodowo nazywani są ludzie pokroju Regedit Exe – znalezienie go.

Armal ze złością rąbał kości wieprzowe na podwórku. Przeczytał ulotki od tego ankietera i zaczynał żałować, że go nie zatłukł, nim ten w ogóle otworzył gębę. Póki co nie widział w okolicy żadnej policji, i dobrze.

Jak bardzo brakowało mu ludzkiego mięsa! Smród ze studni bił faktycznie, i to potwornie. Od kilku dni cierpiał z tego powodu, bo zasypał przecież wszystkie zwłoki wapnem, a mimo to...

Nagle zobaczył coś dziwnego. Odruchowo złapał za siekiere, i ruszył przed siebie mamrocząc swoją nową mantrę – żadnych ankiet, żadnych ankiet!

To była jakaś okropna kobieta. Piękna, zabójczo piękna i wyczuwał od niej kłopoty. W rękę trzymała papierosa, i otworzyła usta – miała komplet sztucznych zębów – widać dostała kiedyś od kogoś porządny kopa – może od ankietowanego...

- Żadnych ankiet!

- Jakich ankiet? – Zapytała. Z pleców wyrastały jej dwie szable, które po chwili w

zmyślny sposób przekształciły się w metalowe, niebezpieczne skrzydła. Co za babsztyl? I to w sile polskiej policji? Nie spodziewał się tego.

- To pani w jakiej sprawie? Babcia tak sama – wskazał na studnię – bo jej się bimber skończył, i na kacu chodziła...

- Ale ja nie z policji – wyjaśniła – pozwoli pan, że wyjaśnię. I zapytam...

- No? – Zapytał, machając w powietrzu ostrzegawczo siekierką, poprawił sukienkę i zaczął się zastanawiać – o co?

- Czy zdaje sobie pan sprawę z powagi sytuacji w którą został pan wplątany niechybnie przez pana matkę?

- Nie znałem swojej matki – wyszczał. Wszyscy czegoś chcieli od jego matki. A on jej nawet nie znał. Zresztą, jak mógł ją znać, jak umarła jeszcze przed jego urodzeniem – tak w każdym razie mówiła ciotka...wiedział tylko, że matka sprzeniewierzyła się wspaniałej tradycji Batezu i została wampirzycą. Umarła w solarium, nie zdążywszy zabezpieczyć bytu jemu – Armalowi, przez co dostał się do domu jego ciotki, tej strasznej Xilithi, ciotka Xilithi zawsze mu powtarzała te słowa – *wyrwałam cię z łona umarłej nie po to, żebyś się tak opierdalał, tylko, żebyś wreszcie zrobił to, tamto, sramto!* Ciotka była zła. Goniła go do najgorszych robót, mówiła mu, że jest tylko nędznym bękartem, wybrykiem natury, wstrętnym i podłym gadem, nędznym pół baszantem! Co z tego, że teoretycznie nie mógł być pół baszantem pół batezem?! Był i koniec. Jak jego matka tego dokonała – nieważne, niezbadane są wyroki Wielkiej Nandii, Królowej Nierządnic? Ale w końcu nadeszła sprawiedliwość – dokonał najgorszej zbrodni znanej demonom – po zabiciu ciotki zjadł ją. Nie wiedział, czemu. Potem...potem wyrosły mu skrzydła. A potem już tylko resztki sumienia nie pozwoliły mu pozabijać reszty rodziny.

- Jestem Mauna Lekkai, maszyna zbudowana po to właśnie, by wyjaśnić panu, dlaczego przybyłam z równoległego świata, zwanego Taedem, tu na Ziemię, do pana...

- To streszczaj się kobieto, bo mnie czas goni. Mam to wszystko porąbać do wieczora, bo mi prąd odcięli dwa dni temu, jebana energetyka!

Tu nastąpił potok słów powszechnie uznanych za niecenzuralne, pod adresem energetyki polskiej, policji, sabatu Nowa Lemuria, Milenium...

- Czy pan powiedział Milenium?

Zawył przerażony. To było złe. Bał się tego imienia. Z tego co wiedział, to tylko otwierała sieć burdeli i świadczyła pomoc charytatywną dla najbardziej potrzebujących demonów, ale skoro samo jej imię rozwalilo tamta staruchę i kto wie ile innych demonów, to spotkanie jej samej może być nieciekawe, a najgorsze mogą być tortury...na pewno będą go teraz tortuować, by wydobyć to Imię.

Przeczytał to ulotce. Szukano kogoś, kto by znał jej faktyczne imię. Ulotki reklamowe mówią czasem więcej, niż by się mogło zdawać. I jeśli ankieter był z nimi w zмовie...

- Co pan wie o Milenium?

- Nic! Wynocha!

- Jestem Mauna Lekkai – skłoniła się, i przygięła skrzydła w eleganckim geście poddaństwa – stworzona po to, by pana chronić - przed zakusami wrogów, i po to, by pan, jako Syn Plugawy zasiąść mógł na tronie – i tu popatrzyła na niego – oczy miała jak dwie złośliwe hydry – ku chwale swojej i Wielkiej Milenium, komputera, do którego wprowadziwszy hasło...

- Chronić?

- Tak, chronić i służyć.

Przełknął ślinę. Nie wierzył ani w jedno jej słowo. Ale trudno, trzeba będzie coś zrobić. Milczeli oboje. Armal zastanawiał się, co zrobić, czy może coś jej rozkazać...

Tak. Ale co?

- Możesz porąbać kości? – Zapytał.

- Jak rozkażesz, Panie.

W tym momencie rozprostowała skrzydła i zaczęła młockę. Po chwili z kości zostały małe, śliczne kosteczki typu sześcian.

- Teraz...- zająknął się – zrób tak, żeby w studni nie było trupów, i żeby w ogóle ich nie było.

Mauna podeszła do studni i skierowała do niej swój wzrok. Coś zasyczało, a kiedy Armal zajrzał tam, stwierdził, że ściany i dno studni są gładkie. Stopione na szkło.

- O żesz kurwa – przysiadł na ziemi. – Ty...masz mnie bronić?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Boś synem najwyższym z upodlenia swego. Synem plugawym i wszetecznym. Zresztą, skąd ty wzięłeś te rzeczy? – Zmieniła ton i wstała – co to za różowa kurtka? Ze szmateksu? Skąd ty wzięłeś tą bluzeczkę?

- Lepiej na siebie popatrz – warknął – i gadaj, czego chce ta cała Milenium.

- Na początku było słowo, a słowo trafiło na Syna Plugawego i stanie się wołą.

- Gadaj jak o tych ciuchach, bo nic z tego belkotu nie rozumiem. Zabijecie mnie, czy jak?!
Wiem, byłem przestępcą w Lemurii, ale to nie powód, żeby mnie tak obrażać! Syn plugastwa – prychnął – dobre sobie.

Zapalił papieroska i pokręcił głową. To wszystko było takie tragiczne. Ma go chronić, bo uosabia legendę. Jeśli to nie jest sztuczka tutejszej policji, to na pewno są to siły sabatu. To nauczka na przyszłość, żeby nie ufać takim gadom jak Axe.

- To jak, zabijecie mnie, czy nie?

- Jestem Mauna...

- Wiem, wszystko wiem. Tylko na cholere?!

- Pozwól mi wytłumaczyć.

- Nic mi tłumaczyć nie będziesz! Co chcesz mi zrobić? – Wrzasnął. Sposób wysławiania się tej kobiety drażnił go nie mniej niż sposób wysławiania się ankietera. Jestem tu po to, i bla, bla. Aż się rzygać chce! – Raz a krótko. Zabijecie mnie?! Czy nie?!

- Nie.

- To spierdalaj! Z mojego domu, życia i wszystkiego co moje jest! – Ryknął, zamachując się siekierą.

- Niestety nie mogę. Muszę cię chronić, jesteś bowiem Synem Plugawym...

- Musisz mnie tak obrażać bez przerwy? Bez grzechu to ja nie jestem, nawet demonie prawo naruszyłem, ale żeby od razu, żem plugawy?!

Zapadło milczenie. Po chwili Armal poczuł się w obowiązku przerwać je, jako, że nie tylko naruszył prawo, ale i wielokrotnie łamał Kodeks, z lubością i z łatwością.

- A podatków to i tak płacić nie będę!

- A jam winna chronić cię Panie, dlatego nie mogę odejść stąd...

- To weźże mnie chroń na odległość!

- Nie mogę Panie, jam jest – w tym momencie uruchomiła wreszcie odpowiedni moduł mowy, potrząsnęła tym swoim rudym łbem i zaczęła – facet, pan jesteś nienormalny! Ja ci tu oferuję złote góry, a ty co? Wynosić mi się każesz?

Armal lekko zdziwiony zawołał:

- Tak, wynocha!

- Nie to nie. Ale mogliby ci prąd podłączyć, fajną chałupkę postawić, z basenem, operacja plastyczna i uniewinnienie za wszelkie złamane punkty kodeksu – zagruchała słodkim głosem. Złośliwa, wyrachowana dziwka. Ale to podziałało na Armalę.

- Czekaj. To mi wyjaśnij. Może podpiszę z tobą jakąś umowę.

Mauna westchnęła.

- To nie ta bajka, ale może być. To przymknij się z łaski swojej i słuchaj. – Tu wzięła głęboki oddech i zaczęła – *dawno, dawno temu*, zbudowano maszyny, które miały wielką, wręcz nieobliczalną moc. Takie jak ja. Teraz zapomniano, zresztą, dawno temu pozapominano, jak te maszyny działają, możemy wejść do środka?

- Możemy, o ile zrobisz tak, żebym miał prąd. – Postawił ultimatum.

- Dobrze. Potrwa to trochę, ale muszę się przestawić...już. Możemy iść. A więc...

W tym momencie weszli do domku Armalę. Ten z zadowoleniem stwierdził, że faktycznie, maszynka działa, prąd – w postaci żarówki chybocej się pod sufitem, i rozświetlającej czyściutkie wnętrze – pokój, gdzie przeniosła się akcja ankietarska postanowił zamknąć dla szerszej publiczności – istnieje, i Mauna to faktycznie maszyna i to niezła.

- Tylko złóż skrzydła, bo mi ściany poharatasz. Tak, dobrze. Gadaj dalej. Czyli jesteś maszyną, nie?

Mauna po zmniejszeniu skrzydeł kontynuowała – Tak. Takich jak ja było kiedyś o wiele więcej, umiejscowiono je głównie w ośrodkach wielkich kultów, by pełniły rolę bóstw, nie wszystkie miały postać ludzką, inne zwierzęcą, jak na przykład bóg Anubis, lub Zeus. Część z tak zwanych bogów została już zniszczona, inne maszyny – boskie, stały się bogami, legendami, lub popadły w zapomnienie.

- Nie rozumiem. To jesteście bogami czy nie? Bo nie wiem czy flaszkę na stół, czy może benzyny bak ci postawić. – Zniecierpliwił się.

- Jesteśmy maszynami. Dopiero po latach, kiedy zapomniano sztukę wytwarzania tych maszyn, wiedza poszła się kopać, i do działania maszyn dorobiono ideologię. Że niby jak ja powoduję powstawanie energii, i służyłam jako reaktory do kilku poważniejszych instytutów to zrobiono ze mnie Maunę Boginię Gromu i Śmierci od Pioruna. Kontaktujesz? Jestem maszyną, ale o wielkich możliwościach.

- Dobra. To bak benzyny na stół. Czy co tam pijesz?

- Pijam wszystko. Daj co masz.

Armał postanowił nie przesadzać z gościnnością, i na kuchence zagotował wodę na herbatę. Miał nadzieję, że nie pochoruje się od wody, ale jeśli z drugiej strony została wysłana mimo wszystko po to, by go zniszczyć, to się zepsuje.

- Dalej...więc w Wieży istniał od początku mechanizm, komputer na dzisiejsze czasy, który ma olbrzymią moc.

- Też pozbywał się trupów za pomocą oczu?

- Nie. Miał zupełnie inne zadanie. Jego funkcją była kontrola populacji demonów w Lemurii i wyłonienie Syna Plugawego.

- Dobrze, czyli mówisz teraz o Milenium. Nadażam. Ale w takim wypadku, skąd wiadomo, że to niby ja nim jestem? – Tu zrobił herbatę i z niecierpliwością czekał, aż maszyna się upieczce. Ze sprzętem domowym gadać nie będzie!

- Wspaniale, że nadażasz. Po prostu wystarczyło, że podczas dorocznej uroczystości dotknąłeś Czarnego Świętego Kamienia.

- Czyli to jest kolejna maszyna. Rozumiem, ale problem w tym, że nigdy nie uczestniczyłem w dorocznej uroczystości. Niby tradycja, obowiązek, podtrzymywanie kultury

naszego narodu, ale nigdy nie mogłem uczestniczyć, jakoś tak wypadło, zawsze pracowałem.

- Ale wystarczyłby przypadkowy dotyk...

- Przynajmniej owszem, raz dotknąłem, po pijaku. Raz mnie popchnęli, ale wcale nie było to dłonią, a dupą.

- Jednak dotknąłeś. Tylko, według moich wskaźników, twoja dupa musiała być goła.

- Nie czepiaj się szczegółów – warknął. – Byłem młody i potrzebowałem pieniędzy. Czyli jak, liczy się tyłkiem?

- Tak. Liczy się, chociaż źle do protokołu.

- Rany, coś się zmyśli, i też będzie. Papież czytać tego nie będzie, a kapłani Nandii Nierządniczy przyjmą to jakoś.

- Dalej licząc, zanim program Milenium się uruchomił na dobre, minęło kilkadziesiąt lat. Komputer przez wieki był nazywany Królową, i może i dobrze, że tak wyszło, bo się go boją. Już wcześniej stwierdzono anomalie, najprawdopodobniej u pańskiej matki, ale wciąż nie były to tak wielkie by program się uruchomił.

- Czyli jak jestem anomalią? – Wytrzeszczył oczy. – Moja matka również?

- Niestety, tak, a może AŻ tak. Kodeks demonów jest dostosowany do praw moralnych przyrodzonych demonom, a ty, w ciągu wielu lat swojego nad wyraz plugawego życia dawałeś zapewne świadectwo, że łamiąc kodeks, czy raczej Kodeks, nie jesteś jednym z nich.

- Teraz znowu mnie zaczniesz obrażać – warknął, obnażając kły – przestępcą, to ja może byłem. Ale nigdy aż tak, żeby mnie plugawym nazwać. Polityków się czep! Nie mnie! Ja tylko próbowałem przeżyć!

Svedeckie jechał właśnie swoim krażownikiem szos, pokonując kolejne bariery architektoniczne wydawałoby się, stworzone tylko po to, by utrudnić mu życie. A za nim szedł szybkim krokiem Chinook i wymachiwał płytą z nagraniem spotkania Poległej W Boju Major, i darł się, że to jego wina, i że ma wszystko wyjaśnić.

- A co ja mam wyjaśniać? To wy jesteście szefostwo! – Wywrzaskiwał Svedeckie nagrane wcześniej przemówienie – znam o wiele ważniejszych spraw, niż śmierć jakiejś dupy!

- To była Regedit Exe, moja przyjaciółka! Uszanuj to, i mi powiedz, czemu się zabiła! Zobacz nagranie chociaż! Powiedziała, że ty wiesz wszystko!

- Nic nie wiem! A co ja mam wyjaśniać? To wy jesteście szefostwo!

- Zatrzymaj się! – Wystrzelił w powietrze z broni służbowej. Dziad o dziwo zatrzymał się.

Zawrócił wózkiem, stanął, o ile można się tak wyrazić oko w oko z tym sadystą. Uśmiechał się. Jak zwykle, półgębkiem, obleśnie. Jakby dopiero co uprawiał seks z Inn, albo inną pielęgniarką.

Chinook z trudem powstrzymał się od strzału prosto między mechaniczne implanty oczu tego starego...

- Karelu Svedeckie! Żądamy wyjaśnień. Regedit przed śmiercią wyjawiała, że pan wie wszystko!

- Co za uprzejmość z twojej strony. Daruj sobie – mechaniczny śmiech – wprowadź płytę do komputera, to zobaczymy, ile ja wiem, a na ile Regedit była już szalona. Regedit była strasznie wrażliwa, nie?

- Tak – odparł Chinook, przetykając ślinę. – Musiała się wystraszyć bogini, to znaczy Reaktora. W dodatku nie możemy go sprowadzić. Zabiła na wyspie dwadzieścia osób z grupy obsługującej Reaktor, czyli ją, od razu po przebudzeniu. Nie wiem, jak można przywrócić ją do

Xandau. Może pan wie?

- Słodki głosik, słodkie usta – zachichotał mechaniczny dziad – do sali komputerowej jedźmy, to zobaczymy, czy da się coś zrobić.

Po chwili już tam byli. Nagranie było krótkie – wypowiedź Mauny, a reszta zniekształcona. A potem słowa o jakiejś kobiecie naukowcu.

- I co myślisz? Co ją mogło z tego tak urządzić?

Svedecki śmiał się najbardziej chamsko od czasów pielęgniarki Sally Goolstrome. Kobieta ta odeszła po trzech latach z pracy, ale Svedecki śmiał się prawie jak opętany jeszcze długo...

- Pamiętasz Goolstrome?

- Kogo? – Zdziwił się generał.

- Nie możesz jej pamiętać, to stara pracownica. – Wydawało się, że staruch już nie żyje, gdy nagle podjął – zawsze...zawsze pracowała tu jakaś kobieta, nie? Ty jesteś młody, głupi. Dopiero po sześciuset latach człowiek zaczyna rozumieć pewne sprawy. Ale to niestety czas, kiedy skleroza zaczyna doskwierać najmocniej – znów atak opętańczego śmiechu, który Chinook usłyszał po raz pierwszy, a i tak ścierpła mu skóra. – To jest tak, że w Xandau najpierw pracowała Sarino Mat. To ten cień ze zniekształconej części. Wszędzie bym ten cień poznał. Teraz, na szczęście wielu spraw nie pamiętam, bo gdybym to wszystko sobie przypomniał... - atak śmiechu, tym razem Chinook wzdygnął się jakby otoczyła go lodowa pustynia – to bym pewnikiem strzelił sobie w łeb, jak Regedit. Niestety, nawet teraz mam takie myśli...żyję dzięki temu paraliżowi. Wmawiam sobie, że przecież taki dziad jak ja nie może się nawet zabić. A chcę – tu łypnął mechanicznym okiem na nagranie – ach, pokaż mi je jeszcze raz! – A oglądając szepnął cichym, złośliwie mechanicznym głosem – powiem. Jak umożliwicie mi śmierć...

- Mogę cię zabić tu i teraz!

- Ale ja chcę sam. Marzenia, powtarzane z wielką siłą dzień w dzień nabierają siły. Jak lawina. Wytrysk. Że pewnego dnia musisz to zrobić. Sam, dzięki własnej tylko pomocy...

- Nie gadaj tych bzdur, tylko powiedz, kim była ta kobieta!

- Wszyscy ją jakoś znamy. Jesteśmy jej...

Tu Svedecki zaczął drżeć, tak, że konieczne się okazało przetransportowanie go do pokoju sanitarnego.

- Arnholm jest już tylko rośliną, ciekawe, o czym śni. – Kontynuował.

- Ale jaki ma to związek z tą kobietą?

- Wszyscy mamy z nią związek. To jest osoba ci bardzo bliska. Ja też powinienem być ci bardzo bliski – rehot obłeśnego dziadygi na widok młodej dziewczyny. Zastryk uspokajający z serum prawdy zaaplikowany potajemnie przez Inn na polecenie samego Generała Chinooka. – Rozpocznijmy więc, skoro aż tak niecierpliwisz się, synu. Wreszcie, wreszcie to powiedziałem! Ha, ha!

- Nie bredź. Mów.

- *Dawno, dawno temu*, żyła pewna kobieta. Super kobieta. Świetna, wspaniała. Umiała obsługiwać pewną wielką maszynę, dzięki której sprowadziła mnie z odległej przyszłości, a właściwie z terażniejszości, bym mógł z nią, i innymi sprowadzonymi w ten sposób naukowcami przeprowadzać eksperymenty na zwierzętach, które teraz wyginęły. Nie wszystkie. Przy okazji okazało się, że możemy też osiągnąć długowieczność.

- Po co jej to było?

- Nie pamiętam. Może dlatego, że nie podobała jej się przyszłość, w której przyszło jej żyć. Jestem na to dowodem. Popatrz na nie, czym ja jestem... cofnęliśmy się zatem w odległą

przeszłość, i badaliśmy różne zwierzęta. Teraz, jeden po drugim, odnajdywane są ślady bytności naukowców, odciski butów w pokładach z prekambriu, mamut z czaszką przestrzeloną ludzką bronią. Nic przyjemnego. Muzealnicy nie wiedzą co z tym zrobić.

Zamilkł. Przez chwilę lustrował pomieszczenie wzrokiem – Stare czasy. Ciągłe otacza nas ta... obecność.

- Czyja obecność?

- Pani Sarino Mat, której nie podobało się wiele rzeczy. Tak do końca nie wiem kim była. Pani Sarino Mat... pani Sarin Golf, Sally Goolstrome... podróżowaliśmy w przeszłość, i udowodniła nam, jak wspaniałe jest to...zmienianie historii. Bo tym się zajmowaliśmy. Stworzyliśmy też rasy, nowe rasy zwierząt. I wielką, starą technologię. To dlatego Mauna Lekka tak się zachowuje. My ją programowaliśmy. Teraz, na wasze szczęście to przepadło. Kto wie, co by było, gdybyście umieli programować na nowo te maszyny? Na szczęście Sally i ja odpowiednio je zmodyfikowaliśmy przed zniszczeniem dokumentacji. W ten sposób nawet ja nie wiem, jak je powstrzymać.

- To dlatego mówiłeś, że skleroza daje się we znaki.

- Tak. Zła technologia powstrzymywania się od starzenia również. Obyście nigdy nie zostali dotknięci moim i Arnholma przekleństwem!

- Ale w takim razie ona też powinna być bardzo stara!

- I jest. Jest starsza niż my wszyscy razem wzięci. Mistrel znała ją lepiej ode mnie, bo przebywały ze sobą tyle czasu. Ale Mistrel to maszyna. Mistrel została zaprojektowana jako idealna istota. Taki robot do rozrywki. Ucieleśnienie marzeń Sally o lataniu.

- O lataniu?

- Tak. Istnieją maszyny zdolne do lotu, bardzo dużo. Ale żywe istoty to trudna sprawa. By latać, muszą mieć odpowiednią siłę nośną, i kość wyrastająca z mostka. Krótko mówiąc, anioły, które mamy na Atlantydzie, nie są zdolne do lotu. Zostały zmodyfikowane genetycznie przez Sally po to, by wyglądały pięknie. Jej poprzednie eksperymenty z latającymi ludźmi nie powiodły się, byli brzydki, prymitywni i drapieżni. Jednak popełniła straszny błąd. Dała im nieśmiertelność.

- Kto jest zdolny do czegoś takiego? Co najwyżej długowieczność, jak w twoim wypadku!

- Dobrze rozumujesz synku. Do tego jest zdolny sam tylko Bóg. Nie jakiś mały, lokalny bożek pokroju Siwy czy Mauny, lecz prawdziwy, gromowładny Pan. I tu zaczynają się klocki. – śmiech – bo jak to ma być, że pani naukowiec dała nieśmiertelność aniołom i strażnikom, a nam już nie?

- Jedynym sposobem na dowiedzenie się tego, jest odłączenie Arnholma.

- Tak. I trzeba to będzie widocznie poczynić. Bo nie wiemy, czy my, obdarzeni darem długiego życia jesteśmy nieśmiertelni...gdyby tak się stało, to chyba bym padł na zawał! Ha, ha, padłbym! Ha, ha, hi, hi!

- Gadaj dalej, zlecę przeprowadzenie eutanazji, ale się streszczaj, bo czas nas wszystkich goni. Nie zapominaj, o co cię prosiłem!

- O to, żebym ci wszystko wyjaśnił. Co zaraz będę dalej wyjaśniał.

Część piąta: Palmy, palmy, trochę morza, oto czego nam tu dzisiaj trzeba...

Mamy wciąż za mało lat
By razem iść wszetecznie w świat
Lecz wina w sam raz mamy

By zatłuc nasze mamy
Zatłuczemy zabijemy
Wreszcie razem ze sobą będziemy

Armal popatrzył za okno. Była noc, a ta idiotyczna maszyna ciągle żyła, mimo wypitych sześciu herbatek, dwóch kanistrów benzyny i czterech litrów wódki. Czas umierać? Gdyby tu była tylko po to, żeby go zabić, już dawno by to zrobiła. Tortury też by spokojnie zastosowała. A tylko z nim rozmawiała.

- Więc mięsa ludzkiego nie jadasz?

- Nie, ostatnio nie – powiedział. – Po prostu mniej nerwów mam, jak sobie coś kupię w fabryce, w tym Asmeacie, w ten sposób przynajmniej nie ma podejrzeń, że tu w okolicy coraz więcej osób ginie. Bo zginęło parę, nie? To już nie giną.

- Swoją drogą dobre rozumowanie, co nie zmienia faktu, że jesteś anomalią, która odcisnęła swoją dupę na Czarnym Świętym Kamieniu. I dojdą do tego wcześniej czy później, trafisz do podręczników historii razem ze swoją dupą.

- Moim zdaniem to nie taka zbrodnia. Zawsze mogło być gorzej – tu wychylił półlitraz z wódką – cóż – udało mu się uzupełnić na całe szczęście zapasy w piwniczce – mogłem na przykład w ogóle się po uruchomieniu Milenium sfajczyć. Mogłem stwierdzić, że pierdołę – zabełkotał, po czym kontynuował już po chwilowym braku wizji i fonii – takie życie...bo co to ja miałem za życie.

- Opowiadaj.

- Ty mnie Mauna to umiesz słuchać. Tylko jeszcze mnie tak słuchała Axe...tak w ogóle, to jakby co, to do niej jedziemy, jak mam być bogaty, to z nią. Nie, żeby do niej coś czuł – tu zaczął machać rękoma, spadł z krzesła, wstał i kontynuował z powagą – jest po prostu wstrętą baszantką, taką gadziną, takim bezmózgim...ja ją zamurowałem ale może jeszcze nie zdechła, bo spryciara z niej była. Baszantka, niby takie debil jak wszystkie baszanty, ale główkowała ze mną nieźle w Lemurii. Pożyczyła mi kasy...ja byłem jej cieniem, a ona okradała banki. Osłaniałem ją, nie? Obiecałem jej, że uratuję jej życie, i tyle razy już tak zrobiłem – czknął – że pomyślałem, że już nie trzeba. Że teraz to ją zabiję. Bo bezmózg, idiotka, dawała sobie tam, w Lemurii radę, a teraz ja sobie dawałem radę. Sama mi powiedziałaś, że ze mnie kawał kanalii, to znaczy – czknięcie – anomalii.

- Czyli jedziemy do niej?

- Tak!

Armala obudziło miarowe rżenie traktora i potworne zimno. I kac. Że też ja tak zawsze lubię sobie wypić z nieznajomymi, jeszcze mnie jaki nieznajomy w końcu zabije, i będzie...

Otworzył oczy. Tym razem na szczęście leżał na lawecie, pod jakimiś szmatami, zawinięty w swoje ciuszki, a nie wisiał pod sufitem w larwalnym kokonie.

- Mauna? – Zapytał niemrawo. W ustach miał smak zdechłej ropuchy. Znajomy zgrzyt skrzydeł przywołał go do rzeczywistości kolejnym atakiem potwornej migreny.

- Zostawiłam ci flachencję na rano, leży gdzieś na lawecie.

- O niech to Ostrobramska mać – zaklął. – Co ja...gdzie my do kurwy Nandii jedziemy? I po cholere traktorem?!

- Mam ci streścić?

Nie no...znowu – przejechał dłonią po twarzy. Dlatego tak rzadko się upijał. Zawsze to samo. Budził się już na szczycie Kolumny Nandii, zawieszony na własnym penisie, albo - czego

nigdy nie zapomni – ocknął się w Oceanarium Miasta Wewnętrznego, w akwarium z syreną rekinią. Syrena ta oznajmiła, że jest naprawdę świetny, i w dodatku paliła papierosa, a potem nazwała go jej dzikim aborygenkiem. Armał odrzucił od siebie złe myśli i kontynuował, trzeźwiejąc, i wlewając w siebie wódeczkę. Wiadomo bowiem – wódzia z rana lepsza niż śmietana.

- Dobra, czy ja coś...

- Nic do mnie. Po prostu zacząłeś o sobie opowiadać, jak zjadłeś ciocię, rozumiem nawet czemu, też bym była zdenerwowana.

- Ty jesteś jakimś sprzętem, to ty nie miałaś takiej złej ciotki jak ja. Ale co my do cholery robimy na traktorze?

- No...- tu zawiesiła głos – to mi się wydaje twój rozkaz był, wydałeś go nieodwołalnie, poważnie, i wydawało mi się, że to najwyższy priorytet...

- Czyli co my robimy?!

- Jedziemy, do twojej przyjaciółki, Axe; bo jak powiedziałaś, to twoja najukochańsza przyjaciółka, i szkoda by ci było, gdyby tak marnie umarła.

- Nieodwołalnie jedziemy?

- Coś taki krzywy? Daj, acz ja pobruszę, a ty popijaj. Podobno może być na ciebie trochę zła, ale od czego masz ochronę? Ja cię obronię. Powiedziałaś, że to kawał gada, ale gdyby nie ona, byś dawno temu leżał pod mostem. Więc zapytałam czy jechać do niej? A ty na to, że tak, i to kategorycznie.

Armał leżał na lawecie. Mijali z dziwnie dużą prędkością drzewa.

- Jak my szybko jedziemy?

- Zmodernizowałam silnik. Teraz ma on napęd jądrowy, i może poruszać się spokojnie z prędkością dwóch tysięcy kilometrów na sekundę, ale do tego trzeba by starej technologii, zatem przystosowałam karoserię i resztę bebechów do wolniejszych obrotów silnika, jak byś ty to określił...

- Zaraz, zaraz! To ty zrobiłaś z tego cud maszynę i zostawiłaś kształt traktora?! – Wrzasnął.

- Tak, ale jeśli rozkażesz, to możemy to zmienić.

- Chyba nie ukradniesz – trząśł się z zimna. Był lodowaty, kwietniowy poranek, a on w tych szmatach z dziewczyną na traktorze. Co drugi kierowca pukał się w czoło, patrząc na nich, nie ma co. Karoseria lśniła jak zębki Mauny, do tego prędkość stu kilometrów na godzinę...

- Mauna! – Wrzasnął – weź że zwolnij! Nawet nie dałaś tu żadnego zadaszenia...zaziębie się!

- Zadaszenie jest, wciśnij niebieski guzik, znajduje się obok twojej legendarnej dupy!

Armał pogmerał trochę z początku w spodniach, potem jednak znalazł w końcu obok siebie mały, niepozorny przycisk.

Z pewną nadzieją, że nic się złego nie stanie, nacisnął go. Jeśli rzeczywiście jest to traktor o napędzie jądrowym... nacisnął, nie zastanawiając się dłużej, bo przyływ babskiej migreny pozbawił go resztek rozsądku.

Z boków lawety wysunęły się dwie nasuwające się na siebie kopuły. Potem zdał sobie sprawę z tego, że znajduje się we wnętrzu czegoś będącego skrzyżowaniem statku kosmicznego i limuzyny. I co najlepsze, wreszcie zniknęła bariera w postaci szoferki i zapytał Maunę, popijając resztki wódki:

- Co to do cholery jest?

- To jest, drogi panie, stary wynalazek. Ale jak chcesz, można też to nazwać cudem

techniki. Czerwona safianowa tapicerka się podoba?

- Podoba – warknął niemrawo i otworzył barek – a alkoholu nie ma?
- To niekonieczne. Teraz jedziemy do pańskiej przyjaciółki. Tak?
- Skąd niby wiesz, w która to stronę?
- Mam dobry zmysł orientacji, a poza tym podałeś swój stary adres wczoraj.

Po kilku godzinach jazdy w końcu znaleźli się pod blokiem, w którym mieszkali. Traktor o dziwo nie wzbudził aż tak dużej atrakcji, jak sadzono. Armal też w duchu cieszył się, że spotka znowu tę wstrętną gadzinę, może tylko jej wysuszone zwłoki...

W Sali Przesłuchań, dawniej, legendarnym ośrodku tortur i łamania podstawowych praw człowieka dziś pachniało szpitalem. Dla zgromadzonych tu popiersi legendarnych katów byłaby to ujma, gdyby mieli coś jeszcze do gadania. Ale dziś – dziś miało być inaczej. Przesłuchiwany będzie starzec, i to nawet więcej niż wiekowy. A drugi starzec – Arnholm Bronislav ma zostać uroczyście odłączony od aparatury podtrzymującej życie.

Świadkiem przesłuchania ma być Inn, a przesłuchującym ma być Chinook.

- W obliczu zagrożenia życia Karela Svedeckiego, będącego w pełni sił umysłowych, choć bardzo chorego, nie jesteśmy powtórnie zaaplikować mu serum prawdy. Jednakowoż jednocześnie nie jesteśmy w stanie zastosować tortur. Liczymy zatem na jego współpracę i pomoc w zbieraniu informacji.

- Ha, ha! – Mechaniczny śmiech.

- Proszę o powagę, inaczej trzeba będzie zastosować cewnik metalowy – powiedziała Inn.

- O, ty! Ty hetero też przeciwko mnie?! – Metaliczny głos oburzonego dziada odbijał się po wielkiej, mrocznej sali, chwilowo tylko rozświetlonej przez szpitalną aparaturę Svedeckiego i Arnholma. A także olbrzymi ekran na którym ma coś rzekomo ukazać Svedeckiego.

- Zaczynamy. Nie po to oczyszczaliśmy ci płuca tyle godzin, żebyś odmówił zeznań.

- Proszę szanownego zgromadzenia – zaczął Svedeckiego i zaśmiał się – to parodia drodzy państwo. Ale jeśli tak bardzo szanowne zgromadzenie chce wiedzieć, to żądam...

- To parodia procesu. Svedeckiego, daj już spokój.

- Dobrze. Dam wam wszystkim spokój i w ten sposób w niczym wam nie pomogę.

Chcecie mojej pomocy, czy nie?

- Tak, przyznajemy, że jest nas w tej chwili niewielu, ale możemy działać dużo jedynie przy pańskiej pomocy – odrzekł ze złością Chinook, niestety musiał się trochę pokajać przed dziadem, żeby ten zaczął sypać.

- Na początek żądam widzenia się z głównodowodzącym.

- Ja tu teraz dowodzę. – Syknął z wyższością i wypiął pierś – ponieważ Mauna Lekka zabili dwadzieścia osób z obsługi reaktora, w tym byłego głównodowodzącego Arnhelma Taska, zatem ja przejmuję jego obowiązki. Niestety, ten stan nie utrzyma się zbyt długo, gdyż Xandau zmierza ku nieuchronnej katastrofie z powodu zaniedbań z wieków ubiegłych. Przeto żądam natychmiastowego wyjawienia prawdziwych funkcji maszyn bojowych i to nie tylko u nas, aby zapobiec katastrofom tego rozmiaru na przyszłość.

- A ja żądam nowego kręgosłupa, nowych oczu i nowych ramion. I zwiększenia dawki nikotyny w kroplówce, a także stałego podpięcia do Internetu i Ethernetu.

- Niestety, z tym ostatnim nie możemy się zgodzić, resztę zastosujemy, co ma pan na piśmie, w postaci Protokołu Wewnętrzznego nr 10934/56a.

- Nic mi to nie mówi, ale niech będzie. Takiej kanalii jak ty, Chinook, i tak nie wierzę.

Sala na moment zamigotała. Zasilanie przez chwilę szwankowało, po czym wróciło do normy. Svedeck, będący niezależny od zasilania patrzył lewym okiem na ciało Arnholma.

- Nie ma powodów do paniki, jako, że pan Bronislav Arnholm został już dawno temu podpięty do niezależnej centrali energetycznej. Raz jeszcze powtarzam, czy wyraża pan, panie Svedeck zgodę na odłączenie go od aparatury podtrzymującej życie?

- No jasne, że tak, sadysto! – Mechanicznie oskarżycielski ton zagrział w sali. – Przecież sam na to wyraziłem zgodę bez żadnego przymusu, jak mnie zmusiliście, że Inn odejdzie, i wróci ta stara sadystka Lucy!

- Proszę nie mieszać spraw prywatnych z oficjalnymi. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że jest pan w posiadaniu informacji będących w stanie powstrzymać rozkład Xandau?

- Tak.

Chinook zastanawiał się czasem, jak Svedeck jest w stanie wyciągać tyle różnych tonacji na prostej klawiaturze, i jednym tylko typie dźwięków. To jego przytaknięcie zabrzmiało tak fałszywie, że powtórzył pytanie.

- Ależ oczywiście – odparł przesłuchiwany. – Możecie odłączyć Arnholma, tylko prąd zżera, jak to pan dziś rano określił.

- Proszę mieć na względzie, że całe przesłuchanie jest nagrywane.

- Mam to na względzie. Dziś rano, jak asystowałem pan przy porannym zmienianiu mojego worka z odchodami i zastraszał mnie, mówiąc, że...

- Dostyc. Proszę przejść do rzeczy. W jakim celu została zbudowana Mauna Lekka?

- A czy mógłbym zobaczyć kopię dokumentu, poświadczającego, że zostanę poddany operacji, która umożliwi mi normalne życie?

- Tak.

Pilotem uruchomił plik z oryginałem. Chcąc nie chcąc zgodził się na te warunki. Jednak nie było w nim mowy o tym, czy Svedeck nie zostanie osadzony potem w więzieniu. Może to i dobrze się stało, że tamci nie żyją. Teraz on wreszcie zrobi tu porządek... popatrzył na łóżko z Arnholmem. Już od tysiąca lat nie dawał znaku życia, a mózg prawie mu się rozpuścił. Ale ten Svedeck... ciągle się uśmiechał.

- Tak...te części, o które mi chodzi – powiedział dziad.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, którymi częściami zostanie pan zcyborgizowany?

- Tak. Lubię firmę Lekkaian. Przejdę więc do rzeczy. Operacja odbędzie się zaraz po przesłuchaniu, wszystkie informacje podane przeze mnie są prawdziwe i zgodne z obowiązującymi normami.

Chwila milczenia.

- *Dawno, dawno temu*, kiedy – nie pamiętam już dokładnie, została powołana do życia organizacja Xandau.

- Ale proszę do rzeczy. Kim jest Mauna, i czemu opuściła Obszar 52?

- Mauna...chcecie od razu od Mauny? Dobrze, choć nie radziłbym. A więc zostały zbudowane dwie maszyny, siostrzane maszyny. Mauna Lekka, i Mistrelle Sarungamat. Mistrel miała być idealną lalką, a Mauna złą lalką. Mauna została wybudowana na zasadzie Wiecznego Słońca, technologii, która zaginęła razem z jej konstruktorką.

- Proszę przybliżyć ta technologię.

- To Wieczne Słońce w istocie jest niewyczerpalnym źródłem energii. Przez wieki przebywania w Obszarze 52 nie tylko zapewniła energię elektryczną Xandau...

- Czym jest Wieczne Słońce? Jak je wyłączyć, wymontować...

- Niestety, nie można tego zrobić bez uszczerbku dla całej konstrukcji. Jak już mówiłem,

technologia przepadła z konstruktorką, a konstruktorka zdążyła przed śmiercią ukryć bądź zniszczyć całą dokumentację. Wiem tylko, że według wszelkich prawideł, jest niezniszczalna jak na dzisiejszy stan techniki. Nic dziwnego, zważywszy na cel, w którym została zbudowana.

- Jaki cel?

Długie milczenie, po chwili jednak podjął żmudną pracę wystukiwania palcami kolejnych słów.

- Jeśli czuje się pan zmęczony, to proszę odpocząć chwilę – zaoferowała Inn.

Swedecki przez chwilę świdrował wzrokiem jej biust, pochylający się nad jego fotelem i kontynuował:

- Celem skonstruowania Mauny była odległa przyszłość, która nadeszła. *Dawno, dawno temu* wydawało się to niemożliwe, a jednak. Komputer umieszczony w Wieży, pod nazwą Milenium, znany też jako Królowa Demonów, jest systemem kontroli narodzin i stanu populacji lemuryjskich demonów. Wszystkie święta starożytnej i nowożytnej Lemurii zostały podporządkowane funkcjonowaniu komputera, też maszyny starego typu, dokumentacja zniszczona, za wyjątkiem Protokołów. Protokoły dotyczące się naszej sprawy podam do wiadomości później. System kontroli – tu zawiesił pisanie. – Odpocząć muszę. Proszę o zimną, mokrą chusteczkę.

Inn posłusznie otarła mu pot z czoła i roztarła zgrabiące palce. Odkąd stan energetyczny budynku jest taki a nie inny, panowało dotkliwie zimno. Inn widać to nie przeszkadzało, bo nosiła letnią, mauńską sukienkę i kłapeczki, na tą okazję, która dziś się zdarzyła założyła wyciętą solidnie na piersi sukienkę w czerwone pasy i spięła włosy w kok. Ale i tak wyglądała jak jakiś cyborg lub mechaniczna lalka. I to w dodatku uśmiechnięta. Po tej aferze z Mauną i Królową Chinook zaczynał się zastanawiać, czy aby jej dyscyplinarnie na dłuższy urlop nie posłać, ale było i tak za mało ludzi do roboty, lecz odkąd Mauna pozabijała tych ludzi, zaczynał podejrzliwie patrzeć na wyzywające kobiety.

- Proszę kontynuować – polecił protekcyjnie.

- Wycieranie czy przesłuchanie? – Zaszcebiotała Inn.

- Przesłuchanie.

- Stanęliśmy na systemie kontroli. Istniało małe ryzyko, że narodzi się anomalia, będąca naturalnym ogniwem łączącym nowe – czyli stworzone przez nas – zwierzęta i stare, naturalnie wytworzone w procesie wielowiekowych mutacji i ewolucji zwierzęta. Było to dla nas naturalne, że tak będzie, bowiem pewnego dnia narodzi się istota niestabilna genetycznie, o nowych, fantastycznych dla nas możliwościach. Anomalia. Śledziłem zapisy z działania systemu kontroli, aż natrafiłem na pierwszą taką anomalię, i było to w czterechsetnym roku Ery Chrystusa. Umarła bezpotomnie w wieku trzech lat. Potem przyszła klątwa kainitów do Lemurii, nowa choroba. Wampiryzm. To też nie zmogło Lemurii i demonów. Chorobę kainitów stworzyła już *dawno, dawno temu* konstruktorka... Sarino Mat. Xandau zaczęło się już wtedy walić, ale dyrekcja tego nie zauważała. Drobne, zaplanowane *dawno, dawno temu* awarie, niby awarie... - tu nastąpił mechaniczny śmiech, i na ekraniku przy łóżku Arnholma, ale dotyczącym stanu zdrowia Swedeckiego podskoczył widocznie stan ciśnienia.

- Proszę się skupić.

- Już wracam, wracam...stare, dobre czasy. Nie pamiętam z nich już niczego, poza najważniejszymi sprawami...

- Proszę uściślić, o jakie awarie chodzi.

- Pamięta pan, jak przez przypadek uruchomiła się Mistrel?

- Nie. Ale czytałem raporty. To była awaria Systemu Kontroli na Xandau. System na

szczęście nie został zbudowany w pełni na starej technologii, więc po umieszczeniu czteroskrzydłej maszyny w Oranżerii zapomniano o tym wydarzeniu. Awaria nastąpiła również przy Maunie, ale jak widać, nie była to przypadkowa rzecz...

Chinook westchnął.

- W rzeczy samej. Wciąż tylko, do rzeczy, do rzeczy! A żeby przejść do rzeczy, trzeba kilka spraw wyjaśnić. Kolejną anomalią była samica demona, która urodziła dziecko. System kontroli, system Milenium uznał je za Syna Plugawego i się uruchomił dopiero wtedy, gdy dziecko przeżyło. Dziecko zostało uznane za pełnoprawną anomalię, zdolną do rozplodu, chociaż z tego, co wiadomo, nie miało jeszcze dzieci. Nie trafiło jeszcze na właściwego partnera.

- Czyli to dziecko jeszcze nie rozpleniło jeszcze swoich zepsutych genów? O ile rzecz jasna mówimy tu o dziecku, czy o demonie, który może zniszczyć...a ty nic nie mówisz?! – Wrzasnął.

- Tak. Nic nie mówię, bo ile razy cokolwiek mówię, jestem uciszany. Prawdę mówiąc, wiem o tylu sprawach Xandau, o których wy nie wiecie, że śmiać mi się chce, więc się śmieję. Ha, ha, ha. – Ponury, cichy śmiech, jak zgrzyt zamka od spodni w rozporku, który właśnie zatrzaskuje się na penisie.

- A teraz o czym mówisz?

- Stara technologia. Po raz pierwszy Mauna wydostała się z Reaktora w czterechsetnym roku, nieprawdaż? Potem zaraz wróciła. I wszystko było po staremu, ale zaczęły się małe awarie. Systemy kontroli wiedziały, co się kroi. Z pewnych przyczyn, nieoceniony kolego, Xandau miało się rozpaść. Wszystko zmierzało ku takiemu finałowi. Że na najwyższym szczeblu stoi idiota Chinook Alger, że etatów jest mało, że ochrona instytutu jest kiepska...że Mauna wydostała się, choć można było temu zapobiec...

- Licz się ze słowami!

- Nie mieszaj spraw prywatnych z oficjalnymi. Czy ty chociaż wiesz, czym jest Xandau?

- Integralna część Atlantydy, laboratorium i Centrum Kontroli populacji Aniołów.

- Takiego wała! Centrum Kontroli, wymyślił! Stara technologia! Jeszcześ nie zrozumiał, że wszystko ma swój drugi cel? Przez całe wieki, w wyniku pozornie błędnych rozkazów i zaleceń Xandau niszczało, by rozpaść się właśnie w dogodnym momencie. Uczył się pan zapewne o katastrofalnych w skutkach rządach Zarządu w 1923 roku?

- Tak, ale co ma do rzeczy?

- Wszystko ma swoją celowość. Konstruktor i konstruktor tak zalecili. Maszyną uosabiającą System Kontroli Xandau jest Mistrel. Jak pan zapewne zauważył, jest niezniszczalna. W każdym razie, istnieją dwie rzeczy, które mogą ją unicestwić.

- Gadaj!

- Pierwsza – tu zawiesił głos, Inn roztarła mu palce – to funkcja wbudowana, funkcja samobójstwa. Program samozagłady, który niszczy przy okazji Xandau. System Kontroli przestaje kontrolować Atlantyde i Instytut, anioły wydostają się na powierzchnię, i odzyskują dawną sprawność. Krótko mówiąc, Ziemia i Taed zamieniają się w dwa wielkie Rezerwaty Aniołów, które na dodatek mają mentalność kawałka słoniny.

- Jak to?

- Chinook! Ty naprawdę jesteś takim idiotą, czy mi się wydaje? Dostarczyłem rano protokoły i dawne akta. Mieliście czas, by przejrzeć dokumentację!

- Nie zrobiliśmy tego, ale uczynimy to w najbliższym czasie. Proszę dalej. Jaki jest drugi przypadek?

- Druga możliwość jej śmierci, jest taka, że Xandau pierwsze padnie, i pociągnie za sobą

Mistrel. W rzeczy samej, ma ona za zadanie chronić Atlantydę i Instytut, i to robi. Jak – nie mam pojęcia, za stary już jestem, a wszelkie dane techniczne dotyczące Lalek padły ofiarą pożaru, który niefortunnie strawił za czasów mojego panowania sporą część Archiwum. Twarde dyski trudno – poszły się kopać. Wiem tylko tyle, że Mistrel robi wszystko, by ochronić anioły w tej postaci w której są, i nie pozwoli na mutacje, które doprowadzą je do pierwotnego stanu, o ile któraś z jej funkcji jej tego nie nakáže. Mauna tymczasem ma pięć celów egzystencji. Pierwszy – tu znów zrobił sobie przerwę, łypnął okiem żarłocznie na biust Inn, potem ze złośliwą radochą na Chinooka i jego przerażoną, krzywą mordę. Dobrze mu tak. Za me bóle, za me znoje...

- Dalej – ponaglił go generał.

- Pierwszym celem Mauny jest przez stałe dostawy energii elektrycznej osłabić Xandau, tak, by okazał się bezbronny w razie jej gniewu. Drugi cel to dowiedzenie się tego, *czy tylko ludzie mają prawo do szczęścia*, następnie rozmowa z Synem Plugawym na ten temat. Trzeci to ochrona Syna Plugawego i spełnianie jego życzeń. Czwarty cel to doprowadzenie go przed oblicze Milenium, i zapoznanie z planem działania. Piąty cel, to ewentualne unicestwienie go, gdy Syn Plugastwa okaże się niebezpieczny.

- Ile jeszcze istnieje takich maszyn?

- Nie wiem. W tej chwili Xandau ma większe problemy, niż badania etnograficzne, zapewniam – zaśmiał się.

Sam Syn Plugawy był właśnie w mięsny. Pani Stasia pamiętała go jeszcze, i aż zbyt łatwo dała sobie wmówić, że ma za darmo dać mu sześć kilo wołowiny. Potem pożegnała go miłymi słowami, i Armal udał się do sklepu o nazwie *artykuły ogólnie spożywcze alkohole napoje chłodzące jaja*, i dokonał tam „zakupu” alkoholi – tym razem to Mauna miała nieść te torby. I znów potwierdziła się pewna prawidłowość, którą zauważył już w tej wiosce, gdzie wegetowali z Axe. Ludzie byli strasznie prymitywnymi zwierzętami. Jeśli spotykali się ze zjawiskiem, które ich dziwiło, niepokoiło, od razu dopisywali do tego własny, prawdopodobny scenariusz.

- Biedna kobieta – zwrócił się do niego sprzedawca, lekko jedynie podtruty hipnozą – taką protezę ma...

- Jaką protezę? – Zapytał nieco zdziwiony.

- Zębki. Musiała oberwać kiedyś, wypadek? Niech pan nie mówi, że nie widzę. I te paznokcie, co za moda teraz!

- A, takie tam – uciał – tak przy okazji, jeszcze bym wziął ze trzy cytryny i dwa kilo pomarańczy. I czekoladę.

- Może być ta z bakaliarni?

- Nie, tą droższą poproszę. O, tą. Nie, koleżance nic nie jest, radzi sobie jakoś. A skrzydła, aha, przepraszam, że wystawę przewróciła skrzydłem.

- A, to taka moda, młodzi się ubierają, i potem tylko sprzątać po nich.

W miłym nastroju opuścił sklep, i spojrzął na blok. Jeśli żyje, i się obudziła, będzie wściekła. Po chwili spojrzął na traktor z lawetą w kształcie limuzyny. Dzieciaki już rysowały po nim kamieniami. Skurwysyny...co za kraj! Jeśli faktycznie, będzie miał coś do gadania, jako Syn Plugawy, to będzie wspaniale, pierwsze co zrobi, to zajmie miejsce prezydenta, i każe wybić wszystkie dzieci. A potem zrobić z nich zupę dla potrzebujących. I rozdać w PCK.

W drzwiach bloku stała dozorczyń, niska, czterdziestoletnia kobieta o zapitej mordzie. Trochę przypominała mu żonę, ale była ładniejsza.

- Proszę panią, nie zdarzyło się nic niezwykłego ostatnimi czasy, jak na przykład *demon złodzieje polujący na ludzi*?

- Nie. – Odparła baba.

- Hm. Ciekawe.

- Nudy, panie, ino te skurwysyny, patrz pan, jak te cholery porysowały te auto...

Armal poczuł się zbity z tropu. A może jeszcze się nie obudziła? Nic to, wziął Maunę, i poszedł z nią i workami mięcha na górę, na trzecie piętro, gdzie mieszkali niegdyś. Cudowne uczucie – poczuł nagły przypływ wspomnień...ich pierwsza ofiara, marzenia Axe o zimie, i wspaniały balkon, z którego jak dziś pamięta wspaniały widok na mięsny i osiedlowy spożywczy...

- Zapukaj, może jest w środku – syknęła Mauna.

- Ci...jak jest i się skapnie, że to ja, to mnie zabije...dawaj siaty z mięsem. – Uprzedził.

Drzwi były uchylone. Czuć było niewyczuwalnym dla ludzi smrodem Axe. A także o wiele lepiej wyczuwalnym smrodem nie mytych długo zębów i starej wylinki.

- Wchodzę.

- Coś taki ostrożny, mówiłeś, że ją znasz.

- No właśnie znam! I dlatego jestem taki ostrożny! Cicho bądź, i mnie w razie czego osłaniaj, Axe ma przeżyć!

To mówiąc, wszedł do środka. Ogarnęło go spore zdziwienie, bo nie takie mieszkanie opuszczał. Cała podłoga zasłana była gazetami babskimi, i porozrywaną książką telefoniczną. Z kuchni dobiewał się zapach starej konserwy rybnej, zostawionej przez harcerzy na pastwę losu, i cudownie odnalezionej po sześciu miesiącach. Poza tym cicho. Wszedł do łazienki i zastał w brodziku zjełczały polec słoniny, a do tego kawałek jakiegoś bliżej nieokreślonego gluta. Gdy kopnął to coś, uciekło z piskiem.

Wtedy usłyszał wrzask.

Biegła na niego. Chuda, zaniedbana, w rozerwanym chałacie muzułmańskim, wrzeszcząc tylko jedno:

- ARMAL, TY KANALIO!

Czym prędzej rzucił w nią mięsem, a sama gadzina porwała je i uciekła do pokoju.

- Co ci jest? – Zapytała Mauna, patrząc na ten wrak demona pożerający surowiznę.

- Ghe... - zakrzuszyła się.

- Nie widzisz, że głodowała? - Zapytał z fałszywą troską Armal – popatrz, jaka biedna...

- Ty kanalio! Zaraz cię zabiję, zostawiłeś mnie na pewną śmierć...

- No coś ty...pojechałem tylko za chlebem...to znaczy za mięsem, a ciebie zabezpieczyłem przed niepożądanymi gośćmi...jak ci się udało wydostać?! – Nie wytrzymał.

- Miałam młot, podejrzewałam, podejrzewałam, że takie kanalie jak ty są do tego zdolne! Ale żyję, i cię zabiję... - w tym momencie przerwała przemówienie i jedzenie, by rzucić okiem na Maunę. – A to co za pokraka?

- To Mauna. Powiedziała, że jestem Synem Plugawym – co najważniejsze, to do baszanta mówić prosto i bez trudnych wyrażeń, makaronizmów i dywagacji, a zdanie możliwie najmniej złożone – i zabierze mnie na odczyt Królowej, ponieważ ta ma kłopoty, i nie wie jak się nazywa, a ja jej to powiem.

IMIE!

Już, już. Poczekasz trochę – warknął do siebie w myśli. Teraz mam ważniejsze sprawy niż twoja skleroza. Jakżeś zapomniła swoje imię to cierp.

- A co my z tego będziemy mieli? – Zapytała ze złością.

- Bogactwo i sławę i amnestię. A tak w ogóle, to reszty nie znam. – Popatrzył badawczo na Maunę – tak w ogóle to tylko Axe byłaby zdolna do nazwania jej pokraka, maszyna to i może,

ale najwspanialsze ciało kobiece, jakie widział.

- To dlatego po mnie wróciłeś, co? Masz jeszcze trochę przyzwoitości! Kanalia – i tu nastąpił soczysty stek baszanckich klątw.

- Dobra, gołąbki – przerwała Mauna – trzeba jechać do Warszawy – tu rozprostowała skrzydła i wykonała kilkanaście kotletów z mięsa, by Axe szybciej jadła.

- Jak ty to... - zapytała, ale że baszanci zbyt dużo się nie zastanawiają, wróciła do żarcia i przekleństw.

- W nocy jak szczur zakradałam się do piwnicy, żeby wyżerać kocie żarcie, a ty się bawisz w Syna Plugawego! Ty tu sobie jakąś metalową panienkę dmuchasz, a ja głoduję! Ja już chcę do tej willi, rozumiesz? Chcę mieć służącą! Chcę mieć takie życie, jak ty? Rozumiesz? Oszuście, kanalio, plugawcze! Że ja z tobą kiedykolwiek słowo zamieniłam, że ja ci tę kasę pożyczyłam, bestio wszeteczna i parszywa!

Armal przez chwilę słuchał, w końcu podjął męską decyzję. Odgryzł szyjkę butelki wódki, podał ją Axe, i powiedział:

- Pij, nie pierdol.

Ruby Stein była dziś w nad wyraz dobrym nastroju. Aż dziwne, zważywszy, że Hubble od rana zaprzął ją do badania dokumentów dostarczonych przez Svedeckiego. Aż dziwne, że do tej pory byli tacy ślepi.

- Ten palant dalej go wałkuje? – Zapytała sennie, popijając kawę.

Hubble zerknął na swój zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem.

- Zrobili sobie przerwę, Chinook poszedł zdaje się spać, na godzinę czy dwie, a Svedeckie chyba też śpi.

Stos dokumentów mówił jasno całą prawdę o faktycznym stanie Xandau i o liczbie maszyn. Ale nie... ten nowy głównodowodzący będzie znęcał się nad staruchem...

Hubble przechodził obok sali przesłuchań, i z tego co zorientował się, to raczej torturom był poddawany Chinook, a stary go tylko zwodził. Nie ma co – podziwiał staruszka.

- Ale co właściwie zabiło Regedit to ustaliliśmy. – Rzekł, przeciągając się na krześle. Coś zagruchotało mu w kręgosłupie, upił łyk kawy.

- Samobójstwo. Gdyby Chinook nie był tak związany z tą gęsią, to byśmy teraz robili coś rozsądnego...

Ziewnęła. Praktycznie rzecz biorąc, rozkładu Instytutu nie powstrzyma nic. Odkąd zasilanie padło, było coraz zimniej. Strefa z zagrodami aniołów puści lada dzień. Trzymało ją jeszcze zasilanie awaryjne. Ale i je może szlag trafić. Kto wie?

- Chodźmy do Mistrelle Sarungamat. Jak niczego się nie dowiemy, to przynajmniej pogadamy z kimś normalnym – zaproponowała, wstając.

Zaplanowana katastrofa. A najlepsze będzie to, co zostawili Chinookowi na koniec, chyba, że Svedeckie mu to pokaże wcześniej, czysta komedia w każdym razie.

- Z czego się śmiesz? – Zapytał detektyw Hubble, narzucając na siebie futrzany płaszcz.

- Z tego, co znaleźliśmy. Wiesz co, Protokół 54. Jak Svedeckie do tego dojdzie, Chinook rozerwie go na strzępy.

- Tak – zapalił papierosa. Siwy dym rozsnuł się senną smugą po pomieszczeniu. – Faktycznie, śmieszne. Ale co sądzisz o tym? Warto w ogóle tu jeszcze siedzieć? Czy może wybierzemy się na jakieś Karaiby, albo na Maunę? Teraz mało turystów tam, po takiej katastrofie...

Byli pogodzeni z losem. Z początku, gdy zaczęli odkrywać prawdziwe funkcje maszyn, i

dokumentacje Svedeckiego, te wszystkie błędne decyzje, które zostały zatwierdzone tak dawno temu, błędy powtarzane ze skrupulatną dokładnością maniaka...z początku byli przerażeni. Wynikało z tego, że konstruktorka i konstruktor z początku stworzyli rasy nowych zwierząt – ogólnie, fajnie się bawili historią. Wynikało też z tego, o ile Svedeckie nie zrobił głupiego kawału potomnym, że przyspieszyli rozwój ludzkości, mutując australopiteki do poziomu ludzi. Gdyby Chinook dowiedział się, że nie pochodzi od małpy tylko od Svedeckiego, chyba by padł na miejscu...

- Co ty się tak śmiejesz? – Zapytała Stein. Ciężką budowę ciała rekompensowała sobie dobrym gustem i specyficznym poczuciem humoru.

- A no z pochodzenia ludzkości.

- Mnie to akurat...wiesz. Zwisła.

- No nie! Takie słownictwo u pani Ruby Stein? Nie poznaję koleżanki!

- To ty mnie jeszcze nie znasz...ale tak z drugiej strony, to mógł zafałszować. Wiedział, że ktoś w końcu to przeczyta, i może chciał się zdrowo pośmiać na starość...

- Albo to, że połowa personelu tutaj to maszyny. W życiu byśmy się tego nie spodziewali...ale krótko mówiąc, Ruby, ja szczerze mówiąc, to wątpię, by takie nowości – zaakcentował słowo nowości – były fałszywe. Jak by na to nie patrzeć, wszystko układa się w całość. Plan...

Tu zawiesił głos. Ta część akurat mu się nie podobała. Gdyby wierzyć pozostałej dokumentacji, istniał plan, jakiś plan, który miał odpowiedzieć na pytanie, dręczące konstruktorkę – pytanie to miało brzmieć - *czy tylko ludzie mają prawo do szczęścia*. Osobiście uważał, że oczywiście, że nie. Że każdy powinien cieszyć się wolnością, ale z jakichś powodów konstruktorka i Svedeckie wraz z Arnholmem zdecydowali inaczej. Ludziom dali pole do popisu, ulepszyli ich geny – tak na marginesie – jacy ludzie w takim razie zamieszkiwali ziemię, że konstruktorka, pani Sarino Mat, zmieniła w taki sposób bieg historii... ale nie zmieniało to wszystko faktu, że ludzie cieszyli się wolnością, względnym szczęściem, a demony i anioły zostały pozamykane w tych dwóch miastach. Atlantyda i Lemuria.

I kto do cholery stworzył Piekło?

- Co ty tak myślisz?

Pytanie Ruby oderwało go od rozmyślań.

- Jak ty uważasz, czy tylko my, ludzie, mamy prawo do szczęścia? I czemu na to pytanie ma odpowiedzieć ofiara losu, jakaś zapluta anomalia, wybryk natury?

Ruby przystanąła. Korytarz był ciemny, stalowo szary. Ich zielone mundury odcinały się od tła ścian. Zapaliła również. Odetchnęła z ulgą srebrnoszarym dymem.

- Nie wiem. Jakiś dowcip konstruktorów. Svedeckie nie odpowie, bo jest już praktycznie na wykończeniu, gada już trochę bez sensu, wiesz...ja go tam lubię nawet, ale z nim jest już gorzej niż źle. Może konstruktorka wiedziała coś o przyszłości, czego my nie wiemy?

- Ale jak ty uważasz?

- A ty?

- Że tak. Że wszyscy mają prawo do tego. Szczęśliwi nie będą, bo wszystkich nie zadowolisz. Ale pomyśl. Jeśli za szczęście, można uznać swobodę... - zdusił pod butem papierosa – to wszyscy mają do tego prawo, żeby jakoś sobie poukładać życie, według tego, co chcą robić, żeby prowadzić wojny z kim się chce, żeby mieć za sąsiada Żyda, baszanta, anioła, co tam się chce. I niech sobie radzą.

- Czyli to był zły wybór.

- Tak, na Boga, tak! – Uderzył dłonią w ścianę – można było do tego wszystkiego nie

dopuszczyć. Gdyby zlikwidowano Lemurię, wypuszczono demony na świat, nie urodziłby się ani jeden taki plugawiec. A nawet jeśli tak, to byłoby z nim jak z bliźniętami syjamskimi, czy dzieckiem z białaczką. Nikt by się tym nie przejął w takim stopniu, by z niego robić jakiegoś pół boga, czy coś. A w obecnej sytuacji to System Kontroli z powodu durnej anomalii, błędu doboru naturalnego fiksuje, i mamy to co mamy. Zagładę. – Zamachał nieco zbyt histerycznie rękami, ale zaraz potem przypomniał sobie o oszczędnościach liczonych w złotych obligacjach Xandali, i uspokoił się. Trudno – ten rozdział życia zakończy się przynajmniej w dobrym stylu. Z fajerwerkami.

- A ja myślę, że nikt nie jest szczęśliwy – powiedziała. – Wiadomo już, że system Wież i Dwóch Miast się nie sprawdził. Teraz będzie nowa era. Coś nowego. Co – wzruszyła ramionami – nie wiem. Może Mistrel i Svedeckie to wiedzą. Grzecznie zapytamy, to powiedzą.

Przechodząc obok sali przesłuchań, zatrzymali się pod ścianą.

- Jak myślisz, doszli już do pięćdziesiątki czwórki? – Zapytała.

Z sali dobiegł ich potworny wrzask:

- I co to mi pan pokazuje?! Co to ma być? Dupa?

- Wielka, i historyczna zresztą – mechaniczny głos Svedeckiego, zabarwiony małą, ledwie wyczuwalną nutą dobrego humoru.

- Dupę mi pan pokazuje?

- Może by tak pośladki?

Ruby zatrzęsała się od śmiechu.

- Czyli doszli do Syna Plugawego. Możemy iść do Mistrel.

Tymczasem w Tulcupac panowała niczym nie skrepowana przyjemna atmosfera leniwej sjeisty, i dwoje ludzi równie leniwie co większość turystów spędzała to popołudnie.

- Wie pan, co ja najbardziej lubię w tym świecie? – Zapytał Mieczysław Piżgał sącząc drinka przez kręcącą słomkę. Drinka najbardziej egzotycznego z całego barku, z miejscowych sliwek, soku pomarańczowego, i karambolą.

- No nie wiem, a co?

- Że to fantastyczne miejsce. W samolocie czytałem przewodniki. Wspaniałe, jak tu połączyliście magię z nowoczesnością.

- Ja nietutejszy i tak... - spieszył się Hubert.

Pił też drinka, wybrał bezalkoholowego, z mlekiem i owocami. Nie chciał w tym upale upić się zbyt szybko. Albo najlepiej – nie upić się w ogóle.

- No wiem, ale my, na Ziemi to nie wiemy nic, że tu taka koniunktura. Po prostu wspaniałe! Niby jest ten Taed, ten pół dziki kontynent, ale działa tam coś w stylu rezerwatu przyrody, żeby chronić żywe pomniki przyrody, i tę magię. I właśnie! Ja jak czytałem te wszystkie książki, to było, że jak magia, to było powiedziane, że będzie prymityw, i w ogóle, a tutaj, proszę. Jaka niespodzianka! Koniunktura, gospodarka, po prostu wspaniałe!

- Cieszę się, że panu się tu podoba – zaczął cicho – ale nie lepiej byłoby zacząć szukać Salieriego, mojego brata? Wie pan, że nie ma go w Taedzie, ani w Mieście Śmierci. Daj mi pan chwilę odpoczynku, co? Ten pański brat, Rafał, to dość męczący był.

- Rozumiem – uśmiechnął się krzywo Hubert. W sumie facet miał pełną i całkowitą rację. Przejechał szmat świata, żeby się z nim spotkać i przekazać informacje o tym, że strażnicy nie zostali zwolnieni ze swojego obowiązku... przynajmniej on i Salieri. – A Rafael? Co nim? W jego stanie, on nie może...

- Pan też nie może, to przeczy zasadom BHP. W uczciwym wolnym kraju, jakim jest

Polska, winien pan udać się do poradni medycyny pracy i tam załatwić sobie rentę inwalidzką. Za taki staż pracy powinni panu dać coś, gdzie pan... na czyje pan zlecenie pracował?

- Xandau. Powinni mi dać sporą emeryturę. Mam też oszczędności, będzie tego na domek w jakimś miłym miasteczku, chciałbym się osiedlić gdzieś na stałe, z dala od demonów, i innych takich – westchnął. W sumie, ten facet naprawdę miał rację.

Mieczysław Piżgał siedział na leżaku i właśnie dłubał sobie palcem lewej nogi za prawym uchem. A palcem prawej ręki dłubał w sobie w nosie.

Po chwili położył się na wznak i puścił gazy z dużym pogłosem.

- Ach – powiedział – to właśnie lubię najbardziej.

- Jak pan woli – wzruszył ramionami Hubert. Ręka w tym gorącu nie doskwierała mu wcale. Może by nawet tu się osiedlić – tak, tu. Ale najpierw trzeba rozwiązać kwestie formalne... nie mógł przecież pracować przez całą wieczność.

- Myślę, że jest na Ziemi – powiedział, grzebiąc sobie w majtkach.

- Kto?

- No, pański brat. Sprawdzimy, daj pan mapę Ziemi.

Popatrzył na nią przez te swoje okulary, potem podłubał sobie w nosie raz jeszcze – może ropa mu z zatok schodzi – Hubert głowił się nad niezwykłymi zachowaniami ankietera – po czym pomachał wahadełką, by w końcu powiedzieć z całą powagą.

- Ameryka Północna. Jest do tego miejsca przejście międzywymiarowe, jak to pani Milenium mówiła, w ogóle jest taka śmieszna sprawa. Jak ona mogła puścić swoje imię w eter? To pojedziemy tam jutro, czy pojutrze. Pański brat, ten nienormalny, przepraszam za wyrażenie, ale tą prawdę ktoś panu powiedzieć musi, to on powiedział, że on znajdzie Syna Plugawego, i go osobiście zabije. Więc czekanie na niego nie ma sensu, bo on leciał przejściem innym, też międzywymiarowym, ale w inną stronę niż my...

- Czyli on sam...

- Poradzi sobie, poradzi. Od czego ma pazury? On mi tak w ogóle powiedział, że z nim źle to od tego upadku w Wieży było. Porwało go coś i zrobiło zastrzyk. Potem jak otepiały chodził, ale już wydobrzał, i chwali sobie te zmiany. Więc po co tu ingerować w naturę? Jak chce być takim latającym, to niech będzie. W każdym razie, bądź nie razie, myślę, że posiedzimy tu sobie, a jutro już albo dziś w nocy pojedziemy międzywymiarowo do Ameryki.

- W sumie, ma pan rację. Ale ciągle mam wątpliwości, czy Rafael sobie poradzi...

- Niech się pan wyluzuje, on sobie dobrze radzi. Sam bym tak chciał. Jeszcze się pan z nim spotka. I to niedługo, bo chce zabić Syna Plugawego, a my też z nim zdaje się spotkamy. Więc będzie spotkanie rodzinne.

- Czyli Syn Plugawy istnieje?

- Tak twierdzi Królowa ta wasza, jak się okaże że to ten pijak z ankiety, to będzie ubaw, ha, ha!

Część szósta: honor demona to krew żwawa i dziewczyna młoda

Demon Armal patrzył jak Mauna prowadzi wóz. Co jakiś czas miał głupie wrażenie, że jedzie za nimi policja, ale wtedy przyspieszali, i wtedy już nie było policji... Mauna coś mówiła o przyspieszeniu kosmicznym, i technologii Wiecznego Słońca, ale on się na tym nie znał. W każdym razie popijał wódeczkę i cieszył się, że Axe śpi. Co jakiś czas dostawała jakiegoś szafu przez sen, i darła się – Adaś, nie! Adaś, nie! – Ale szybko jej to mijało. W pewnym momencie obudziła się i zerwała na równe nogi.

- Gdzie ja jestem?! – Wrzasnęła.

- W traktorze, przerobionym przez koleżankę – wskazał na panią szofer. Pani szofer tymczasem jechała jak szatan sam, przez polne drogi, i bezdroża...przez chmury? – Mauna, jak my jedziemy?!

- Przerobiłam to też na samolot. – Ucięła – nie zrozumiecie, swoimi zdegenerowanymi umysłami – dodała z goryczą.

- Aha – mruknęła Axe. – łeb mi pęka, będę rzygać – obwieściła.

- Mauna, weź że zaparkuj w jakimś ustronnym miejscu. Bo koleżanka źle się czuje.

Samolot podchodził do lądowania. Łączka za okami falowała, gdzieniegdzie trawa już zieleniała pod śniegiem, ach, ta wiosna, że przyjść nie może...

Axe wybiegła z limuzyny – samolotu – traktora nieco zbyt wolno, nastąpił falstart na drzwiczkach wozu, ale nie przejmowali się zbyt tym. Po powrocie do auta – tak, Armał wołał o tym czymś myśleć w kategoriach samochodu – ponarzekła trochę na ogólne warunki atmosferyczne, i poszła dalej spać.

- Mauna – zapytał wtedy – po co my właściwie tam jedziemy? Powiemy, jak ma na imię, i co? Zabije nas?

- Nie, czemu miałyby to zrobić? Wtedy zadecydujesz o losach świata. Rozkażesz Milenium, a ona wykona każdy twój rozkaz. Posłuszna tobie, jako część Systemu Kontroli wykona twoją wolę.

- A po cholere?

Zamrugała oczami. Pazury wysunęły się z metalicznym chrzęstem z jej palców. Nie. Tego nie miała w programie.

- Ale musisz. Taka jest twoja rola.

- A potem mnie zabijecie, co?

- Nie, nikt nie mówi o zabijaniu. Masz tylko zadecydować, kto ma być szczęśliwy. Pytanie, na które masz sobie odpowiedzieć, brzmi: Kto tak naprawdę ma prawo do szczęścia, a potem na nie sobie odpowiesz i decyzję przekażesz Milenium. To jest twoja rola. A Imię Królowej potrzebne jest do tego, by za pomocą jego rozkazywać jej.

- Fajnie, to jak w zabawie Szymon mówi zrób coś. – Zarechotał.

Mauna rozcięła tapicerkę. Ze złości. Tak. Podobno maszyny się nie złością, ale najwyraźniej przyszedł na nią taki moment, że już nie mogła. No tak – wypuściła kłęb pary przez dziurki nosa – masz do czynienia z samym Synem Plugawym. To nie jest normalna istota. Oj, nie jest...

- Wiesz już? – Zapytała zrezygnowana.

- Co?

- Kto ma pra-wo do szczę-ścia – przesylabizowała. Ruszyła samochodem, mimochodem zerkała na niego, jak siedzi obok tego cuchnącego wraku demona w muzułmańskim, podartym chałacie. Faktycznie, koszmarny widok. Sam Armał miał na sobie różową puchową, brudną kurtkę, spodnie od dresu i gumofilce. Sabat Nowa Lemuria na szczęście ratuje takie ofiary losu, ale dlaczego jedna z nich musi być wybrańcem, który zmieni historię świata?

Nagle potworną twarz Axe rozjaśnił przez sen jakiś cień uśmiechu – zaczęła mamrotać coś o narciarstwie figurowym, telemarkach na łyżwach i o jakimś polskim sportowcu.

Tymczasem Armał upił znów łyżeczek z fiaszeczki, zagryzł kotлетem i roześmiał się:

- Mam odpowiedź!

- To gadaj.

- To proste – zaczął – ja mam prawo do szczęścia. – Rzekł z dumą - Bo niby kto inny?

No, może jeszcze trochę Axe, ale bez przesady.

Mauna przetarła oczy ze zdumienia, powstrzymała zgrzyt zębów, i zdarła tapicerkę do końca z jednego z foteli.

- Czy ty wiesz, co ty gadasz? – Zapytała, powoli sylabizując.

- O rany. Ty nic nie rozumiesz. JA MAM PRAWO DO SZCZĘŚCIA, nie? – Zaznaczył, uderzając się w pierś. Wyglądał, jakby mówił to uczciwie, i z pełnią powagi, świadomy i w pełni sprawny psychicznie.

- I co z tym chcesz zrobić, że tylko ty będziesz szczęśliwy? A inni?

- Coś ty taka charytatywna – obruszył się, i usiadł wygodniej, zapalił papierosa, podał Maunie – aż dziw, że maszyny palą, ale jak widać, mogą – i obejrzał się niecierpliwie na Axe. – Trochę tu chłodno, ona jest wiesz, gadem, może zachorować. Włącz ogrzewanie, a ja zacznę ci to tłumaczyć.

Mauna wykonała polecenie i zamieniła się w słuch, co też ta kreatura ma do powiedzenia.

- No więc – zaczął naukowo – to jest tak.

Tu zawiesił głos, zmarszczył się cały, i kontynuował, z dziką naukowością:

- Niby wszyscy mają prawo do szczęścia, nie? Ale to nie jest tak prosto. Dziś ja mogę zdecydować, kto ma do tego prawo, a kto nie. Ty pewnie myślisz w dużej kategorii, na wszystko patrzysz z perspektywy, i nie obchodzi cię, czy ja mogę powiedzieć, że jest mi dobrze, i w ogóle. Bo nikogo to nie obchodzi. Przyszedł do mnie taki facet z Nowej Lemurii ankietę robić. Oblesny typ. Jak ja to mówię, to uwierz, że oblesny to on był. Ale nieważne. Zrobił mi smaka na rentę. Bo urwało mi skrzydła na budowie, i miałem nadzieje pewne, że przysługiwać mi będzie zasiłek jakiś czy coś. Facet mówi, że tak. To ja się cieszę, liczę już kokosi, i w ogóle, a on na drugi dzień mi mówi, że wszystko byłoby dobrze, gdybym ja chociaż był demonem. I szlag mnie trafił równy, bo urodziłem się w Lemurii, mam pazury, kły, włosy sztywne, kiedyś nawet miałem skrzydła, tylko przez ten cholerny wypadek szlag je trafił... całe życie tylko mnie w wała robią. Jest tak – Armalku, takiego wała! A ja sobie nie życzę. Axe to samo. Była wielką metresą, wszystko jej się dobrze układało, miała bogatego faceta, i trach! Życie na pół, ląduje ze mną tutaj, na Ziemi, i nagle okazuje się, że jest strasznym brzydalem, na tutejsze pojęcie piękna. Nie, żeby jej się szczególnie źle tam wiodło, w Lemurii, ale jak ją ten facet rzucił, zdeczko się rozpiła i szlag trafił elegancję Francję. Zaczęła ze mną w kasynach oszukiwać, mordowaliśmy razem bogatych klientów dziwek z Placu...i było w porządku. Ale teraz to my mamy gadane, to znaczy ja, i dlatego uważam, że ja mam prawo do swoich pięciu minut. Najem się, wykapię, pomyślę co dalej.

- A w takim razie ludzie? Czy oni mają do tego prawo?

- Jak ja nie miałem prawa...ludzie?! – Prychnął śmiechem – oni nawet jakby byli szczęśliwi to by tego nie zauważyli! To są tępe bestie, prymitywy z drzew bananowych, i jeszcze od małpy pochodzą. Dla nich jesteś tylko wystylizowaną nastolatką! Gadałem o tobie z kmieciem ze sklepu, a kmieć gadał, że to pewnie taka moda, żeby skrzydła nosić. Jak kogoś miałem zjeść, to się mnie pytał najpierw, czy z pieprzem czy z fasolą jadam. Nic do nich nie trafia. Idioci, weź, nawet nie pytaj.

- A anioły?

- Też nie pytaj, bo nie wiem. Niech tam sobie latają, na zdrowie. Podobno więksi idioci niż ta tutaj, legwanica.

Sama legwanica budziła się powoli zadowolona, najedzona i wygrzana. Przeciągnęła się, i zapytała:

- To wiesz już resztę?

- Mam odpowiedzieć, kto ma prawo do szczęścia. Dno. Koleżance się nie podoba, że preferuję jednostki.

- A co, chcesz, żeby Adam Małysz był szczęśliwy?

- Ja chcę być szczęśliwy – zaakcentował słowo „ja”. – Czy coś w tym złego?

- Wszystko! – Nie wytrzymała Mauna i dodała gazu, wznosząc się ponad chmury.

- Co tej się nie podoba? I w ogóle, to gdzie jedziemy?

- No właśnie, gdzie jedziemy?

- Do Warszawy, tam teraz przebywa Milenium, czeka na ciebie. Możliwe, że czekają na ciebie również głowy państw świata, wysłannicy religii i ktoś z Xandau. Poza tym, demony mogą być ci nieprzychylnie, jak i ludzie. – Wyszczęła z nogą na gazie Mauna. Wzrokiem spopielęła wszystkie ptaki, które miały nieszczęście znaleźć się w zasięgu jej wzroku.

- To zrobimy, że nie będą szczęśliwi, i się skończy – zachichotał.

- Dosyć! – Wrzasnęła.

- Co, dosyć?!

Zahamowała, obniżyła lot i zaparkowała.

- Jesteśmy na miejscu. Teraz się będziesz komu innemu tłumaczył!

- Jak to na miejscu? – Zaczęła podrygiwać w miejscu Axe, z niecierpliwością wyglądała przez okno.

Zaiste, niezwykle. Znajdowali się w jakiejś podwarszawskiej mieścinie, na ubłoconym podjeździe przed jakąś wielką, gotycką willą. Armał wyszedł z samochodu – który, jak ocenił, bardziej przypominał latający spodek z tego filmu dokumentalnego, co go Axe oglądała – i zrobił krok w przód.

Willą miała pięć piętér. Była wielka i wspaniała, pomalowana na szaro, wokół rosły stare drzewa, żyse i martwe o tej porze roku – opóźniającej się wiosnie.

Co za koszmarek architektoniczny – pomyślał. W środku pewnie będzie pewno wampirów, jakieś złociste baszantki w strojach muzułmańskich, i ze cztery kościeje w tiulach i koronkach.

Z budynku ktoś wyszedł.

Armał zastygł w miejscu. Imię wołało go teraz i napominało do odpowiedzialnych decyzji i przemyślanych słów.

- Jak tu pięknie! – Zawołała Axe.

IMIE!

IMIE!

IMIE!

- Zamknijcie się! – Wrzasnął. Trzymał się oburącz za głowę. Pękała mu jak skorupa orzecha kokosowego, a ONA szła...powoli, cicho, miała dwie pary skrzydeł, błoniastych, wielkich skrzydeł. Pierwsza para, wielka, rozłożysta, druga, mniejsza, zakończona pazurami. To tylko maszyna, to tylko komputer, to tylko jakiś System Kontroli – mówił sobie, ale zaczął wrzeszczeć. By tylko przekrzyczeć IMIE!

Jak bębny na pogańskiej imprezie w Dolnym Mieście Lemurii? Jak organy w Teatrze? Jak wrzask demonów z komory głodowej? Jak milion baszantek śpiewających hymn narodowy Lemurii „By nierzędem kraj nasz stanął”...

- Obudził się – usłyszał za sobą wredny głos Axe. Otworzył oczy. Stała nad nim ta wstrętna morda i śmierziała. Do tego podzwaniała dzwoneczkami. Dzwoneczkami? Jakimi do cholery dzwoneczkami?

Otworzył oczy i zobaczył, że ma sobie nowy kwef, czy czardasz, czy jak się ten chałat nazywa. Z dzwoneczkami, dlatego tak to dzwoniło. Gapiła się na niego i śmierdziało jej z pyska.

- Axe, śmierdzisz – powiedział. – Możesz nie ziajać na mnie?

- Obudził się Syn Plugawy! – Rozległo się, toteż zamknął ponownie oczy i tym razem z pomocą tak zwanego trzeciego oka, a w rzeczywistości narządu linii bocznej odziedziczonego po zjadanych w młodości rybach – zaczął badać sytuację. Koloru pokoju nie umiał określić, ale wiedział, że znajduje się w dużym salonie. Na ścianach wisiały obrazy i poroża, na postumentach stały potwornie kiczowate rzeźby, widać tu było spaczony, wampirzy, gotycki gust. Na aksamitnych sofach, zapewne w burdelowych kolorach siedziało kilka osób. Dwie skrzydlate batezy, jedna wampirzyca w długiej sukni z kryzą, zapewne blada i w ogóle, Axe w towarzystwie jakiegoś baszanta, też w chałacie. Mauna siedziała na skraju jego łóżka i nie pozwalała nikomu oprócz Axe zbliżyć się do jego tapczana.

- Nie obudził się – powiedziała Mauna. Wprowadźcie Milenium i wszyscy stąd won!

Armal usłyszał w głowie szyderczy jak głos mewy czy sroki głos Imienia. Co prawda śmiało się tylko, ale ciarki przechodziły mu przez ciało? Był głodny. Nagle, teraz w towarzystwie demonów zrobił się głodny, i nie umiał tego opanować, a IMIĘ! śmiało się z niego bo, wiedziało, na co jest głodny.

Na demony...na świeże pełne mocy ścierwo kostuchy...na ścierwo baszantki...złotej baszantki...

- Zamknij się, dobra? – Jęknął.

- Znowu – mruknęła Mauna – mam cię chronić. Nie zmuszaj mnie więc, żebym cię zabiła, dobra?

Wstał, roztań powieki. Jak się spodziewał, towarzystwo ubrane bez gustu, domek urządzone zbyt mrocznie i gotycko, by uchodzić za faktycznie straszny, mógł podobać się co najwyżej rozhisteryzowanym fankom ciężkiej muzyki¹⁴ i poezji książek Edgara Allana Poe'go, którego to niestety musiał w trzeciej klasie podstawówki się uczyć, w ramach literatury obcej.

- Synu Plugawy – usłyszał głos wampirzycy. Wampirka faktycznie – bezguście totalne. Przypominała potłuczoną, wiktoriańską laleczkę w tej sukience w kratkę, i z tą całą masą koronek.

- Co to do cholery? – Zaczął – zjazd gotyckiej młodzieży? Już, wynosić się stąd!

Zamachał rozpaczliwie rękoma, a wszyscy w zwolnionym tempie, jak zjawy zaczęły wychodzić, szeleszcząc szatami, jakby bawili się w jakiś gotycki teatr. W głowie ciągle miał ten szmer, IMIĘ! Jak grom, jak uderzenie toporem, jak dzwoneczki grające jednostajną, denerwującą melodyjkę, jak gromki chór larw na święcie Zstąpienia Królowej do Wieży! Jak wszystko, co nagłe, bolesne i monotonicznie powtarzające się z bolesnym rytmem...jak skurcze głodowe, gdy był zamknięty w komorze głodowej za kradzież oleju namaszczonego Święty Kamień! Te czterdzieści dni bez jedzenia, w klatce z bieżącą wodą, którego w końcu zjadł, z głodu...a potem to uczucie siły, IMIĘ! I to, że cierpiał potem za tą zbrodnię, a potem poszedł do domu, do ciotki...a ona wyrzekła się go, powiedziała, że kanibale łamią Kodeks, a on złamał...i wtedy jak IMIĘ! Rzucił się na nią, kłapnięcie szczęk! IMIĘ! Stał się wtedy jednym kłapnięciem szczęk, a jej ciało uderzyło o szafkę, a on przytulił się do niej, i postronny obserwator by pomyślał, że całuje i przytula ją, a on wgryzał się w nią, głębiej, i mocniej, aż przegryziona krtań przestała charczeć, i przegryzł kark, jej głowa tak śmiesznie zwisała z boku głowy...i wtedy zaczął ją pochłaniać, nie tak, jak demon, od początku do końca, całą, od głowy do czubków butów, a potem udał się na

¹⁴ Zatem zwróćcie uwagę na swoje pociechy słuchające takiej muzyki i nie promujcie szatana przez wystrój domu, dobra?

spoczynek. Zasnął snem wielkim i IMIĘ!

Ocknął się gwałtownie łapiąc powietrze. Axe stała obok i wyglądała na nieco wystraszoną, a Mauna spoglądała na niego z tą bolesną wyrozumiałością...

- Gdzie ja jestem – wysyczał z wściekłością, a po chwili dodał – i co to za czarny płaszcz mam na sobie? Ja chcę spowrotem coś różowego!

- Willa Diodati. Podwarszawski pałacyk, regionalna siedziba Królowej to jest! – Pospieszyła z tłumaczeniami Axe, przestępując z jednej nogi na drugą i podzwaniając co chwila dzwoneczkami przy tym chałacie.

- Dobra, możesz ty też wyjść?

- Dobra, ale ty nie wiesz, ty zemdlałeś, i Królowa osobiście powiedziała, że jesteś Synem Plugawym! I pogratulowała mi takiego przyjaciela, który jest ze mną na dobre, i na złe...

- Musisz odpowiedzieć jej...- zaczęła Mauna.

- Stulić ryje! Muszę się zastanowić. Raz jeszcze...proszę cię Axe, wyjdź stąd.

Również wyszła, też jak zjawą, lekko w powietrzu, nie człapiąc jak zazwyczaj...

- Nie mam zamiaru odpowiadać na niczyje pytania. Mauna, teraz musisz posłuchać...to chyba poważne – ślina kapłała mu spomiędzy szczęk. Popatrzył na swoje dłonie. Czuł się tak, jakby wszystkie zjedzone przez niego kiedykolwiek istoty, wszystkie zwierzęta, począwszy od ryb, skończywszy na ludziach wołały z jego wnętrza, jakby chciały wyglądać...jakby miał zaraz upodobnić się do nich wszystkich.

- Rozumiem.

- Czy to, co się dzieje...czy to ma związek z Milenium? To ma z nią związek...ale co tu się dzieje?

- Imię ją wzywa. Dlatego tak cierpisz, im szybciej je powiesz, tym szybciej skrócą się twoje męki.

- I wtedy umrę?! – Wrzasnął histerycznie.

- Nie, kto tu mówi o zabijaniu? – Opadła na fotel. – Ci wszyscy tutaj, to jej dotychczasowa straż przyboczna. – Zaczęła – byliby niebezpieczni, gdybyś był sam. Ja cię chronię, i jak na razie to oni są zagrożeni. Zemdlałeś, fakt. Przebraliśmy cię, żeby nie widzieli twoich ciuchów – dotykała z rezygnacją czoła – to wstyd w ich mniemaniu, żeby taki zapluty karzeł miał być wybrańcem, ale póki, ja i Milenium cię uznajemy, to jest dobrze. I będzie, jeszcze lepiej, gdybyś zrobił coś, co mogliby uznać za cud. System Kontroli zadbał już o to, ale lepiej, żebyś się przygotował, mamy tu małą siłownię, jak chcesz, to skorzystaj...

- Jaki do cholery System? Ja nic nie rozumiem. – Pokręcił głową i popatrzył na karafkę z czerwonym płynem – nie jest aby zatrute?

- Dobrze główkujesz. Trzeba będzie tego pilnować – wzięła karafkę i powąchała – nie wygląda. Krew ludzka medyczna. Przetaczana z jak najlepszymi intencjami, może być w niej co najwyżej HIV i przetrwalniki rzeżączki. Pij więc bez obaw.

Wziął duży łyk, przyjemne aksamitne ciepło rozlało się po jego organizmie.

- Czyli gadaj, co za System...

- Ktoś stworzył to, żeby pilnować ludzi, demonów i aniołków. Kto dokładnie, to nie jest istotne. W każdym razie zadbało to o wszystko. Kiedy dotknąłeś swoją legendarną już i historyczną dupą Czarnego Kamienia, do Królowej doszło, że jesteś wybrany, że jesteś anomalią, a z nieznanymi już powodów ofiara chowu wsobnego demonów ma zdecydować o dalszym sensie istnienia Systemu Kontroli, rozumiesz?

- Po pierwsze nie rozumiem, po cholerę jakiś System Kontroli, ale dobra, ja tam w pismach nieuczony. Wal dalej.

- Wszyscy wierzą, że Królowa jest czymś w rodzaju pół bogini, czy czegoś tam. Oddają jej cześć. Ty mam nadzieję, już zarejestrowałeś ode mnie, że to jest też taka maszyna jak ja. Za niedługo przejmiesz nad nią kontrolę. To nikomu się nie spodoba. Została nawiązana współpraca z rządami świata, którym wcale nie podoba się idea Wiecznego Królestwa Chaosu i Nierządu. Muszę się dowiedzieć, co ty o tym sądzisz.

- Że to idiotyczna idea. Czytałem w ulotkach. Lemuria na cały świat jest w praktyce niemożliwa do spełnienia, ale jak tak poszła gospodarka...

- Właśnie o to chodzi, by nic takiego się nie działo. Ty będziesz rządził Królową, ale ona będzie w dalszym ciągu rządzić demonami, rozumiesz? I nikt nie może się dowiedzieć, że to maszyna. O mnie myślą, że jestem metalowym aniołem. Są tępi, jak większość demonów.

- Większość?

- Ty na przykład nie jesteś tępy. Skoro przeżyłeś tyle czasu sam...nie zostając rozpoznawany...

- Zaraz, zaraz. To ile demonów w tej chwili przebywa na wolności? – Zapytał, czegoś nie rozumiejąc.

- Wampiry...jak by ci to wytłumaczyć...nie skorzystały z rad dotyczących zakazu chodzenia do solarium. Jest ich może dwa tysiące. Przeżyły najsilniejsze sztuki. Baszanci pozamarzali, ale jest ich tak z dwieście sztuk, razem z twoją Axe. Ona przetrwała tylko dlatego, że zasnęła. Ty jej to poradziłeś, nie?

- No tak, najsilniejsze sztuki...dobór naturalny...

- Właśnie. W momencie przeciążenia populacji złymi genami, czego dowodem jesteś ty, uwolnił się mechanizm rozprężający ją, żeby wzmocniła się, kosztem sztuk słabych. Larwy, Batezu, wiesz. Tragedia. Ale populacja utrzymała się na stabilnym poziomie, i nie maleje, jednak powoli, bardzo powoli wzrasta. Mówiłeś mi po pijanemu o tym, że Imię...

IMIĘ!

-...zabiło staruszkę. Ale w rzeczy samej, tu mamy rzeczywistość, i nie panują tu bajkowe, fantastyczne reguły gry. Po prostu ona się zestarzała, a Imię ją tylko dobiło. Nie masz co winić za to Milenium. Zaraz się z nią spotkasz, chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć?

Zmarszczył się cały.

- Cud...oczekujecie ode mnie cudu, żeby demony mnie zaakceptowały?

- Coś niewykonalnego, niezwykłego. Dość i tak, że udało ci się przetrwać. Ale oni oczekują fajerwerków.

Armal podrapał się w głowę. W tym momencie poczuł się wyjątkowo nieswojo. To mu się nie podobało. A chciał tylko bogactwa...

- A co ja z tego będę miał? – Zapytał.

- Ten pałacyk już należy do ciebie. Za niedługo zdobędziesz Królową. Czego do szczęścia ci więcej trzeba?

- A tak, kwestie szczęścia. Masz już wystarczająco dużo informacji, czy będziesz mnie jeszcze męczyć?

- Pomęcę cię jeszcze. Na razie prześlę informacje do Systemu, zajmie mi to chwilę, a ty się zapoznaj z twoimi nowymi kolegami. – Uśmiechnęła się jadowniczo.

Ruby Stein stanęła przed jedną z zagród aniołów. Rajskie, skrzydlate istoty pożywiały się właśnie mlekiem i owocami. Jeden z aniołów, zielonooki młodzian w szarawej sukieneczynie i z dużymi, śnieżnobiałymi skrzydłami popatrzył jej w oczy. Był to Gabriel, jeden z ich podopiecznych.

- Witaj – powiedział.

- Czy Mistrel jest dziś w nastroju? – Zapytała.

Odpowiedział jej szumem skrzydeł, podfrunął do niej w doskonały, wypracowany przez miliony eksperymentów nad mutacjami genetycznymi sposób.

- Jest – odparł, powrócił do jedzenia rajskiego jabłuszka. Było kwaśne jak cała prawda o Systemie Kontroli i o braku Boga, wysokiej, pradawnej technice i milionie innych spraw. Ale jadł je z wypracowanym przez wieki uśmiechem.

- Powiedz mi, byłeś ostatnio w Oranżerii? Mówiła coś niepokojącego?

Anioły funkcjonowały w inny sposób niż ludzie, czy demony. Jako nieśmiertelne istoty, mogły pozwolić sobie na długie chwile milczenia i zadumy. Jeden ruch u nich mógł trwać całe wieki. Konstruktor, czy Bóg wie kto, postarała się. A konstruktor – zachichotała.

- Czemuż to pani się śmieje? – Zapytał inny, dotykając szyby. Nazywali go Michael, jak tego z Biblii. Nie wiedziała dokładnie czemu w Biblii odgrywały taką rolę, przecież były tylko dość ciekawymi skutkami doświadczeń nad zwierzętami...

- Tak sobie. Jest więc Mistrel, czy jej nie ma? Można z nią porozmawiać?

- Pan Chinook u niej był – odezwał się Michael.

- Kiedy? Hubble! – Zawołała – Chinook był u Mistrel.

- Nie dziwię się – powiedział, zapalając papierosa. Stanowczo, za dużo palił.

- Nie wiesz, o czym rozmawiali? Michael, to ważne.

Anioł złożył białe skrzydła, i zamknął oczy. Po dłuższej chwili je otworzył, i zaczął tym anielskim głosem, brzmiącym jak cichy szmer burzy, która właśnie przeszła obok.

- Mówili o pewnym aniele, który miał czerwone skrzydła – powiedział jakiś trzeci anioł, o papuzio kolorowych skrzydłach.

Cholerne anioły, zawsze podsłuchują, a wybić się tej hołoty nie da – pomstował Hubble. Teraz będą plotkować, i za niedługo wszystkie anioły podniosą jakiś bunt, czy coś w tym rodzaju.

- Mówili pewnie o jego córeczce – uśmiechnęła się krzywo Stein.

- A skąd wy o tym wiecie? – Rozdziawił dziób Michael. – Czyli zostanie uwolniona?

Odchodzili podśmiechując się i rozmawiając.

- One są faktycznie jak dzieci. Idealne, głupie istotki – zachichotała po swojemu Stein.

- Swoją drogą, to źle, że mu nie powiedzieli prawdy – powiedział Hubble, gdy byli już z dala od aniołów. Usiedli na ławeczce przed Oranżerią. Sztuczne światło oświetlało krzewy owocowe w zagrodach. Było tak spokojnie i cicho. Ich wymówienia z pracy leżały już u Chinooka na biurku. Trudno. Tak to się dzieje, gdy okręt tonie. Szczury – zwierzęta bardzo zapobiegawcze i inteligentne opuszczają okręt, gdyż są o niebo bardziej sprytnie niż nadęty kapitan.

- Za dużo palisz. – Powiedziała Stein.

- Wiem, wiem. Chyba załatwię sobie nowe płuca, albo rzucę.

Charakterystyczny odgłos wózka Svedeckiego. Czyli przesłuchanie skończone. Jechał, uśmiechając się w najgorszy, ze swoich sposobów. A obok niego szła jedna z maszyn – Inn. Na szczęście słodka i nieszkodliwa jak czajnik elektryczny. Jak dobrze się z nią obchodzić, to będzie miła, i spokojna. A jak nie, to kopnie prądem.

- Niepotrzebnie się o mnie martwiliście, mili moi – zaczął.

- Co z Chinookiem? – Zapytała Ruby.

- A nic. Nic szczególnego. Poszedł do Mistrel. Ha, ha. Teraz, moi drodzy, możecie mnie zapytać, o co chcecie.

- A nie jest pan zmęczony? Cała noc przesłuchania...
 - To nic, nie takie maratony robiliśmy, co nie, Inn?
- Inn uśmiechnęła się naturalnie, usiadła obok nich i wyciągnęła z torebki piersiówkę. Upiła łyk.
- My też znamy historię – powiedziała Stein.
 - I to całą, mamy nadzieję.
 - Nie. Nie znacie całej. – Odparł Svedeki – ale i tak opuszczacie tonący okręt. Ilu zostało tu jeszcze pracowników? Czterdziestu? Wbrew pozorom, w pełni zmechanizowana struktura nie ma szans przetrwać takiego kataklizmu...zależy, co on zadecyduje.
- Hubble wyciągnął nogi przed siebie.
- Cokolwiek on nie zadecyduje, my przegramy. System Kontroli i tak padnie. Chinook był skończonym idiotą, myśląc, że to utrzyma. Swoją drogą, to kiepska sprawa z tym Rafaelem. – Zmienił temat. – Czy on wie, gdzie jest naprawdę jego córka?
 - Problem w tym, że nie wie. Może to i dobrze? – Uśmiechnął się Svedeki – gdyby się dowiedział, mógłby się załamać...
 - Ale co się z nim właściwie stało?
 - Został poddany pewnym brutalnym doświadczeniom, do tej pory tego żałuję, ale trudno, stało się, kiedyś byłem ciągle młody, i inaczej patrzyłem na świat. Ja, i Sarino Mat chcieliśmy zmieniać świat na lepsze, a Rafael był aniołem, na którym eksperymentowaliśmy. Okazało się, że za odpowiednim wynagrodzeniem zgodzi się na operację nadania płci, i może uda nam się naprawić ten błąd, stworzenie „jednorazówek”, nieśmiertelnych jednostek bez płci było bez sensu. Popatrz na nie – wskazał ręką na zagrody – te istotki w niczym nie przypominają prawdziwych aniołów, ale takie było marzenie Sarino Mat. Zawsze powtarzała – ONA MI KAZAŁA TO ROBIĆ, ONA DAŁA MI TA WIEDZĘ, JA TO MUSZĘ ZROBIĆ. Ale wiecie, dzieci?
 - Tak? – Wydmuchał dym Hubble przez nos, zastanawiając się nie bez niepokoju, jakich teraz rzeczy się dowie.
 - Rafael po nadaniu płci wciąż się nie starzał, a córeczka jego umarła w kilka lat po urodzeniu. Zatailiśmy to, tylko w tych dokumentach to pisze. Chciałem spisać prawdę, chciałem ją spisywać – zawiesił mechaniczny głos, Inn roztała mu palce, i podmuchowała je seksownym oddechem – żeby na starość pamiętać rzeczy tak, jakie one były, nim wiek mój odbierze mi zmysły doszczętnie. Dziewczyna nie odziedziczyła po nim nieśmiertelności, umarła w wieku pięciu lat, rozpaczal po tym, wtedy to zdecydowaliśmy się zmienić mu płć na męską. Nie protestował specjalnie, trochę pieniędzy, na tamte czasy to była duża suma – zaśmiał się – aniołki nie są takie święte, teraz może i są, ale kiedyś nie były, oj, nie były. Łase na pieniądze, na wszystko by się zgodziły, byle im posmarować! Teraz to inaczej się mówi, że my źli, że my je w niewoli...ale *dawno, dawno temu*...
 - I co z jego córką?
 - Kiedy umarła, ożywił ją sztucznie, przy pomocy taedzkiej magii. To był praktycznie chodzący trup, umieściliśmy ją w Wieży, jako Królową, chociaż prawdziwa Królowa już tam była zamontowana. Dziewczynka miała tyle przetrzymać, to znaczy, jej ciało, żeby przejść placem, pomachać, i tyle. I raz za czas grać rolę żywej osoby. Była trupem, nie cierpiała. Była jak maszyna.
 - Czemu nie użyliście maszyny, takiej jak Inn?
 - Nie chcieliśmy. To było i tak dość fałszywe, trochę mistycyzmu się przydało. W ogóle, to w naszej pracy mistyka była. Lemuria nie była prawdziwym miastem, tylko miastem fantazji...

pod nią grunt przygotował ktoś inny...

Tu stary się zamyślił.

- Dużo takich nieprawdziwych miast. Miasto Światła. Śmierci, Lemuria, Atlantyda... większość aniołów tam jest, dostają środki uspokajające i są grzeczne, idealne...przelecają najwyżej kilka metrów i już nie mogą. To mają być ideały? – Zmarszczył czoło, pokryte starczymi plamami – ona nie miała racji!

- Kto? – Zapytali jednocześnie, zdziwieni takim zafrasowaniem na twarzy starca.

- Sally Goo. Ale co my możemy? – Miał łzy w oczach – *teraz* możemy tylko się modlić, ha, ha, modlić, dobre sobie!

Ruszył przed siebie, śmiejąc się, i uderzając dłonią o klawiaturę.

- Rojenia starca – podsumował Hubble, przeciągając się.

Chinook stanął przed krzesłem. Pętla była dobrze zawiązana, teraz tylko...opuścić statek. To co usłyszał...to co zobaczył, gdy doszli do pięćdziesiątki czwórki. To było nic. To było naprawdę nic w porównaniu z tym, co...

Stanął na stołku.

Jeśli dobrze wyliczył, skręci kark, i będzie z nią w wieczności. Z Nią.

Sally Goo!

- Jeśli naprawdę istniejesz, idę do ciebie – wyszeptał, i założył sobie pętlę na szyję.

A potem odepchnął nogami krzesło od siebie.

Milion fajerwerków wybuchło mu przed oczami, i płakałby, gdyby nie to, że wcale kark nie został błyskawicznie złamany. Poczul, że popełnił błąd. Honorowy plan uleciał gdzieś. To była zła lina. Wierzgnął nogami, odpychając raz jeszcze krzesło. Ból miażdżonej krtani wyciskał mu oczy. Oby, oby tylko nie zsiąkał się...oby tylko...charknął. To nie był dobry sposób na śmierć...gdyby miał nóż, to by przeciął linę.

Fajerwerki ostatnich jego myśli przemykały mu przed oczami. Nie, nie w ten sposób. Lina wżynała mu się w szyję, jak nóż. Pętla zaciskała się coraz bardziej. Że też dobrze wybrał linę, że też wybrał taką mocną, że też dobrze zawiązał na niej węzeł, że też nikt tego nie widzi, i nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Chociaż to dobrze...to za chwilę się skończy i nikt nie powie, że uciekł, jak tamci. Że też tak się kończy Xandau...

Przestał się ruszać. Nie miał już siły. Zbyt mało powietrza, by walczyć o oddech. Pogodził się z tym, i zaczął obserwować świetlne wybuchy przed sobą. To nie była ona. Nie było jej, opuściła go, jak i cały świat...

Teraz on dołączy do rzeszy zapomnianych, haniebnie zmarłych dowódców.

Szarpnął się po raz ostatni.

- Chinook? – Usłyszał jak przez mgłę czyjś znajomy, zniechęcony głos.

I wtedy poczuł, że musi jeszcze chwilę powalczyć. By zobaczyli, że żyje, że ciągle żyje.

- Na operację – rozkazał Svedeck – maszyny ją chyba przeprowadzą, nie?

- Oczywiście, potem popełnią honorowe samobójstwo, jak zostało zawarte w tajnym statucie naszego instytutu. – Powiedziała Inn.

- Wyśmienicie. Proszę mi jak najszybciej podać środki uspokajające, i zainstalować części dostarczone przez Lekkaian...

Kilka maszyn wyszło mu na spotkanie przed salę operacyjną. Aż śmieszne, że ludzie tak bardzo upodobnili się ostatnimi czasy do robotów, że prawdziwe maszyny umknęły uwadze wszystkich.

Svedecki skupił się. Po operacji musi być całkowicie przytomny, by wykonać swoją misję do końca. Punkt pierwszy – niewypełniony przez Chinooka – uśmiercić Arnholma, który zostanie chwilowo pod opieką Inn2, potocznie nazywaną Anais Alger.

Punkt drugi – udać się do Mistrel. I czekać, aż wyda rozkaz.

Kobieta miała poplamioną krwią bluzkę. I płakała. Siedziała przytulając do siebie ciało Salieriego, i ciągle powtarzała te same słowa, jakby nie знаła ich znaczenia, powtarzała tylko wyuczoną frazę.

- Ja naprawdę nie chciałam, ja tylko chciałam, żeby wszyscy byli szczęśliwi... żeby wszyscy byli szczęśliwi...

A nad pustynią wznosił się nowy świt, i nikogo nie obchodziła samotna kobieta w zakrwawionej bluzce, która ścisnęła zmasakrowane ciało jakiegoś mężczyzny. A wiatr wciąż wiał, ptaki kojoty wciąż wyły, i nic się nie zmieniło... oprócz tego, że jakaś kobieta siedziała na jezdni w podartych rajstopach, i powtarzała, że chciała jedynie, żeby wszyscy byli szczęśliwi.

A kiedy nadjechał samochód, i wysiadł z niego rozhisteryzowany mężczyzna bez jednej ręki, który płakał, i powtarzał, że nie ma już nikogo, bo wszystkich opuścił i obojętny na wszystko facecik, ona rzuciła się na szyję pierwszemu, i zaczęła przeproszać, przeproszać, i jeszcze raz przeproszać, a potem odjechała mówiąc, że ma nadzieję, że choć kilkoro ludzi będzie szczęśliwych, a oni nie rozumieli nic, póki rany na ciele zmarłego nie zasklepiły się, i nastał nowy świt, i nowy cud.

A Salieri otworzył oczy, i uściskał brata.

- To dość wzruszające, nie widziałem jeszcze zmarłych powstających z grobów, ale prawdę mówiąc, to by wyglądało na koniec świata. Wnioskuje więc z tego, że ta kobieta to był Syn Boży, albo coś innego – zakomunikował ankieter, i żeby sprawić swoją wypowiedź autentyczną, podłubał sobie w ucho. – Tyle tych aniołów się i demonów porobiło – dodał, oglądając to, co wy dobył z ucha.

Hubert zaczął od razu tłumaczyć bratu, co się właściwie stało, że Rafael zachorował, i że nie mogli mu towarzyszyć, bo odfrunął tam, gdzie oni się udają. I że oni muszą odwiedzić Królową, i że wcale im nie grozi jej gniew...

- Ale kim ona była? – Zapytał w końcu, gdy jechali.

- To sprzedawczyni z baru w Mieście Śmierci... był też tajemniczy nieznajomy... który był jej bratem... i że – tu przycisnął pięści do oczu, by powstrzymać łzy – nie ma żadnej tajemnicy... nie ma żadnego wielkiego sekretu... bo kto by się trochę dłużej zastanawiał...

- Co?

- Ten by zwariował, a chyba nie chciałbyś, żebym zwariował? – Uśmiechnął się. Trochę dziwnie, tak, jakby właśnie powiedział własnemu, czterdziestoletniemu synowi, że co i owszem, ale Święty Mikołaj istnieje, jak najbardziej, mimo, że syn ten w tym momencie posadziłby ojca o wariactwo.

- Nie rozumiem – odezwał się ankieter. – Pan nie żył, a teraz pan żyje, jak ta baba pana ożywiła. Czyli ona, wedle wszelkich prawideł powinna być jakimś prorokiem, nie? Albo to, że pana tak urządziła. To ona pana pobiła?

- Nie. To zrobił... jej brat. Tak jakby.

- Pan coś kombinuje, ale nieważne. Wnieś pan skargę do sądu? Bo moja siostra to jest prawnikiem, i za takie pobicie ze skutkiem śmiertelnym to mógłby pan dostać niezłe odszkodowanie, chociaż z drugiej strony to pan z medycznego punktu widzenia już jesteś trup. Bije panu serce?

- Bije – odpowiedział mu Salieri, któremu powoli radosny i podniosły nastrój zaczynał mijać, i to z powodu tego faceta. Co za typ!

- To będzie pobicie, tylko to – ciągnął dalej – a tak w ogóle, to jestem Mieczysław Piżgał. Miłego ma pan brata, ten trzeci to też widzę, że nie z pana krwi. Anioł. Wiadomo. Teraz to znowu zrobię skok między wymiarami, co by do Królowej jak najszybciej dotrzeć, bo pewnie nie ma ochrony, i w ogóle...

- Przepraszam za pytanie – wtrącił Salieri – ale na czyje zlecenie pan pracuje?

- Na tylnym siedzeniu są ulotki. A kim ta kobieta była dla pana? Bo widzę, że nic pan się nie odzywa na jej temat...

Salieri wziął do ręki jedną z ulotek, wyglądały jak ulotki Świadców Jehowy, podrzucane czasem przemytem do Lemurii, w ramach kontrabandy dla kultu Wielkiej Nandii Nierządniczy, a treść była jak najbardziej demoniczna. Wielkie Królestwo Nierządu, pomoc charytatywna dla demonów...

- Niech pan już o niej nie mówi – powiedział do kierowcy – tak będzie najlepiej. Im mniej o niej wiemy, tym dla nas lepiej.

- Czyżby szpieg? – Zdziwił się pan Mieczysław Piżgał, po czym podrapał się z gracją w krocze.

Chinook leżał sam. Sam. Zupełnie sam. Kto go odciął? Nikt, to pewnie były omamy słuchowe, lina się zerwała... gardło bolało go, w głowie huczało...i w tym momencie kopniak podkutego, lśniącego od czyjejś krwi buta trafił go pod żebro.

- Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno – usłyszał, gdy zwinął się z bólu w kłębek. Stał nad nim jakiś facet delikatnej budowy, ubrany w czarną marynarkę poplamioną krwią.

- Kim ty jesteś? – Zapytał z wysiłkiem. – Ty mnie odciąłeś?

Odpowiedź przysła sama. Nieznajomy pochylił się nad nim, jego twarz miała wyraz upiornej radości. W rękę trzymał nóż.

- Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza a za złe karze. – Powiedział, i szybkim ruchem ręki uderzył go otwartą dłonią. – Nie urodziłeś się po to, aby zgnić. Czas dać świadectwo. – Uśmiech jak u jadowitej larwy, która w Teatrze daje popis swoich zdolności.

- Do cholery, kim ty jesteś...

- Chwalmy Pana! – Wykrzyknął. Nieznajomy tanecznym ruchem nóg kopnął go w krocze, po czym podniósł do góry za włosy. – Nie nosisz tupepika! Ha, ha! Facet z jajami!

Chinook opierał się o ścianę. Nóż...gdyby mu odebrać nóż.

- No? Uwierzyłeś starcowi, który znał tę, która próbowała pieprzyć bezpłodne anioły na sawannie? – Zapytał, podskakując. Nie czekając na odpowiedź, kopniakiem ściął go z nóg, i tanecznym krokiem skoczył mu na klatkę piersiową, Chinook wykonał unik, byle do drzwi, wybiegnie stąd, i ucieknie, ktoś z obsługi, choćby maszyna, choćby maszyna...

- Nie uciekaj! Ja cię przeprowadzę przez dolinę rozpaczy, ze mną nie lękaj się niczego! – Wołał, tańcząc.

Szaleniec, co za szaleniec...

- Znasz Sally? – Zapytał Chinook.

- Czy ją znam! – Prychnął, nóż tańczył w jego rękę, ten wariat był jednym, płynnym ruchem, nim spostrzegł się, już w rękę miał linę, owinął ją wokół szyi Chinooka, i pytał – Czy chcesz się z nią spotkać? Czy nadal chcesz? Starzec ją zna, dlatego ciągle się śmieje...ale to nie potrwa długo...bo operacja się nie uda, nie poddawaj się! – Przydusił go – nie lękaj się niczego! – Kopniak sprowadził ofiarę na klęczki, dusił się, a nieznajomy zaciskał mu sznur na szyi, coraz

mocniej, i mocniej... - chodź ze mną, a nie spotka cię nic złego! Jak siedem gromów, których Jan spisać nie mógł, bo zabroniła mu to fauna i flora Afryki! Chcesz się dowiedzieć, co każde małe zwierzątko krzyczałoby, gdyby mogło?

Nie mógł nic powiedzieć, nie mógł się bronić...

- Sally...Goo... - wyszeptał mu głosem podrzędnej dziwki z Placu...- oto Sally! – Zawył, wbijając mu kolano w kręgosłup. – Nie urodziłeś się po to, aby tu zgnieć! Wstawaj! – Podniósł go w górę – czas dać świadectwo! Tam gdzie końca tego Systemu chłodny świt! Chwalmy Pana! Alleluja!

Chinook wleczony przez tego psychopatę wiedział, że jeśli zgubi krok, zostanie znów pobity przez niego. Szli korytarzem w stronę skrzydła szpitalnego. Tam ktoś będzie, ktoś, kto mu pomoże...

Zza węgła wyszła pielęgniarka, o urodzie nordyckiej, w zielonym kitlu, pod spodem miała tylko lekką bluzeczkę w kwiaty hawajskie i spódniczkę.

- Ratuj!

A ona przystanąła, rozpięła bluzkę, przycisnęła do skóry piersi palce.

- Na Boga! Ratuj! – Wrzeszczał. – Nie widzisz, co się ze mną dzieje?!

- Chwalmy Pana – powiedziała mechanicznie, jak to mówią wierni, gdy na mszy po raz któryś klękają, i nie rozumieją sensu swojego obrządku, i wbiła paznokcie w swoje ciało. Chinook wytrzeszczył oczy, i zaczął wrzeszczeć, upadł na kolana, i nie rozumiał, nie rozumiał...

A ona rozdarła swoją skórę, choć nie była maszyną. Odkryła bez bólu żebra i skonała, twarzą do ziemi.

- I żebyś cyrków nie robił, bo Bóg jest sędzią sprawiedliwym... - szepnął łagodnie nieznajomy. Chinook patrzył na niego – jego ubranie było już czyste, a twarz wyglądała jak proste szaleństwo.

Powlekli się odludnym korytarzem, do sali, gdzie operowany był Svedecki. Usiedli na ławce pod ścianą, a nieznajomy jak gdyby nigdy nic wyciągnął papierosa. Zapalił. Był to damski, długi papieros.

Założył nogę na nogę. Chinook dałby sobie rękę uciąć, że było w tym coś babskiego, w tym sposobie bycia. Gdy ten szaleniec napotkał jego wzrok, odwrócił się. Nie chciał być znowu bity.

- Chwalmy Pana, co nie? – Zagaił, wydmuchując dym. – cóż to za dzień, który dał nam Pan...Alleluja! Wiwat Gospel Music!

- Kim ty jesteś? – Zapytał, dygocząc.

- Boli, nie? Ale ile Hiob wytrzymał, odrzucając dary Szatana, a Bóg co mu dał? Bóle i cierpienia, lecz Pan jest wielki! – Mówiąc to wznosił ręce do góry – a potem dał mu Pan Nasz tyle dóbr!

- Pan jest wielki, tak – wyszeptał Chinook. W odpowiedzi nieznajomy zaczął go kopać po całym ciele, Chinook zasłaniał się, próbował się bronić, ale w końcu leżał bez ruchu, a tamten ponownie usiadł na ławeczce, i oparł buty o jego plecy – Sam nie wiesz, o czym mówisz! – Zawołał.

- Jest jak grom, jak salwa armatnia! Jak fajerwerki! – Kontynuował już spokojniej, choć z tym samym szalonym cieniem w głosie – jak się okazało, nie lubisz fajerwerków, bo parzą, z kim ty na Boga próbowałeś grać? Poison czy Poisson?

- Co?

- Cicho siedź! – Kopniak, który sprawił, że ofiara przestała się ruszać – Ty nic nie wiesz! Próbowałeś grać! A trucizna, czy ryba, tobie to obojętne, taki tępak, na tak ważnym stanowisku!

Wstyd na całe Xandau! – Cios ręką w ciemnię.

Kilka godzin później drzwi sali otworzyły się.

Svedecki miał nowe ciało. Mechaniczne. Resztki skóry pod nowymi, idealnymi implantami. Rozejrzał się i powiedział:

- Chwalmy Pana!

Jego szeroki uśmiech sprawiał, że Chinook zadygotał. Nie rozumiał tego, co się dzieje. Inn zapaliła papierosa od nieznajomego. Usiadła spokojnie i zapytała:

- Mogę chociaż dopalić?

- Oczywiście, słodka Inn.

Śmiech Svedeckiego, zardzewiały głos starca, który po latach całych odzywa się, i mówi:

- Po co ciągniesz to ścierwo?

- Myślałem, że je lubisz – odpowiedź nieznajomego – mogę je w każdym momencie zabić. Już się nie broni.

Chinook tkwił pod ścianą. Przerażony i zniewieściały. Co mógł zrobić? Svedecki się poruszał, chodził, mówił, już nie był obleśnym, lekko zwariowanym staruszkiem, macającym pielęgniarki. Był kimś strasznym. To tak, jak z miłego pieska nagle wydobywa się bestia.

Nowe ręce. Silne ręce. Lekkaian. Że też to przeoczył. Nie sprawdził, co to za partia. Błąd wielkiego głupca, największego głupca... największego głupca w dziejach świata...

Svedecki podniósł go do góry za głowę. Poczował, że zaraz jego czaszka pęknie. Rozpęknie jak arbuz, zaczął wrzeszczeć, bo ktoś musi tędy przechodzić, ktoś ich zauważy, wezwie pomoc...

Rzucił nim o podłogę.

- Próbował się wcześniej powiesić, że ma takie szramy? – zapytał starzec.

- Tak, ale potem ja mu pomogłem. I już nie chciał umierać. Tak to jest z samobójcami, że Bóg ratuje ich lekką ręką przed śmiercią. – zgasił pod butem peta.

- Zapalę sobie – powiedział Svedecki. Wziął papierosa i zapalił od nieznajomego. – co u Sally?

- Widzę, że już nie śmiejesz się, tak, jakby była nie wiadomo kim...

- Nie ma o co się zastanawiać. Im człowiek dłużej myśli, tym bardziej kołowacieje.

Chwalmy Pana!

- Alleluja!

Ruby Stein zobaczyła idącą przed sobą maszynę. Maszyna ta szła dziwnym krokiem nieco tanecznym, płasającym jakby zaraz miała się przewrócić. Na trzy metry przed sobą, zatrzymały się, Ruby zapytała na wszelki wypadek. Czy wszystko w porządku, a maszyna, mająca postać młodzieńca, ukłękła.

- Czy już wiadomo, co zdecydował Syn Plugawy? – Zapytała Stein. Przełknęła ślinę. Dziwne zachowanie maszyny, może to samobójstwo honorowe? Na wszelki wypadek odbezpieczyła broń.

Maszyna nie robiła nic, póki nie stanęły obok Ruby trzy osoby. Z początku nie zwracała na nie uwagi, bo maszyna zaklekotała szczękami.

Rozejrzała się. Nikogo. Nikogo tu nie było. Po chwili jednak usłyszała za sobą wrzask.

Chinooka. Był bardzo pobity, ledwie szedł. Zamiast lewego oka miał olbrzymią, krwawiącą śliwę, ubranie podarte. Rozcięty prawy policzek. Spuchnięte ręce, jakby ktoś je deptał.

- Co panu się... - zaczęła, rozglądając się za Hubble'em.

- Oni... Svedecki... chodzi... - wybełkotał. Z ust ciekła mu ślina zmieszana z krwią. Nie

miał zębów z przodu. Plamił jej mundur...był przerażający, odsunęła się, zapytała raz jeszcze:

- Co panu się stało?

Maszyna za nią leżała teraz spokojnie. Po chwili wygięła się w pałąk.

Stein nie wiedziała, co robić. Stała tak, by widzieć lepiej sytuację maszyny, młodzieniec, należący do tej pory do ekipy karmiącej anioły mógł w każdej chwili się na nią rzucić, a Chinook nie. Maszyna rozdarła sobie skórę na piersi i skołała.

- Oni...tu są – wyszeptali były głównodowodzący. – Hubble...czy on też ma broń?

- Kto pana tak urządził?

- Wariat...który jest...sam nie wiem...ale on teraz tu chyba...on, i Svedecki...oni chcą...

- Nowe Xandau – głos pochodzący z trzewi maszyny.

- Tak...chyba to. Pomóż mi, muszę się ukryć...nie! Nie!

Szli. Svedecki. Już po operacji, która przecież zafundował mu Chinook. I jakiś zgrabny, młody mężczyzna z damskim papierosem. Uśmiechał się dziwnie.

Ranny na czworakach uciekał w stronę zagród. Wpadł na idealną lalkę...

- Ty nie w Oranżerii? – Zapytał Svedecki. W głosie jego był i szacunek i jakiś lęk.

- Cóż wy tu robicie? – Zapytała. Odepchnęła od siebie rannego. Po raz pierwszy robiła coś takiego – zauważyła Stein. Nawet wyglądała inaczej niż zwykle, nie było w niej już tej łagodności idealnie naiwnego aniołka, co kiedyś. Podeszła płynnie do nieznanego i podała mu rękę. – Pani Stein – zaczęła – i pan Hubble nie muszą udawać się na Ziemię, by reprezentować interesy ludzi przed Synem Plugawym. Zajmą się tym inni ludzie, bardziej kompetentni co do tego, bo to im najbardziej zależy na szczęściu swoim – powiedziała – pozostać tu muszą jednak cali i zdrowi, by dowodzić tym miejscem...

- Skoro tak pani uważa? – Uśmiechnął się szyderczo nieznanomy, choć dygnął, i odsunął się od niej, by wykonać przed nią pełny ukłon. Ona również odwzajemniła mu ukłon, z wyższością i delikatnością.

- Widzisz, ja chodzę, dzięki temu oto panu – wskazał na rannego. – Nie odwzajemniłem mu w pełni mojej wdzięczności, choć może to i dobrze...czy Syn Plugawy coś już zdecydował?

- Nie. Nie wypowiedział także Imienia, ale z informacji, które do mnie napłynęły ze strony pani Mauny, mojej złej siostry, jego decyzja może być łaskawa...nie rozmnożył się jeszcze Syn, i mogą być z tym duże problemy.

- Czyżby był kochający inaczej? – Zachichotał damskim głosem nieznanomy i ruszył w stronę Chinooka. Ten zaczął wierząć nogami, pełen strachu, bólu...

Sporej wielkości skrzydła batezki zaimponowały Armalowi. Nie ma co, ma czym panna oddychać – podziwiał też wspaniale rozwinięte mięśnie klatki piersiowej, ale jego uwagę przykuł młody, może dwudziestoletni naiwny wampirek stojący gdzieś z boku, popijający nerwowo krew z karafki stojącej na czarnym, metalowym stoliku ze szklanym blatem. Pod blatem znajdował się kuty wzór pajęczyny. Co za gotyckie bezguście...wampirek też bez gustu. Ubrało się to to w czarny, skórzany płaszcz, żeby go wiatr rozwiewał, do tego koszula z babską koronką i muszka. Kołnierzyk elegancko zakrwawiony, jakby źle się ogolił, albo poplamiał przy jedzeniu. Ciekawe, czy ten wypłosz zabił już w swoim życiu kogoś...

- Dzień dobry wszystkim – powiedział Armal, uśmiechając się szeroko jak larwa – nazywam się Armal, nazwisko nieustalone. I jestem Synem Plugawym...

Axe wyżerała z suto zastawionego stołu jakieś koreczki z galaretki imitującej ludzkie oczy. Reszta słuchała. Armal poczuł się dziwnie, jak ci wszyscy wypłosze gapią się na niego z nabożnym lękiem, a te dwa Batezu gapią się na niego, jakby chciały go rozszarpać.

- No więc – odchrząknął, i wziął ze stołu szklaneczkę wody. Chyba nie zatruta. Chyba dobra... że też dał się w to wpakować. Mógłby teraz siedzieć w brudzie wszelakim, ale za to bezpiecznie, bez zbędnej widowni...

Sala odczytowa przy pałacyku była pełna. Pod mównicą, gdzie stał przy mikrofonie Armal stał szeroki i wielki stół zastawiony różnościami, a dalej były krzesła, na których siedziały demony. Różnej maści, różnego koloru. Baszanci... szerokoustne i śmierdzące larwy, Batezu z wielkimi skrzydłami, napuszone kościeje, jakieś wampiry silące się na powagę, i Axe, która z kilkoma baszantami myszkowała przy stole.

Poczuł, że Mauna, stojąca za nim bodzie go końcem skrzydła.

- Chciałbym podziękować najpierw... - zaskowyczał do mikrofonu, który odpowiedział wysokim piskiem od którego wrażliwe uszy wampirów zaboląły – firmie dostarczającej jedzenie, dzięki wielkie... ghe, he...

- Powiedz, że ich uwielbiasz – syknęła Mauna. – Takiego idioty jak ty jeszcze nie widziała...

- No więc... - znowu pisk, tym razem jakiś baszant przy stole zaczął się krztusić koreczkiem – proszę o spokój. I oddaję głos... - tu wypchnął Maunę – mojej strażniczce Maunie. Ten metalowy anioł jest... mroczny. Bardzo. Chciałbym też przy okazji podziękować sabatowi...

Axe zaczęła walić dławiącego się baszanta w plecy.

- To był właśnie Syn Plugawy – powiedziała do mikrofonu Mauna. – I...

- Masz tremę, też masz! Przyznaj się! – wysyczał ze złościwą, plugawą radochą Armal. Wyszedł na kulisy. Niech ona zabawia gości. Jak on ma rządzić Królową, a ona nimi wszystkimi, to niech sobie tam rządzi. A niech mu dadzą już spokój.

Wyszedł do małego pokoiku i zapalił papierosa. Po chwili wszedł tam ten młody wampirek, który stał na sali.

- Dzień dobry, mogę autograf? – Zapytał śmiało.

- Nie! – Wrzasnął Armal. – Czego pan ode mnie chce? – Zapytał jednak, podziwiając wątle ciało chłopaczka.

- Podpisu – podał mu jakiś kajecik.

- A po cholere?

- To...nie?

- Nie! Jak chcesz, to się ze mną dziś w moim pokoju spotkaj, a nie zwracaj mi głowy jakimiś zeszytami.

- Naprawdę? Do zobaczenia! – Wampirek wybiegł cały w skowronkach. Wiadomo. Swoją swojego pozna.

I wtedy otworzyły się drzwi.

Weszła. Szeleściła brązową suknią, spod której wyrastała czarna koronkowa halka. I miała... czerwone zęby, jak Mauna, takie mocne, że gdyby tylko chciała...to...długie, kręcone włosy sływały na jej ramiona, i krągłe piersi. To tylko komputer, podasz IMIĘ!

- IMIĘ! – Powiedział...

W tym momencie powrócił ten potworny ból głowy. Zaczął się zwiijać z bólu. A ona była coraz bliżej, i bliżej...nie, nie Armal. Nie bój się – szeptała, a jej głos był jak ironiczny śmiech mewy nad zdechłą rybą.

- Zapomniałeś? – Zapytała, a różowy język zatańczył na jej wargach. Miała idealnie wyprofilowane, kocie oczy. Fioletowe. Z jasnymi obwódkami wokół źrenic. To nie był demon. Żaden demon nie ma dwóch par skrzydeł. Nawet najbardziej ważne spośród Batezu.

- Nie... nie zapomniałem – wymamrotał, odsuwając się. Czuł, że jeszcze chwila, a się

posika. Że zsika się ze strachu i z napięcia...

- POWIEDZ W TEJ CHWILI TO IMIĘ! – Szept silny jak kaskada wodospadu, w który spada...

- Jak to szło...

- Zapomniałeś! Jak mogłeś idioto? – Skrzek harpii nad taedzką granią, harpii która porwała właśnie syrenę górską, i zabija ją...

- Nie zapomniałem, daj mi się skupić... Melitzarelle, tak? – łypnął na nią.

Czuł się o niebo lepiej. Wstał, otrzepał się. Poprawił rękawiczki na swoich pazurkach.

- I co teraz? – Zapytał, patrząc, jak ona kłania mu się, i mówi coś pod nosem.

- Teraz – zwróciła się do niego. Nie była w sumie taka straszna. – Wydawać mi możesz rozkazy, i za moim pośrednictwem rządzić nimi wszystkimi. Rób co wola twoja, a będzie ona twoją siłą.

- To najpierw – zająknął się - przynieś mi drinka.

Armal stał na balkonie tego całego pałacyku i skubał kwiatka, z nerwowym spokojem kota usypującego we własnej kuwecie babkę ze żwirku. Tamci na dole bawili się, pili drinki, a on jakoś nie mógł.

- Co ci jest? – Zapytała Axe, która o dziwo nic nie wypła.

- Nic. – Mruknął.

- Ale widzę, że coś ci jest. Wiesz? – Podjęła – powiedziałam tamtym, że zamurowałeś mnie, żeby tamci mnie nie znaleźli, i że sam pojechałeś za mięsem w inne tereny, i że taki dobry dla mnie jesteś, i że zawsze byłeś plugawy...

- No to jestem ugotowany. – Sapnął – coś jeszcze?

- Dobrze te koreczki z masą z mielonki, musisz spróbować – podała mu jakieś wykwintne danie. Coś ci jest. Powiedziałeś w końcu Królowej, jak się nazywa?

- Tak – przycisnęła kciuk do czoła – tak, ale stchórzyłem. Myślałem, że będzie inaczej... ona rzeczywiście...

- Co? Chyba się nie bałeś?

- Nie skądże. Zaraz tam do was pójde...

Nie wiedział, czemu przypomniała mu się ta syrena z oceanarium. Kiedyś miał ten skok w bok, potem się nawet trochę z nią spotykał. Przynosił jej ryby.

Lubiła opowiadać o życiu w morzu, ale prawdę mówiąc, nie tęskniła za nim.

Mówiła, że Lemuria to pójście na łatwiznę, i że większość demonów stąd nie przeżyłaby nawet jednego dnia na wolności. Teraz widział, że miała rację. Zaraz...jak jej było na imię? Sasskhaya? Syrena rekinia, drapieżnik. Sass mówiła, że podoba jej się życie w miejskim ośrodku wodnym, że ma tu zagwarantowane żarcie, dwa razy dziennie ryby, a nie musi uganiać się za nimi w morzu, do tego to, że nie musi obawiać się większych od siebie drapieżników. W sumie, miała rację, wygodnie się urządziła. Narzekała nieco na brudną wodę, ale i tak przez gros czasu wylegiwała się na kamieniach, zadowolona i zębata.

Co ona powiedziała? Mój ty mały, dziki aborygenku... jak mi z tobą dobrze było...

Uśmiechnął się. Miała szare, rekinie oczy i piłowate zęby. Do tego wąski, szary ogon i kostną kryzę wokół szyi. A obok niej leżała jakaś ryba, poczęstował się, a potem przyszedł czyściciel basenu i kazał mu się wynosić.

Zeszedł na dół. Impreza trwała, Mauna zdybała go i wzięła za rękę.

- To dobrze, że już to masz za sobą, nie było aż tak strasznie. Co nie? – Uśmiechnęła się.

- Nie było strasznie, ale co teraz mam zrobić?

- Zadecydować. O szczęściu.
- Znowu? –Jęknął.
- A co do tej pory rozkazałeś Milenium?
- Żeby przyniosła mi drinka. I żeby wymasowała mi stopy. Dobra z niej służąca...
- Ty pętaku! Kanalio... - wysyczała Mauna – to nie jest twoja służąca. Ona jest połączona...
- Wiem, wiem. To gdzie teraz jest? – Spytał. – Pogadam z nią.
- Mauna wskazała mu salę na górze, gdzie teraz był jej gabinet, coś w stylu sali tronowej.
- Ale przyjmuje gości. Przyjechali do niej strażnicy i pan Mieczysław Piżgał.
- Ankieter? – Kły wysunęły mu się z dziąseł, a włosy na karku zjeżyły.

Salieri skłonił się przed majestatem Królowej. Było w niej coś groźnego i majestatycznego zarazem. Jak surowa, dobra władczyni...

- Wasza rola zakończona – powiedziała ku zdziwieniu wszystkich. – Ochronę dla mnie stanowi teraz ktoś inny. Potem wybrani zostaną nowi strażnicy – dodała. – Cieszcie się zatem wolnością swoją.

- A co z trzecim? – zapytał Hubert.
- Rafael...
- Tak. Co z nim? Nie wiemy, gdzie on może być.
- On...tu będzie. Ale nie jest już strażnikiem. – Wstała. Mówiła urywanymi frazami, jakby była duchem gdzie indziej.
- My też nie jesteśmy... - zaczął Salieri nieśmiało.
- Powstańcie, nie macie przed sobą już władczyni – odezwała się, i wstała z tronu, rzeźbionego w demony i wyobrażenia Piekieł. – A Rafael już jest kimś innym.

- Jak to?
Rzuciła przed nich niedbale walizkę, która stała obok jej siedziska.
- Przekazać to miałam wam i zwolnić ze służby. Oddalście się jak najszybciej.
Dwa Batezu odprowadziły ich do drzwi.
Za drzwiami, również rzeźbionymi w piekielne wzory otworzyli walizkę. Była w niej teczka, zaśniedziała ze starości, pożółkła. Salieri zaczął czytać. Było to w mowie chaosu...

Po chwili odłożył ją.
- Co tam pisze? – Zapytał bardzo zdezorientowany Hubert.
- Jedźmy stąd. – Salieri poszarzał na twarzy.
Faktyczna dokumentacja choroby Rafcia... z której wynika, że tak naprawdę, to nigdy nie był chory. I że właściwie, to teraz jest wreszcie zdrowy. Nie. To niemożliwe, to zabije Huberta...i to, że to...

Wpadł spowrotem do sali tronowej.
- Wiedziałaś, że będziesz chciał wyjaśnić – powiedziała. – Auroth, Nierika, wyjdźcie – poleciła do dwóch swoich strażników. Tamci posłusznie wyszli. – czego chcesz się dowiedzieć?
- Czy one...ciągle są istotami dobrego ducha?
- O kim mówisz? O aniołach?
Przytaknął. Królowa w odpowiedzi podeszła blisko. Bardzo blisko.
- Z wyrazu twojej twarzy sędzę, że znasz Sally. Wszyscy ją w jakiś sposób znamy, i nie chodzi tu o Sarino Mat. Konstruktorkę. Nie wiesz, kim ona jest, wiem o tym. Ale znasz Sally o wiele lepiej niż my wszyscy razem wzięci, bo zrozumiałeś, że nie ma sensu zagłębiać się w to, kim ona jest. Wystarczyłoby gdybyś teraz powiedział słowa – Ryba i Trucizna. I to by znaczyło,

że zabił cię jej brat, ale ona z jakichś pobudek przywróciła cię światu.

- Ale co ty mówisz? Skąd...

- Bo żyję dłużej niż ty. W tej chwili ktoś na całym tym Bożym i Bezbożnym zarazem świecie cierpi bardzo, tak samo, jak ty cierpiełeś, bo chciałeś poznać tajemnicę Zatrutej Ryby. Kobiety i jej brata. Którzy są razem bardziej niż ktokolwiek inny. I dobrze wiesz, że nie warto mu pomagać, bo on sam musi do tego dojść, do czego ty doszedłeś. Ale to nie ma sensu. I że strzeliła sobie w głowę jedna z tych, które zobaczyły zbyt wiele. A ty, nie chcesz sobie strzelić w głowę?

Jadowity uśmiech larwy.

- Nie boję się ciebie. I nie wiem o czy mówisz – uśmiechnął się. – Naprawdę nie wiem! Jaka kobieta?

- Zapomniałeś? – Zmarszczyła brwi.

- Pamiętam panią Sally Goo – powiedział z uśmiechem – ale nie pamiętam kogoś takiego, jak jej brat. Ona mieszkała sama. Nie wiem, skąd Wasza Wysokość ją zna, ale nie mnie to sądzić. Faktycznie smutne, że ktoś z jej powodu cierpi, ale w tej chwili potrzeba mi wiedzieć...czy mój brat Rafael jest szczęśliwy?

- Zapomniałeś więc – szepnęła z dziwnym smutkiem. – Ale czym jest szczęście?

- To dla każdego chyba znaczy coś innego, prawda?

- Tak – powiedział Armal, wchodząc do sali. Widać spieszyło mu się – każdy ma co innego na myśli, jak mówi o szczęściu, ale gdzie jest ten ankieter? Muszę go znaleźć!

- Wyszedł na balkon – odprawiła go Królowa, i kontynuowała – nie mnie sądzić, czy jest on szczęśliwy, czy nie. Ale wiem na pewno, że pański drugi brat, najszcześniejszy będzie, gdy wyjedzie stąd. Bo Rafael tu przybędzie lada dzień.

- Ale gdzie mamy się udać? – Batezu was zawiozą. To wspaniałe miejsce na emeryturę... a pański brat, proszę przekazać Hubertowi, że będzie szczęśliwy taki jaki jest. I że nigdy nie chorował.

Armal był już na jego tropie. Węchem wyczuwał go, szedł powoli za zapachem jego gazów. W jego głowie przewalały się słodkie obrazy turlającego się po ziemi łba, rozsypanych zębów, potłuczonych okularów, wbitych w gałki oczne i najlepsze – jego przedśmiertnych jęków!

Stał dwadzieścia metrów od niego, ale nikt nie spostrzegł się, że coś było nie tak. W tym korytarzyku było może z sześć osób, trzy wampiry, wszystkie były w istocie zarażonymi ludźmi, rozmawiające ze sobą spokojnie przy krwawych drinkach, i trzy młode larwy, roześmiane, flirtowały z...Mieczysławem Piżgałem. Ten niczego się przecież się nie spodziewał. Stał tak, i pił tego drinka, krwawego drinka, mówiąc, że dziwne te transgeniczne pomidory.

- Co ty chcesz zrobić? – Usłyszał za sobą głos Mauny. – Szukałam cię wszędzie...

- Skąd on się tu wziął? – Wycharczał.

- To jest jeden z najlepszych pracowników sabatu, ma tak zwany szósty zmysł...

- Ja panu łeb urwę! – Ryknął Armal.

Ankieter wzdrygnął się, i popatrzył na niego zdziwiony.

- O, to pan...pan naprawdę jest synem plugastwa? Jak miło... - zaczął, i podszedł by podać mu rękę.

- Zabiję! – Ciągnął powoli, opętany demoniczną ułomnością – bestialstwem. Podobno coś takiego zawsze się zdarza – pomyślała Mauna z niepokojem. Przystają myśląc, tylko idą na cel... ale to Syn Plugawy, może przemówi mu do rozsądku...przychwyciła go i uszczypnęła.

- Daj spokój. To tylko zwykły człowiek...chyba nie chcesz sobie zrobić wroga z tych wszystkich demonów? Wielu z nich uratował od śmierci, daj sobie spokój...

Armal miał żądzę krwi w oczach. Zaryczał. Jego kły przypominały teraz zęby największych demonów, które miał okazję w swoim życiu zeżreć...

Obecne na korytarzu upiory dziwnym trafem wyszły, zostawiając faceta i demona samych sobie, ładna mi wdzięczność za uratowanie życia – pomyślała Mauna. Długo Armala utrzymać nie mogła.

- To rozkaz! Nieodwołalny rozkaz! Masz mnie puścić! – Wrzasnął głębokim, chrapliwym głosem.

- Ale co ty właściwie mu zrobisz? Zjeść go chcesz? Przecież on nie będzie strawny! To przecież...popatrz, co to za człowiek, takiego chcesz zjeść?

- Ja go nie zeżrę! Ja mu łeb urwę! On mi powiedział, że nie jestem demonem! Spił mnie i wykorzystał!

- Ja? To pomówienia! – Zaskowyczał ankieter, cofając się strategicznie, by demon – wyglądający teraz naprawdę demonicznie nie ochlapał go śliną obficie kapiącą mu pomiędzy zębów.

- No widzisz...to nie jest rozkaz...to nerwy, uspokój się... - mówiła Mauna. – Co ci ten pan zrobił?

- Niech mi odda moje świadczenia kombatanckie! – Ryknął, i w tym momencie wyrwał się metalowej anielicy. Wygięty w pałąk ryczał, zerwał z siebie płaszcz pazurami, i uzbrojony w kły i pazury, ruszył przed siebie, pochylony, ogarnięty żądzą...

- Świadczenia kombatanckie, oddaj mi świadczenia kombatanckie – a to było na jego oczekujących wściekłością ustach...

Ankieter zaczął uciekać zdjęty nagle czymś w rodzaju instynktu samozachowawczego, zbiegł po schodach, a diabeł wcielony za nim...a za nimi Mauna. W połowie schodów złapała potwora, i wrzasnęła do człowieka:

- Powiedz mu pan, że dostanie te świadczenia...dalej!

- Dobra! Dostanie pan...

- Głośniej! Długo go nie utrzymam, on dostał wścieklicy! To się nazywa berserk u takiego...

- Dostanie pan te świadczenia! I dołożymy dwieście tysięcy dolców na działanie funduszu emerytalnego dla pana...

W tym momencie wyrwał się i z dzikim ujadaniem na czterech łapach rzucił się do niego.

Ankieter zasłonił się rękami, i wtedy wydarzył się...

Cud? Mauna zamrugła oczami.

- Abym wiedział, ile to dla niego znaczy, to bym mu wtedy nie mówił, że nie jest demonem...- wyszeptał nieco zdziwiony ankieter, i by jego słowa zabrzmiały lepiej, podrapał się w tyłek.

Armalowi coś się stało. Demony już stały na schodach, zdjęte podziwem i... Strachem? Czyżby to ten cud?

Armal nie miał już rąk. Cztery mocne łapy rozrywały dywan na schodach. Ciemność zatańczyła na jego ciele, pod skórą przesunęły się wśród łądźwi sznury robaków. Mięśnie rosły, szczecina wzdłuż karku i pleców zjeżyła się.

Ryknął. Jego krzyk rozbił szyby w najbliższych oknach.

- Uciekajcie! – Wrzasnęła Mauna do gromadzących się wszędzie członków sabatu.

Salieri pośpiesznie wepchnął Huberta do auta. Kierowcą był spory wampir.

- Będę waszym kierowcą, ale jedynie do świtu – powiedział, ruszając z piskiem opon.

- Czemu stąd wyjeżdżamy? Co ona ci powiedziała? – Pytał rozgorączkowany Hubert.

- Nie wiem... jedźmy, później ci powiem, kiedyś...

- To ma związek z tą kobietą z autostrady? – Zapytał.

- Jaką do cholery kobietą? Królowa też mnie o nią pytała, nic nie pamiętam, wiem, że byłem pobity, ale przez kogo to już nie wiem, może byłem w jakimś szoku, czy coś, ale ty będziesz w gorszym szoku, niż ja, jak się stąd zaraz nie zabierzemy!

- A co, kościeje tańczące kankana bez bielizny? – Zażartował Hubert, by rozwiązać napięty nastrój. Rzeczywiście – jego brat nie pamiętał nic. Kiedy jechali, zasnął, a potem nie mówił już nic o tym wypadku, teraz zajrzał do teczki, przejrzał ją, a potem wparował do Królowej jak gdyby nigdy nic, a potem... potem zabrał go jak najszybciej. Dziwne to, ale trudno... - kiedy zobaczymy Rafaela? – Zapytał.

- Na pewno nas znajdzie tam, gdzie się udajemy.

- A gdzie my jedziemy? – Zapytał – gdzie my właściwie się wybieramy?

- Mauna Lekka. Wyspa na morzu Holgerstroma, fundusz Xandau zajmuje się wszystkim, by państwu dogodzić, na złotych latach emerytury – powiedział wampir rzeczowo. – Ja jestem wampir Armand, i będę waszym kierowcą do świtu, potem niestety musimy zrobić sobie przerwę, żebym mógł się przespać. Trumnę mam na lawecie, jak państwo zauważyli, to karawan, państwu ufundujemy postój w Hotelu Imperia na Xanxili Patiami, żebyście mogli zakosztować rozrywek na starość...

- Ale co z moim bratem?!

- On też dotrze do miejsca przeznaczenia, zostanie po niego wysłany nasz najlepszy agent, Mieczysław Piżgał. Zaraz z rana.

- Czemu tak szybko musimy stąd odjechać?! – Wrzasnął Hubert.

- Królowa tak rozkazała. Poza tym w tej chwili w Willa Diodati było trochę niebezpiecznie. Sam Syn Plugawy rzucił się na kogoś. Ja tak w ogóle, to nie wierzę, żeby naprawdę był coś wart. Jego przemówienie było fatalne, co za prezencja...brak mi słów. I ta jego...kochanka, przyjaciółka, czy współpracowniczka – kontynuował zwalniając – co za demon! Jaka fatalna samica. Uważam, że to nie warte było tyle zachodu, żeby ją utrzymywać przy życiu, jak on to zrobił!

- Ale niech pan nie zmienia tematu! – Pieklił się jednoręki. Jednak postanowił przestać się kłócić. Skoro Salieri był spokojny...to może i on? – Co pisze w tej teczce? – Zapytał zrezygnowany.

- Nic. Tylko to, że Rafael czuje się dobrze. Śpij, jutro wypoczniemy.

Salieri obserwował brata. Przybranego brata. I miał wrażenie, że zapomniał o czymś niezmiernie ważnym. Ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej miał wrażenie, że przypomni sobie o tym jutro, a będzie to na pewno o tym, że zostawił włączone żelazko w Mieście Śmierci, i że spowodował w końcu jakąś akcję tamtejszej straży pożarnej. Kobieta... skąd właściwie Królowa знаła panią Goo z baru? Może faktycznie zapuściła się w tamte rejony, zobaczyła pod zmienioną postacią, że się tak bardzo jej boją i ulitowała się? Co za litość! Nie lubił litości, ale perspektywa wieczności na rajskiej wyspie...

- Emerytura na koszt funduszu emerytalnego Xandau? – Upewnił się.

Wampir odparł:

- Królowa tak zarządziła! Domek willa dla sześciu osób, ale to państwo właśnie będą się nią cieszyć. We dwójkę. Bez demonów, musieliśmy państwu porządnie się sprzykrzyć, tyle lat...

- Ależ skąd, pan jest taki miły...

Uśmiechnął się, i przypomniał sobie na moment, że zapomniał o czymś bardzo ważnym.

Padał deszcz. A kiedy pada deszcz, możliwe, że ktoś jest bardzo smutny. Tylko tyle? – Zmarszczył brwi. Co za dziwna sprawa.

Ale usnął. A potem nie przypominał sobie o żadnych zapomnianych przypomnieniach.

Demony rozstały się wokół stojącego pośrodku potwora. Salon, wielki salon wypełniały jego rozczapierzone błoniaste skrzydła. Leżał krzyżem na dywanie, a wokół niego pełzła ciemność. Układała się powoli w krąg wokół niego, by wytrysnąć przy akompaniamencie ryku rozbijającego szklane sklepienie w dwa, czarne, dodatkowe skrzydła. Potem zastygła w tej formie, by opaść.

Bestia stanęła na czterech łapach.

- Toż to legendarna Hiena – ktoś powiedział.

Werdon Astolax, „Z legend współczesnej Lemurii“

Znana jest również legenda o wielkiej Hienie, czyhającej w katakumbach na nieostrożnych rabusiów grobów. Rabowanie grobów bogatych mieszczan stało się w pewnych czasach tak powszechne, jak i żyjące tam zdziczałe larwy. Pobudzały one wyobraźnię groszowych powieściopisarzy, tak że przekazywane ustnie relacje o spotkaniach z żyjącymi w podziemiach miasta zwierzętach spowodowały, że mieszczenie uwierzyli w postać legendarnego już potwora – legendarnej skrzydlatej Hieni, żerującej na trupach, rabusiach, niegrzecznych dzieciach, szczurach i larwach. Mimo wielu ideałów przemocy i zła strach przed nieznanym towarzyszył od zawsze mieszkańcom Wiecznego Miasta Nierządu. Nieznane były głównie podziemia miasta – katakumby i kanały. Ponoć właśnie to w jednym z nich ma swe leże potwór, legendarny potwór, którym straszy się przysłowiowe niegrzeczne dzieci. Wielka, potworna hiena cmentarna. Zwana po prostu Hieną. I gdy ktoś zaginie bez wieści, w Lemurii mówi się – może go Hiena zjadła? Tak do końca nie wiadomo, jak ona wygląda. Są ponoć świadkowie, ale oni zazwyczaj opowiadając o niej są pod wpływem alkoholu. Zazwyczaj okazuje się, że widzieli – potwora – ale, prawdę powiedziawszy, mogła to być wyrośnięta larwa, lub cień szczura na murze. A złodziejasek znaleziony zamordowany w kanale? Ofiara Hieni? Czy może ofiara porachunków między gangami?

W skrócie – wspaniała bajeczka dla dzieci na długie jesienne wieczory. A dla dorosłych wspaniała okazja by pośmiać się przy kuflu lodowatego, dobrego piwka z browarów Xandali.

Bestia człapiąc, wyszła przez otwarte drzwi na dziedziniec. Podniosła łeb ku górze, wężąc wroga.

Rafael czuł, że da sobie radę. To była ta legendarna Hiena? Syn Plugawy? Toż to parodia! Był przecież nieśmiertelny, z siłą Bożą, a nie, jak to, plugawe stworzenie o wielkich szczękach.

Małe oczka bestii widziały aż nazbyt dobrze w ciemnościach. Anioł był ciepły. Był wrogiem. Obliznął ozorem szczęki, zatracił wprawdzie zdolność mowy, ale szczęki mogłyby rozgnieść głowę tego latającego potwora.

Anioł wylądował. Bestia uniosła się ciężko na dwie łapy, przeszła kilka kroków ciężkim krokiem małpy. Przechodziła w milczeniu kolejną przemianę. Przełknęła ślinę, jej ciężkie podgardle zakołysało się, poczłapała nieco w stronę Mauny, zaryczała. Mauna milczała. Wszystkie demony odsunęły się z trwogą w głąb placu, a na skrzydłach bestii zaczęło coś wyrastać.

Kwiaty? Oko za okiem łypały na zgromadzony tłumek, w końcu z bolesną precyzją

skierowały się na czerwono-skrzydłe zwierzę nad sobą. Wzniosło się ono wyżej i zapikowało w dół, wyrrywając kawał mięsa z boku bestii.

Ciało zadygotało od uderzenia, bestia z wizgiem zamachała skrzydłami. Przyjęła wyzwanie. Wzniosła się w górę.

- Nie można przewidzieć końca walki? – Zapytał Auroth Mauny.

- Nie. Anioł przeleciał szmat drogi by go zabić. To próba. Incydent ze świadkami kombatanckimi był tylko czynnikiem wyzwalającym agresję...teraz już wiecie, że to nie jest zwykły czart.

- Czy go zabije?

- Spójrz na jego ciało. To nowy typ...- ucięła. Sama nie wiedziała, czy cielsko Armala będzie mocniejsze niż ciało anioła. Ale anioły są nieśmiertelne...przecież one żyją wiecznie...

Bestia miała ciężki lot. Skrzydła najeżone oczami nie ułatwiały lotu. Opadła na ziemię. Anioł zaatakował z góry. W tym momencie zwierzę złapało za nogę anioła. Potrzęsnęło nią z taką siłą, że anioł uderzył w ziemię łamiąc skrzydła. Podniósł się. Wrzasnął ochryple i podbiegł do zwierzęcia.

- A z morza wyjdzie zwierzę, i ludzie oddadzą mu pokłon – usłyszała nagle Axe, stojąca w pierwszej linii widzów. Poczula zapach babskich, długich papierosów.

- Co? – Zapytała, ale nikogo nie było obok niej, kto paliłby w takim momencie papierosa.

- Dalej Armal! Uduś gnoja! – Podjęła na nowo skandowanie.

Mistrel uśmiechała się.

- Nie ma żadnych decyzji, ale z tego co widzę, mogą wcale nie nadejść. Xandau wróci do starego trybu, i będzie jak było... - powiedziała do Svedeckiego.

Anioł przyłgął do ciała bestii, by rozszarpywać jego oczy. Zwierzę próbowało go strzepnąć, ale nie mogło. W końcu opadło bez sił, osłabione bólem. Wtedy anioł popatrzył mu prosto w pysk.

A zwierzę kłapnęło szczękami.

- Co on do kurwy Nandii robi? – Zapytała Mauna z prawdziwym niepokojem.

- Mnie się wydaje – powiedział Mieczysław Piżgał, o dziwo nie dłubiąc sobie w nosie – że on zjada go od głowy.

Bestia pochłonięła łeb anioła, po czym podrzuciła wierzgające ciało do góry. I zaczęła je dalej pochłaniać. Rozgryzła tułów, po czym obeszła ciało z boku, i rozgryzła nogę anioła. Po chwili wlekła już tylko skrzydła.

Wtedy zaryczała. Coś w jej ciele zadrżało.

- Przecież one są nieśmiertelne! – Ktoś wrzasnął – anioły są nieśmiertelne!

Bestia legła z wypiętym brzuchem do góry. Martwa. Mauna pełna najgorszych obaw podbiegła do cielska. Iście ropuszy brzuch drżał. Po chwili coś od środka rozdarło skórę. Ręka. Pokryta śluzem ręka uzbrojona w pazury badała z wysiłkiem otoczenie. Potem blade, wilgotne ramię. I głowa.

- To Armal! – Wykrzyknęła.

- Co? – Zapytał mdlejąc.

- Przeżył. To najnowsze dane – oznajmiła sucho Mistrelle wstając. Rozprostowała swoje idealne skrzydła i dodała – to była bardzo brzydka walka. Udawał pokonanego, by...brr. – Wzdrygnęła się. – Gdzie nieznajomy?

- Poszedł poszukać Chinooka. – Wyjaśnił Svedeki. – Gdzieś uciekł.
 - Naprawdę nie uważam, żeby takie traktowanie go miało jakiś głębszy sens – przerwała z lekkim strachem Stein.
 - Zamknij dziób, młoda damo. Ten, którego nie znasz, ma nam o wiele więcej do zaoferowania, niż myślisz. Nazywaj to jak chcesz. Cyrograf, czy coś innego, nowe Xandau z nim będzie o wiele lepsze, niż było za czasów Sally.
 - Jakiej Sally? – Zapytała.
 - Tej, której nie znasz. Słaba kobieta. Stchórzyła. I tyle.
 - A ja wiem gdzie się schował – oznajmił z widocznym zadowoleniem nieznajomy, wchodząc do Sali Kryształowej.
 - To go tu przyprowadź! – Zażądał Svedeki.
 - A nie – pokiwał mu palcem przed nosem nieznajomy – zapominasz z kim grasz? Nie chciałeś Ryby, to masz Truciznę. – Niewinny uśmiech.
 Chciałeś żeby brać ich za mordę, to masz. – Pomyślał ze złością Svedeki.
 - Ale co robimy? – Zapytał Hubble, zapalając nerwowo. Ostatni papieros. A Svedeki zabronił im opuszczać Salę. Łóżko Arnholma też kazał tu przytachać. I co z tego ma?

Dzień potem Armal miał gości. Nie chciał wracać do tego wydarzenia, ale wszyscy wracali. Wszyscy. Nawet goście z zewnątrz. Podobno ktoś to nagrał...

Nie pamiętał dokładnie. Ale nie chciał też oglądać walki. Zjadł anioła. Tyle wiedział. A coś takiego nie pozostanie bez konsekwencji dla jego zdrowia. Mauna tłumaczyła mu, że nic mu nie będzie, że to tylko zwierzęta, takie jak on, i inni, ale on wiedział swoje. Jeszcze to, że zmienił się...pamiętał swój uśmiech.

Pamiętał, że uśmiechał się, gdy anioł myślał, że już po nim. I wtedy połknął jego głowę. Pamiętał tą niehonorową bezmyślność, to, że nie przejmował się niczym. Byle tylko jeść, jeść...

- Wleźć! – Zawołał, gdy po raz enty jakiś prezydent zapukał do drzwi jego gabinetu. Bawił się długopisem, i myślał właśnie o odbytej walce, i o tym, że Axe właśnie leży w solarium i się grzeje...o milionie innych spraw.

Tłustawy, rumiany facecik w czerwono białym krawaciku wszedł do gabinetu.

- Czego pan chce? Wszyscy chcą, żebyśmy się z Ziemi wynosili do swojego kraju, a pan?

- Nazywam się...

- A mam to gdzieś, jak się pan nazywa. Mauna i Milenium zapisują imiona wasze...jaka sprawa?!

- Waszego pobytu tutaj...honorowe krwiodawstwo nie nastarcza z dostawami krwi dla wampirów...ale przetwórstwo mięsne świetnie stoi dzięki wam. Jedyne problem to utrzymanie waszego istnienia w tajemnicy...tam na zewnątrz czekają panowie z TVN i chcą robić program „nie do wiary”...proponuję, żebyście podpisali konkordat i zgodzili się na dopłaty bezpośrednie z Unii...sam nie lubiłem Unii, ale można sporo pieniędzy zarobić...

- Wywalaj pan stąd do Milenium! – Wrzasnął.

Może zbyt ostro traktował tych wszystkich ludzi, ale po tylu wizytach – najgorsi byli ci z National Geographic i Polsatu, chociaż ten prezydent Stanów i ci ze Stolicy Apostolskiej też niczego sobie – miał po prostu dosyć.

Zabronił Maunie wpuszczać kogokolwiek. Chciał być sam. Milenium nie mogła mu przyjść pomasować stópek, bo zajmowała się wszystkimi panami politykami, a jego główka bolała, i nie mógł pozbyć się potwornego uczucia, że był wewnątrz samego siebie, i że jego

prawdziwa natura wygląda jak wielki potwór – skrzyżowanie ropuchy z uśmiechniętym psem... dużym...

- Oddadzą pokłon bestii – usłyszał za sobą.

Błyskawicznie się odwrócił, ale nikogo nie zobaczył. Tylko kłąb mentolowego dymu papierosowego.

- Jestem aniołem, chyba jestem...bo słyszę głosy...

Milczenie. Po chwili usłyszał ponownie ten sam głos.

- Czy jadłeś już kiedyś Zatrute Ryby?

- Tak, a co? W ryj chcesz? – Zapytał.

I nic go już nie niepokoiło. Usiadł w fotelu. Co za głupie pytanie. Powinien był lepiej wyspać się dziś rano, ale ten wampirek był taki namolny...i namiętny. Dobrze, że chociaż on nie gadał o jego wyczynie. Armał, krótko rzecz ujmując – co zrozumiał – źle czuł się ze sławą.

Weszła Mauna, chrzęszcząc skrzydłami.

- Winienesz nasz panie się na spoczynek udać, bo w nocy pół pałacu słyszało...a tak w ogóle, pan premier właśnie wyszedł on ciebie i się skarży.

- I co jeszcze powiesz? – Zapytał, kładąc głowę na blacie mahoniowego, chłodnego biurka.

- Że Lemuria ma podpisany konkordat, weszła do Unii, a panów z National Geographic zżarła Axe. I chce się z tobą widzieć.

- To ją wpuść.

- Ale zjadła też kamerę i leży w solarium. Brzuch ją boli.

- To później...ja stąd idę...

Wyszedł do swojej komnaty. Z balkonu pluł przez chwilę na dziedziniec. Potem wezwał Milenium.

Weszła jak zwykle z gracją Królowej. W rękę miała jak kazał flaszkę wódki. Stała na środku komnaty, ubrana w czarną gotycką suknię.

- Ja tak na trzeźwo nie mogę – powiedział, przepaszającym tonem. – Trzeba coś zdecydować, nie? Że czy kto ma być szczęśliwy, czy nie.

- Tak. – Rzekła, uśmiechając się promiennie – zdecydowałeś już panie?

Mistrelle wyszła z transu. Nikogo oprócz Svedeckiego i Arnholma.

- Gdzie tamci? – Zapytała.

- Nieznajomy poszedł pobawić się Chinookiem – wyraźny grymas zadowolenia na jego twarzy – a Hubble i Stein pojechali sprawdzić wskaźniki...przy braku techników, każda para rąk się przyda. Kontrolują pracę pozostałych. Dobrze, że nie pospieszaliśmy się z tymi honorowymi samobójstwami.

- Syn Plugawy dowiódł swego zła. – Powiedziała, jakby nie słyszała tego, co usłyszała przed chwilą. – Dowiódł też swojej prawdziwej natury. To zwierzę. Ropucha. Bestia.

- Hejeczka wam wszystkim! – Zawołał radośnie nieznajomy. – Bestia wszeteczna i tyle! Podobno wcina Zatrute Ryby, Svedeckie!

Zadygotał. Ryby. Znał tą zagadkę. Ryby, symbol Syna Bożego i ogólnie Boga, do tego Trucizna, znana gierka nieznajomego.

- No wiesz, za niedługo się stad wyniosę, i nie będzie już mnie...poradzisz sobie, poradzisz! Ale póki co...wiesz, jaka jest symbolika ryb? Chrześcijańska, zatem chwalmy Pana! Alleluja!

- Co z Chinookiem? – Zapytał.

- Nic. Nic szczególnego – idealnie denerwujący, radosny ton – pytałem go, czy lubi Zatrute Ryby, i wiesz co? – Pochylił się nad karkiem Svedeckiego, szepcząc mu do ucha – nie lubi...nie jadł nigdy...a Syn Plugawy tak... a podobno nikt nie przeżyje tego bezboleśnie...ale ja myślę – tu poklepał go po ramieniu – że on po prostu musiał być bardzo głodny...łapiesz?

- Nic z tego nie rozumiem – wymamrotał.

- A właśnie przyjąłeś Truciznę...

- Naprawdę nie wiem, ale na trzeźwo nie mogę – to mówiąc, wychylił duszkiem flaszkę, po czym zadzwonił po tamtego wampirka, upojnego i w ogóle, żeby przyniósł ze dwadzieścia litrów żytniej.

- I krwi karafkę? – Zapytał dziewczęcym niemal głosikiem. Jak mógł się z nim przespać? Z taką babą? Przecież to to nieopierzone, ledwie co krew pije...

- Nie, nie rozrabiam spirytusu z tym medycznym szajsem – odparł i trzasnął słuchawką.

- Stajesz się coraz bardziej wulgarny – zwróciła się do niego elegancko Królowa.

- Pierdolisz. – Skrzywił się.

- Ale naprawdę, to nie przystoi, nawet takiemu potworowi jak ty.

- Nie wiesz nic.

Odkąd zmienił się, a potem z tego ścierwa wylazł, wszyscy na niego patrzyli jak na anioła, albo na zwierzaka. Larwy podrywały, Batezu próbowały zabić – wreszcie Mauna miała coś do roboty, zatłukła już ze trzydziestu terrorystów. Dwudziestu było ludźmi, którzy chcieli skorzystać z tajnego zjazdu prezydentów i ich wykończyć, wiadomo, ale pozostałych dziesięciu było demonami. Powód był prosty, zrobiono sekcję bydlaka, i wyszło na to, że nie było w jego szczątkach ani śladu anioła. Wniosek – Armał zaabsorbował tkanki drugiego bydlaka.

- Ależ wiem. – Powiedziała – denerwujesz się, to rodzi w tobie wulgarność i agresję. Jesteś poza tym potworem i zjadłeś nieśmiertelną istotę dobrego ducha. Czekasz, aż wydalisz i nic.

- Ty się od mojej legendarnej już i historycznej...pośladek odczep. Są w porządku. Fakt. Trochę się denerwuję, ale to nie powód, żeby mi to wypominać. Na trzeźwo.

- Ależ wypiliśmy już litr alkoholu!

- No to co. – Burknął.

Do drzwi zapukał wampirek. Był speszony, i nie wybąkał z siebie ani słowa. Przywiózł taczkę wódki przystrojoną czarnymi koronkami i wyszedł. Armał rzucił się na alkohol jak jakiś złaźniony krwi wampir dopiero co wypuszczony po latach z komory głodowej. Kiedy wypił kolejną butelkę, rozbił ją o ścianę.

- Ty nic nie wiesz! Ty nic nie wiesz, jak to jest, kiedy patrzą na mnie jak na jakiegoś wariata! Najpierw podziw. Pokonał anioła. Dobrze, przez pół dnia radocha, a potem jak zaczęli gadać po tej sekcji zwłok! Mauna odpiera ataki terrorystów, z Willa Diodati zrobiła się twierdza, co by mnie za szybko nie zatłukli. Ale jak podejmę decyzję, to coś czuję, że mnie zatłuką w pierwszej kolejności. Jako ropuchozaur może i jestem silny, ale jak na razie, to nie widzę tego, żebym mógł dwa razy dziennie się w takiego potwora zmieniać. I nie jestem potworem! – Wykrzyknął, kopiąc w stolik kuty na kształt pajęczyny ze szklanym blatem. Szkło rozsypało się, a Armał zadygotał. Znowu ta ciemność. Istota złego ducha...

Popatrzył z wściekłością na Milenium. Czyli to znaczy, że jestem potworem. Tyle dokładnie mówią twoje oczy. Żem bestia okrutna, że nieczysto walczę, żem potwór...

Ręka piekła go jak żywy ogień. Popatrzył na nią. Coś próbowało wyjść na wierzch. Oczy. Zacisnął dłoń, wrzeszcząc z bólu. Kiedy ją rozprężył spowrotem, krwawiła. Mięśnie...widział

mięśnie. Własne mięśnie, bez skóry. I oczy, które patrzyły na niego bezpośrednio z jego własnej ręki.

Upadł na kolana, wrzeszcząc z przerażenia.

- Im szybciej to powiesz, tym lepiej dla ciebie – pochyliła się nad nim, przytulając go. Zadrzał. Odepchnął Królową.

- Miało być lepiej, kiedy powiedziałem twoje imię. Melitzarelle. I jest ze mną coraz gorzej. Ten System Kontroli to jakaś gospodarka centralnie sterowana, jak komunizm, nie może być dobra, Mietek żuł z baru Bajka mi o tym mówił – wyszeptał. Wyciągnął przed siebie dłoń – patrz! Patrz, co mi jest!

Zaczął zalewać ją wódką, krzycząc przy tym z bólu. Oczy były realne, dwoje, surowych gałek ocznych. Jego oczu... bał się, bo bolały go jak jego własne oczy. Bał się dotknąć ich, żeby ich nie urazić, ostatecznie włożył je do umywalni z wodą. To przyniosło niejaką ulgę.

- To przez ciebie – powiedział ze łzami cierpienia. – Co ja teraz zrobię? Jeśli ktoś to zobaczy, będę skończony...

- Musisz zdecydować. System jest połączony.

- Nie chcę! – Dyszał ciężko. Założył rękawiczkę, żeby nikt tego nie zobaczył. Sprawa była poważna. Trzymał lekko zgięte palce, by nie urazić tworzącego się nowego narządu, i starał się niczego tą ręką nie dotykać.

- Zdecyduj jak najszybciej, dobrze ci radzę, bo może być bardzo źle.

- Mam to traktować jako groźbę, czy obietnicę? – Zhardział. Wstał, organ działał chwilowo bezboleśnie, było z nim coraz lepiej. Może wytwarzała się skóra? Nieważne. Milenium mu groziła.

W tym momencie drzwi otwarły się, i wpadła potykając się o własne szaty Axe.

- Ta ruda pokraka chciała mnie zatrzymać! – Zawyla, pokazując jak trofeum kłak jej włosów. Stała i zapytała, wskazując palcem na Królową – czy Królowa robi ci krzywdę?

- Nie – odparł. – Jest miła. Melitzarelle, poskacz trochę – wydał rozkaz pstrykając palcami zdrowej ręki.

Królowa zaczęła podrygiwać w miejscu.

- Ale fajowsko – powiedziała Axe – ja też chcę!

- To poskacz sobie na zdrowie – mruknął, otwierając zębami flaszkę. Rzucił ją legwanicy. Co trzeba przyznać, miała coraz mocniejszą głowę, czyżby wzrost mózgu w mózgowcaszce?

Czuł się nieswojo, powoli ukrył uszkodzoną rękę za sobą. Ale uśmiechnął się.

- Czego chcesz? – Zapytał – Ja tu poważnie rozmawiam.

- Wrzeszczysz i tyle. Się aż wystraszyłam, że coś ci będzie. Też chcę wydawać rozkazy Milenium! – Wypaliła. No tak. Tego się można spodziewać po takiej gadzinie, ale fakt faktem wytrzymała przy nim tyle, poza tym stawiała opór Maunie, gdy myślała, że coś się z nim złego dzieje. Należy się gadzinie.

A Milenium niech ma za swoje.

- Melitzarelle, nowy rozkaz! Masz od tej pory wypełniać również rozkazy Axantez. Przyjęto?

- Tak – wysyczała. A jej oczy zapłonęły na moment wściekłością.

Wyszedł. Słyszał jeszcze, jak Axantez zaczyna się bawić w swoistą odmianę Szymon mówi coś tam, a potem zapalił papierosa. Szła za nim Mauna. Też nieprzyjemna sprawa. Ale trudno. W każdym razie czuł się coraz gorzej...

Szła za nim. Ten potworny chrzest skrzydeł...

- Mauna, czego chcesz? – Zapytał atakującym tonem. Zatrzymał się, chowając dyskretnie

dłoń do kieszeni.

- Widzę, że źle z tobą. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli podejmiesz jakąś decyzję. Wiem, co się z tobą dzieje. Nie musisz się ukrywać z tą ręką. Cały System Kontroli wie. Cierpisz. To się skończy, gdy powiesz...

- Zabijecie mnie – powiedział. – Kłamiecie. Wiem, że kłamiecie. Powiedzieliście, że gdy powiem Imię, będzie lepiej. A jest coraz gorzej.

- Armal. Czasem, żeby było lepiej, najpierw musi być gorzej. Chyba to rozumiesz. Znajdujesz się w stanie gorączki...to nie jest bezduszny system, dba o ciebie, dbał o całą zawszawioną Lemurię, i Xandau, nawet o tą anielską Atlantyde, gdy ty...

- Gówno, nie dbał! – Wrzasnął.

- Hopa, hopa, Melitzarelle! – Słyszeli za sobą.

- To było nieodpowiedzialne zarządzenie Armal. – Powiedziała z powagą Mauna – ale miejmy nadzieję, że nic się nie stanie Królowej...

- Sama mówiłaś, że to tylko komputer. Ma duże możliwości. Ale wracając, do tematu...to System nigdy o mnie nie dbał. Żarłem odpadki, byłem jednym z biedaków! Sprzedałem własne dokumenty! Ten System to zwykłe gówno!

- Nie zgadzam się z tobą. Ale skoro tak uważasz...musisz podjąć decyzję. A tak w ogóle, to za godzinę masz odczyt w Sali Odczytowej. Nie mogę cię wyręczyć, bo ci wszyscy smutni panowie, których tak ładnie ignorowałeś przez cały dzień chcieliby usłyszeć coś na twój temat.

- Nie zgadzam się. To jest moja wola. Rozkaz. I drugi rozkaz. Chcę stąd wyjechać.

- Nie możesz. Mogę zgodzić się na odwołanie odczytu, ale nie na twój wyjazd.

Armal siedział w toalecie. Skąd właściwie Milenium wiedziała, że od tej walki przesiaduje długie godziny na obserwowaniu zachowań swoich legendarnych czterech liter? Wieszcza czy co? Tak. Martwił się. O szczątkach anioła ani widu, ani słyhu. A pan Mieczysław na całe szczęście wyjechał, a może on znał jakieś metody na szybsze wypróżnienia?

- Armal, skup się – szepnął do siebie i nateżył się.

Nic, poza dwoma bąkami, cichymi zresztą. Czyli jest gorzej niż źle. Jeszcze chwila i zwariuje.

Zdjął rękawiczkę. Dziwne tak patrzeć na samego siebie z dwóch perspektyw. W dodatku oczy mrugały w niezależnym od jego woli rytmie, jedno z uczuciem, inne ze złością. W każdym razie dziwny widok. Już się do niego przyzwyczaił, ale polubić tego to nie polubi za cholerę. Że jest niestabilny genetycznie...- podśledzał Maunę, gdy ta kablowała coś Milenium. Dobre sobie. A sama ma metalowe zęby.

Zachichotał. Co za beznadziejna sytuacja. Więzień własnego teraz pałacu. Do tego tych kilka demonów, które łąziło za nim i plotkowało. Zostały właściwie Auroth i jego świta, reszta albo wybite przez tę żelazną szczękę, albo odesłane przez niego z dworu. Na szczęście był ten wampirek, który teraz spał jak zabity w trumnie, by nocą go napastować, i błagać Armala o różne wspominki z Lemurii.

Ale uciec nie mógł. Mauna wciąż za nim łąziła.

- Wydalileś już anioła? – Zapytała zza drzwi kabiny.

- Przy tobie nie mogę się skupić, rudy łbie!

- Ale ja muszę pobrać twój kał do badania!

Axantez była znudzona. Już szósty dzień rozporządzała Milenium. Armal był widocznie zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo wylegiwał się do południa, a potem żarł się z Mauną.

Axe nie wiedziała, czemu wciąż się kłóć. I czemu tak jej przyjaciel unika Królowej.

Była na to za głupia, a poza tym Armal zrobił się bardzo tajemniczy.

Milenium podlewała kwiatki, a Axe wcinała już trzecią cytrynę.

- Witaminy są bardzo ważne – powiedziała do Milenium.

- Jakiś kolejny rozkaz?

- Nie – czemu Milenium miała taki zdenerwowany głos?

Królowa odłożyła konewkę.

- Ja uważam – zaczęła Axe – że Armal nie jest tu szczęśliwy. By chciał stąd pojechać...

- Ale nie może – ucięła Królowa.

- Bo nie jest zdolny do męskich decyzji. Czytałam o tym w gazetach ze śmietnika w Krakowie. Jak on mnie tam zamknął, w tym pokoju, co by mnie nie znaleźli, to potem czytałam różne gazety. Nauczyłam się czytać. – Dodała z dumą – babskie czasopisma są takie mądre... pokazują, jak powinno się postępować z mężczyznami, i wiesz? Czas na męską decyzję. W Cosmo tak pisało, że powinno się czasem podjąć za faceta decyzję.

- Nie wiem Axe, o jaką tu decyzję chodzi. – Powiedziała uśmiechając się jak przyjaciółka.

- Wiesz dobrze. Mnie jest dobrze jak jest, sabat zaoferował mi pracę w wydziale dietetycznym, w ogóle dobra dieta to podstawa. Trzeba jeść cytryny, ze skórka... i przeniosą mnie do Bagdadu, żebym uczyła tamtejszych baszantów czytać. Jestem jedynym baszantem, który umie czytać – дума aż biła z jej wypowiedzi.

- Więc jaką decyzję podjąłeś?

- Melitzarelle...

- Tak? – Jadowity uśmieszek żmii – słucham rozkazów...

- Mnie jest dobrze jak jest, ale uważam, że wszyscy powinni trafić tam, gdzie jest ich miejsce, bo widzisz, tłoczno. Politycy się czepiają, a w Lemurii też było dobrze.

- Ale Armal nie czuł się dobrze w Wiecznym Mieście Axe.

- On powinien trafić tam, gdzie jest jego miejsce.

- I czego się tak głupio uśmieszasz, Mauna? Się ci zebrało na uśmieszki – warknął Armal.

- Cicho, nie przerywaj...

- Ale czego?

- Tak uważasz? Naprawdę tego chcesz, Axantez? – Jeszcze bardziej jadowity uśmiech.

- Tak. A dla siebie czegoś interesującego.

- Znajdzie się.

Podąły sobie ręce.

Część siódma: ...i nastanie wieczne Królestwo...

Noc zastała Armala w swoim łóżku. Patrzył w baldachim, haftowany w krwawe plamy. Popijał wino. Bożole...

- Nie myślałeś już o ucieczce? – Usłyszał damski, ochrypnięty głos obok siebie.

- Nie wiem kim jesteś, ale jak widzisz, jestem uwięziony. – Powiedział.

- Ale spróbuj mimo wszystko, nie jesteś potworem, skoro sam tak uważasz...

- I co może jeszcze, jestem dobry aniołek? – Kolejny łyk.

- Chcesz być tam, gdzie na zeschłej gałęzi śpiewał rzewnie ptak, czyż nie? A lubisz Ryby? Zamknął oczy. Przyjemne omamy słuchowe. Nie ma co.

- Jadłem już zdechłe ryby, były zatrute, bo je szpikowali trutką dla szczurów, ale jakoś to odchorowałem.

- Jak by na to nie patrzeć, ja też jestem czymś w rodzaju Ryby.

- A mogę mieć omamy wzrokowe? Czy mogę cię zobaczyć? – Spytał, siadając z flaszką.

- Raczej nie. Ale nie przejmuj się. Powinieneś stąd uciekać. Wiesz?

- Nie umiem. Ta ruda wywłoka mnie ciągle zatrzymuje, chce, żebym podjął decyzję, a nie wiem, czy jak powiem, to czy nie będzie gorzej. Patrz – zdjął rękawiczkę.

- Faktycznie, źle z tobą. Ale musisz wiedzieć, że teoretycznie rzecz biorąc, powinieneś choć trochę postarać się, żeby uciec.

- Ale czemu... i kim ty w ogóle jesteś?

- Sally. Mów mi Sally. Ty jesteś Armal, nie?

- Aha. – Rzucił butelką o ścianę. Sława nawet dotyka go w omamach...

- Powinieneś uciekać, bo do niczego nie jesteś im potrzebny.

- Ale decyzja...

- Już ktoś ją podjął. Niedźwiedzia przysługa, zaiste.

- Domyślam się, co to za gadzina – warknął wstając. Wsunął bambosze z naszytymi na nich nietoperzami, i zrobił kilka pijanych kroków. – Zostaw mnie już, bo idę ją dorwać, pewnie chciała się spotkać z Małyszem, o ile ją znam.

- Nie. Znam niestety decyzję, i zapewniam cię, że powinieneś coś z tym zrobić.

- Ale czego ona chciała?

- Idę już stąd.

- Zaraz, jesteś duchem, czy jak? – Zapytał patrząc w przestrzeń?

- Już tyłu ucierpiało przeze mnie, że chciałam żeby mieli dobrze... teraz dam rządy komuś innemu, na jakiś czas. Niech ma.

- Zaraz, to ja już wiem!

Nagle pukanie do drzwi sprawiło, że zapomniał, co miał powiedzieć. Delikatne pukanie, no tak, prosił wampirka, żeby przyszedł.

Aż cud, że nie zaraził się od niego jeszcze wampiryzmem, straszna to choroba weneryczna!

- Wleźć! – Poprosił uprzejmie.

Wampirek wszedł zadziwiająco mocno, a za nim szła Mauna. Wyglądała jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż zwykle. W wampirku zaszła zmiana... stał wyprostowany, już nie miał tego wyrazu naiwności na twarzy. Tylko siłę i bezwzględność.

- Ale co się dzieje? – Spytał.

Mauna celowała do niego z jakiejś broni.

- Tam gdzie twoje miejsce – usłyszał.

I zapadła ciemność.

Axe jechała na motorze. Kwef na jej głowie powiewał w rytm oszalamiającego pędu. Czują ten wspaniały pęd, jak i to, że zaraz go wykończy.

Uciekając przed nią terrorysta nie miał szans. Dogoniła go. I odchyliła zasłonę z twarzy. Wyraz przerażenia na jego twarzy, potem fakt, że nie zauważył tego samochodu stojącego na prawym pasie...

Ciało odrzucone zostało na dwa metry, motor płonął.

Podeszła do człowieka. Leżał oszołomiony i nieprzytomny. Zapach jego muzułmańskiej krwi działał na nią jak najlepszy afrodyzjak. Szybko odciągnęła go na bok, nim nastąpiła

eksplozja ładunku, który miał na bagażniku. Odbezpieczyła broń.

- Dla kogo pracujesz? Gdzie twoi bracia? – Zapytała czystą angielszczyzną.

- Axe, dobra robota. – Powiedział jej dowódca, John Smithson. – Potem jest twój!

To była ich najlepsza agentka do zadań specjalnych. Co prawda, musiała mieć bardzo dokładne wytyczne, ale doskonale adaptowała się do trudnych, pustynnych warunków. Axantez Axis Baxetam. Kodowa nazywana Waranem z Komodo, a przez kolegów z wywiadu T-Rex.

Axe uśmiechnęła się promiennie.

- Mam nadzieję, że kolejny nie będzie taki żyłasty jak ten. Tylko go bardzo nie popsujcie, hormony stresu pogarszają smak mięsa.

- Axe. Dobrze wiesz, że to jedyna metoda. Twoja następna misja to wyeliminowanie jego braci. Ukrywają się podobno na pustyni. Nasi ludzie nie przetrzymają takich upałów.

- Jakiej pustyni?

- Saharze. Problem w tym, że nie wiemy, w którym miejscu. Ty się dowiesz.

- Yes, sir!

Domek miał czerwony daszek. W ogrodzie rosły palmy. A z radia nieodmiennie płynęła pogodna muzyka.

- Lewiatany podobno przepływają przez zatoczkę – powiedział Salieri. – Tak przynajmniej mówiła Sally.

- Ożeń się z nią w końcu, głupcze! – Zaśmiał się Hubert, potrząsając protezą swojej ręki. Lekkaian to dobra firma.

- Dobrze wiesz, że za krótko się znamy...

Do drzwi zapukała Sally. Była ubrana w kwiecistą sukienkę plażową, a w rękę trzymała koszyk z jedzeniem.

- Pospieszcie się! Lewiatany mają odpłynąć za kilka dni...

Sally była bardzo miłą sąsiadką. Podobno przeszła teraz na emeryturę, a była sprzątaczką w Xandau.

Spory anioł przeleciał nad ich domem.

- Może to Rafael? – Spytał Hubert, ale szybko wrócił do siebie. Rafael nie żył. Podobno utonął w morzu. W każdym razie lepsza taka śmierć, niż takie życie z ciałem potwora.

Nadzieja matką głupich, powtarzał sobie nie raz. Ale skoro tak ma być?

Nie narzekał. Sally była taka miła. Ładna i w dodatku narzeczona Salieriego. Cieszył się jego szczęściem. Sam nie chciał się żenić. Wolał wypływać łodzią do zatoki i łowić ryby. Czasem obserwował surferów. Już nikt nie wspominał o tragedii, która miała miejsce w środku Świątyni Mauny, bogini pioruna. Bogini nigdy nie wróciła na swoje miejsce. Zajęła nowe miejsce, była teraz boginią Xandau...

Svedecki stanął nad łóżkiem Arnholma.

- Nie zasługujesz na śmierć starca – powiedział z powagą. – Nie powinienesz umierać jakbyś zasypiał...

Szarpnął pierwszą rurką kroplówki.

Nie. To nie może być tak.

Słońce wpadało przez olbrzymie szyby jego willi. Co za tragiczna emerytura.

Podniósł jego ciało lekko, wrywając wszystkie kable podtrzymujące życie. A mimo to żył. Wciąż cicho oddychał.

To nie może być tak.

Ciało zwisało bezwładnie w jego rękach. Zaciśnął metalową dłoń na jego małej, wysuszonej starością i bezruchem czaszce. Pękała jak skorupka jajka, tak bezbronna.

- Arnholm...

Serce już nie biło. Krwi w ciele również tak mało...

- Kochałem cię mój przyjacielu... wybaczysz mi kiedyś?

Armal obudził się powoli i boleśnie. Biała sala. I kroplówka. Pusta kroplówka...

Wyrwał ją z ramienia, potem usiadł. Jeszcze inna kroplówka... kable... rozświetlona sala... a w ustach szpitalny smak sterylności...

Wstając, oderwał kable. Był słaby. Bardzo słaby.

Jakiś cień przemknął za ścianą.

Tam, gdzie twoje miejsce.

No tak. Ale był zdrowy. Teraz nie miał żadnych anomalii na ciele... był słaby, chudy, blady...

Zrobił krok przez siebie. Zakręciło mu się w głowie. A za mlecznobiałą, szklaną ścianą zobaczył jakiś cień. Wzdrygnął się. Tam, gdzie moje miejsce? O nie... nie dam się wam tak łatwo...

Na ramieniu miał tatuaż. Kod paskowy i napis, mały, acz wyraźny –

Xandau

Filia **Armal**

jednostka **armal1**

Potarł to sztuczne znamię na ramieniu. I w tym momencie ktoś wszedł do środka jego celi. Nie zdążył nawet zapytać zdziwionym głosem – Co?

Ciało faceta obszukał dokładnie. Miał przy sobie broń, i wózek z lekami i kroplówkami. Kto wie, ile by przeżył w uspieniu, gdyby się nie obudził? I legitymacja. Xandau, filia Armal, opieka nad jednostką pierwotną... o co tu do cholery chodzi?

Postanowił przebrać się w ubranie tego człowieka, zaraz – legitka... imię... Aldous Hubble. Nadgryzł ciało. Był taki głodny. A powinien był go wypytać przed zjedzeniem...

Było mu po posiłku niedobrze. Widocznie odwykł już od pokarmu stałego. Pan Hubble był przesiąknięty nikotyną, a kieszeni miał paczkę papierosów. Zapalił jednego. A więc Armalku, skoro ty jesteś numer jeden, pomyślał, patrząc na tatuaż, to gdzie może się znajdować numer dwa.

Wziął klucze od jakiegoś pokoju numer dwa, które ten tłustawy Aldous Hubble miał w kieszeni.

Następnie wyszedł z bronią.

W pokoju znalazł jakieś ulotki, czy inną cholerę. O nim. Że klonowany jest w ilościach hurtowych? Toż to się włos na głowie jeży...

Czytał dalej. Że z powodu homoseksualizmu zdecydowano się go klonować i stabilizować sztucznie... niestabilność genetyczna ustąpiła w partiach od Armal 45 do 56? Że doświadczenia udały się?

Wyważył drzwi oznaczone znaczkami broni palnej. Tak. Istny składzik na wypadek, gdy któryś a Armalków będzie się rzucał... a według map klatki z egzemplarzami jego gatunku znajdują się piętro poniżej...

Ruszył przed siebie niepewnie

- Numerze jeden – usłyszał w głowie damski głos – na pewno ci się uda z Bożą pomocą, teraz świat przed tobą.

- Nie, nie zmarnuję tej szansy – powiedział z istic oblakańczym uśmieszkiem, zapalając papieroska od miotacza ognia.

Spopielil się aż do filtra, przez co Armał zaklął. Ale wiedział, że tym razem...

I wyważył kolejne drzwi, mocniejszy o słowa, które usłyszał.

- Na pewno zwyciężysz – usłyszał. – Jesteś w końcu numerem jeden!

Koniec.